

Hagen-Schwerin Maria

PANI CHORYŃSKA

*STRACONA MIŁOŚĆ.
PIĘKNA HALKA.
SIOSTRA TERESA.
OD SYMPATYI DO MIŁOŚCI.
PROBOSZCZ Z SZETYNY.
ŚLEPY KAZIK.
GŁUPIA JAGA.*

PANI CHORYŃSKA

I.

Dom pani Lizy Werneńskiej otwierał się co środa dla jej licznych znajomych, przyjaciół i wielbicieli. Żaden »dzień« nie cieszył się tak wielkim powodzeniem jak dni pani Lizy, osoby lat dwudziestu pięciu, ani pięknej, ani dobrej, ale eleganckiej i światowej, a te sztuczne zalety często rzeczywiste zastępują.

Podawano zawsze na jej four o'clock tea różne przysmaczki z którymi nie

spotykano się nigdzie a czasami dowiadywano się tam arcycenzacyjnych wiadomości.

To też smakosze i złośliwi przychodzili głównie dla tego, a reszta, jeżeli w

ogóle istnieją jeszcze inne kategorie ludzi, przychodziła przez naśladownictwo,

nie zdając sobie nawet sprawy, co i dla czego naśladowują. Jednej właśnie środy,

między piątą a szóstą, kilka osób, popijając herbatę i jedząc cukierki, prowadziło w salonie pani Lizy, to co ogólnie zowią rozmową w świecie, a co jest rzeczywiście rodzajem streszczenia faktów i ludzi. Częstość zdarzenia wielkiej wagi, smutne czy wesołe

wzmiankuje się pobieżnie w zapytaniu, w uśmiechu, półsłówkiem, z charakteryzującą zebrania światowe ciekawością a raczej żądzą nowości i dziwną obojętnością zarazem.

Pomiędzy tworzącymi się na chwilę sympatycznymi sobie kółkami, w półcieniu

misternie oświetlonego salonu, krążyła pani domu, której jedwabna, ognista

suknia, bogato wyszyta paciorkami, wydawała szelest podobny pełzaniu węża po

spalonych trawach podzwrotnikowych krain. Dnia tego rozmowa prowadzona w salonie

pani Lizy, większym jeszcze niż zazwyczaj odznaczała się zajęciem.

— Więc pan Rithorsten jest tak źle?

— Umierający! Lekarze nie wróżą mu więcej nad kilka dni życia.

— Ona była wczoraj u mnie, śliczna i wesoła.

— Właśnie dla tego.

— Nie rozumiem.

— Czyż pani nie wie? — i młody człowiek, udzielający tych wiadomości, nachylił

się ku swej sąsiadce i półgłosem prowadził dalej rozpoczętą rozmowę.

— A Dora?

— Zerwane.

— To być nie może, wszak ślub ich miał się już w lutym odbyć.

— Może ona zerwała?

— Ona? Kobieta do tego stopnia zakochana, nigdy pierwsza nie zrywa.

— Jeżeli spostrzegła że on zamierza zerwać?

— Najprędzej nic nie spostrzegła, a jeżeli widziała cokolwiek, łudziła się nadzieją że się myli.

— Opowiedzcież mi tę historię, nie wiem o niczem, a widzę, że to cały romans —

zawołała pani Jadwiga, młodziutka mężatka nowo zapisana do tego lyceum zepsucia, które się wielkoświatowem życiem nazywa.

— Panie Henryku, opowiadaj pan, znasz najlepiej bohaterów i zapewne zwyczajem

swoim, wszelkie tajemnicze strony tego romansu.

— Bardzo chętnie — odezwał się mężczyzna lat czterdziestu, którego Henrykiem

nazwano, zapalił papierosa i puszczając raz po raz kłęby dymu, wolnym głosem,

głosem człowieka, który opowiadania swego sam chętnie słucha:

— Bardzo chętnie — powtórzył. Romans pani Ewy Rithorsten z hrabią Leonem

Lacińskim rozpoczął się, jeżeli się nie mylę, lat temu pięć w Ostendzie. Byłem

tam wówczas

i śledziłem ich miłość dzień po dzień, aż do chwili, w której doszła do zenitu;

wtenczas śledzić przestałem, bo fakta dokonane mniej mnie zajmują.

Błogiego ich

szczęścia nic nie

zamąciło przez lat cztery, oboje byli tak dobrani fizycznie i moralnie, bo

fizycznie piękni, moralnie zepsuci, przytem tak zakochani w sobie, że mimowolnie

się pragnęło, by żadna fałszywa nuta nie przerwała harmonii tego mistrzowskiego

dziela. I przez lat cztery życzeniom tym stawało się zadość; nie
rozłączali się
prawie, zimą w tem samem siedząc mieście, latem u wód spotykali się
znowu. I
nikt się niczemu nie dziwił chyba temu, że pan Rithorsten dziwić się
nie
zaczynał.
Aż tu razu pewnego, ten mąż nieoceniony, oryginał w swoim rodzaju
a namiętny
astronom jak wiadomo, raczył spuścić oczy z gwiazd i nieba i powieść
wejrzeniem
po ludziach i ziemi. Zdarzało mu się to wprawdzie rzadko, ale
widocznie gdy
patrzył, widział dobrze i jasno, bo w kilku kategorycznych wyrazach
oznajmił
żonie, że pragnie by drogi pan Leon, wspólny ich przyjaciel, na zimę,
która się
właśnie rozpoczynała a którą razem spędzić mieli w Paryżu, przeniósł
się
gdzieindziej i postarał się nie spotykać więcej z niemi. Może jedynie
przez
wdzięczność, że tak późno wtrącił się w swoje w każdym razie
sprawy, a może z
wielu innych jeszcze przyczyn, pani Rithorsten i Leon zgodzili się od
razu na to
żądanie, i mimo rozpaczy rozstania, zdecydowali się na nie bez oporu.

Hrabia Leon wyjechał tutaj tak, jak się wyjeżdża na wygnanie, które
mu tylko
codzienna wymiana listów osładzała. Złe języki twierdzą, że wkrótce
potem
spotkali się gdzieś między Wiedniem a Paryżem, że cały tydzień
spędzili razem w
najbliższem sąsiedztwie pana Rithorsten, pod okiem jego prawie i że
mimo to

żadna czarna chmura, żadna mglista plama nie zaćmiła lunety badacza niebios.

Mówią także, że hrabia tym samym pociągiem, którym jechali małżonkowie, całą Austryę z nimi przejechał, ale tego nie jestem pewien, chociaż wydaje mi się to dość prawdopodobnem z powodu, iż są kobiety, które tem więcej kochają, im o tę miłość bardziej walczyć muszą. Tymczasem miejsce wygnania, jakim dla Leona była dotąd Warszawa, miało się wkrótce w raj zamienić, bo już to nieraz zauważyłem, że wygnańcowi najłatwiej stać się wybranym. W tłumie osób obojętnych spotkał jedną, która mu długo obojętną być nie miała. Tą osobą była pani Dora Choryńska...

— Chyba dla pani jedynie słów parę o niej powiem — dodał Henryk, zwracając się do pani Jadwigi — oprócz pani znamy ją wszyscy. Jest to młoda wdowa, która choć z mężem rok cały żyła, innego podobno wspomnienia ze swego małżeństwa nie wyniosła. Pan Choryński był to człowiek, o którym wo-

lałbym nie mówić; najmniejszymi jego wadami była namiętność do kart i stan wiecznie nie trzeźwy. W rok po ślubie umarł wskutek nieszczęśliwego wypadku spadnięcia z konia, zostawiając żonie jako pamiątkę po sobie przestrach i odrazę do małżeństwa. Przez lat siedm nikt i nic nie zdołało jej nakłonić do wejścia w powtórne związki, a niesposobności jej brakło, bo oprócz piękności niezaprzeczonej znaczny posiada majątek, a niestety! epidemią naszego wieku jest

część dla złota. Tą rozczarowaną , obojętną, nieprzystępną kobietą
zajął się
hrabia Leon, a w miarę, jak to uczucie potężniało, tem częstsze, tem
gorętsze
słał listy do Paryża, bo wrodzoną jest mężczyznom potrzeba
oszukiwania siebie, z
chwilą w której kobietę oszukiwać zaczynają. Podobno w listach
swoich hrabia nie
talił niczego, tylko prawdę w taki sposób podawać umiał, że zupełnie
przeistoczona dochodziła do rąk interesowanej osoby. Pewna swej
nieograniczonej
nad Leonem władzy, pani Ewa nie domyślała się niczego, a
tymczasem w sercu
hrabiego z nową miłością wznosiły się pierwsze mgły zapomnienia.
Czy kochał a
szczególnie jak kochał — nie wiem, ale nie wątpię, że był kochanym i
to bardzo
gorąco, bardzo namiętnie, tak, jak tylko kochać może kobieta
wygórowanie
surowych obyczajów, jaką była pani Dora, lekkie-

wicza, jakim był Leon. Po półrocznem oblężeniu, bo inaczej nazwać
nie umiem
miłosnych zabiegów hrabiego, urocza forteca poddała się i... wieść o
małżeństwie
tej interesującej pary, nie mało tu wszystkich zdziwiła.
Mnie osobiście ona dziwiła i nie dziwiła zarazem. Nie spodziewałam
się wprawdzie
po Leonie tej odwagi w obec pani Rithorsten, ale znałem go
dostatecznie także,
aby nie wątpić, że wszelkich użyje sposobów, by dojść do
zamierzonego celu.
Stosunek jego z panią Dorą uważałem za czysto platoniczny, dzisiaj...
w obec
zerwania — nie wiem, czy nie wypadnie mi zdania zmienić, bo
dewiza herbu

Licińskich , na niebieskiem polu złotemi wypisana literami, brzmi:
»Pole bitwy
tylko jako zwycięscy opuszczamy!«. Zresztą mniejsza o to, w każdym
razie było to
heroiczne postanowienie , powzięte w chwili rozpaczy lub... upojenia.
Zerwanie z
panią Ewą odbyło się listownie, jest to jedyny sposób godny
gentelmana, jeżeli w
dodatku pisać umie, tak łatwo oględnością zdania złagodzić można
szorstkość jego
znaczenia. Niemałą niespodzianką dla Leona był spokój, z jakim pani
Ewa znosiła
swe opuszczenie i wiadomość o zamierzonym małżeństwie kochanka,
ten spokój, to
poddanie się jej, bezwiednie ujęły siły nowym jego uczuciom.
Taktyka pani
Rithorsten, bo postę-

powanie jej było tylko taktyką, świadczyła o wielkiej znajomości
ludzi w ogóle a
mężczyzn w szczególności, u których do późnego wieku pozostają
ślady dzieciennych
kaprysów, choćby w tem tylko, że tego pragną, czego mieć nie mogą,
o to gotowi
się rozbijać, co im się wydziera. Wielka cisza, poprzedzająca burzę,
zaległa
chwilowo na kartach romansu, który pobieżnie szkicuję. Niespełna
miesiąc temu,
pan Rithorsten zachorował niebezpiecznie ; los zrządził, że
specjalista, do
którego ma zaufanie, rezyduje w Warszawie i tak w bardzo naturalny
sposób
rozłączeni spotkali się znowu, i od pierwszej chwili, w której złotawe
oczy pani
Ewy spotkały się z wejrzeniem Leona, mogła sobie należycie zdać
sprawę z wpływu,

który zawsze miały na nim wywierać. Z całym wyrafinowanym sprytem kobiecym, umiała hrabiemu ubarwić urokiem pierwszego zwycięstwa, jej chłodną kokieteryą spowodowany powrót jego. I wrócił, bo w życiu zawsze się wraca często do wspomnień tylko, czasami do rzeczywistości. Jak niegdyś dla Dory, Ewę opuszczał, tak teraz opuszczał panią Dorę dla niej, opuszczał dotkliwiej, boleśniej bo nie tylko kochankę ale narzeczoną. Otóż i cały romans, rozwiązanie łatwe do przewidzenia. Pan Rithorsten umiera, pani Ewa idzie za Leona a pani Dora w drugim

zapomnieniu, zapomni o pierwszym. Pan Henryk wstał, wesołym zadowolonym ruchem zatarł ręce i zapalił nowy papieros.

— Rzecz która mnie zawsze dziwi, rzekła pani Jadwiga, to ta ogólna wiadomość pewnych szczegółów, które w teorii dwóm tylko osobom wiadome być powinny.

— Ach ! teorya pani, jest tem tylko, czem drogowskaz na znajomej drodze, nikt się nim nie kieruje.

— Świadczy to zawsze o braku honorowej dyskrecyi u mężczyzn a temu przecież wierzyć nie mogę.

— A braku prawdziwej miłości u kobiet dorzucił milczący dotąd Alfred Torski, znany z licznych światowych powodzeń.

— Jakto? Jakto? kilka zawołało głosów.

— Zapewnić najprzód muszę, że mówię bezstronnie, ale wierzajcie mi panie, że

wiadomość pewnych szczegółów, które jak pani słusznie zauważyłaś,
w wyłącznej
wiadomości dwóch osób interesowanych pozostać powinny, dochodzi
nas najczęściej
jeżeli nie zawsze, z ust kobiet, dla których miłość jest często zabawką,
czasem
próżnością a nigdy uczuciem. Kiedy o niej mówią, zdradzają ją same,
jedynie z
chęci wzbudzenia zazdrości, potrzeby zadośćuczynienia próżności,
zapominając, że
tem samem rzucają się bezbronnie na pastwę

ciekawości ludzkiej, pod najostrzejszy skalpel jakim są złe języki. W
niedyskrecyi kobiet jest coś oburzającego, bezwstydnego, wstrętnego,
niedyskrecyę mężczyzn nazwałaś pani.

Pan Alfred uchylił nieco głowy przed panią Jadwigą, a po twarzy jego
przeleciał

uśmiech ironiczny, ale nie wesoły, z którym pożegnał panią Lizę.

Równocześnie

opuściła salon pani Jagwiga i idąc schodami zamienili słów parę.

— Czy świat panią nie przestrasza ? zapytał p. Alfred.

— Mnie ? więcej może uczy.

— A... I czegoż?

— Niedowiarstwa.

— Szkoda tej kobiety, pomyślał p. Alfred, patrząc za odjeżdżającym
powozem,

unoszącym panią Jadwigę, ma jeszcze wszystkie uczciwe illuzye
młodego wieku,

kiedy honoru mężczyzn w ich miłości szuka.

Tymczasem towarzystwo p. Lizy zajmowało się dalej tym samym
jeszcze przedmiotem
rozmowy.

— Czy zerwanie z Dorą już głośnie? — pytano.

— Czy już wszyscy o niem mówią?

— Gorzej niż mówią, bo już każdy z oso-

— bna w powietrzu to zerwanie czuje — odpowiedział p. Henryk.

— Czy ją pan widział?

— Byłem u niej, ale mnie nie przyjęła. Powiedziano mi że cierpiąca.

Oczywiście

choroba zmyślona, bo wczoraj....

W tem drzwi się otworzyły, p. Henryk zdania nie dokończył a w

pokoju na sekundę

zupełne zaległo milczenie.

— Ach, Dora! — zawołała pani Liza, zrywając się z miejsca i idąc ku nowoprzybyłej. — Nie spodziewałam się ciebie dzisiaj, ktoś mi mówił żeś

cierpiąca.

— Niezupełnie jestem zdrową, to prawda witając się na prawo i lewo, odpowiedziała p. Choryńska — ale nie zważam na to i przyszłam, wiedząc że cię

dzisiaj zastanę a chciałam cię pożegnać. Wyjeżdżam na wieś.

— Na wieś?

— W połowie grudnia?

— Cóż za myśl szalona?

— Dla czego?

— Interesa zmuszają mego ojca do wyjazdu z widocznym zmieszaniem odpowiedziała

p. Dora na tych kilka pytań. — Nie chcę go puszczać samego, ale wrócę niedługo,

bardzo niedługo.

— Czy i hrabia Leon jedzie z wami? — z udaną obojętnością zapytała Liza.

— Może pozwolisz cukierka ? — dodała natychmiast, chcąc pytanie niejako osłodzić.

— Nie — krótko odpowiedziała Dora.

— Jakie tu gorąco — dodała wstając nagle, aby odpiąć futrem podbitą zarzutkę.

Musiała jej być rzeczywiście bardzo gorąco bo po twarzy żywe przelatywały płomienie i z gorączkowym niemal niepokojem patrzyła na tych obojętnych, światowych przyjaciół, jakby w ich spojrzeniu wyczytać się czegoś obawiała. W chwili, w której ją poznajemy, Dora liczyć mogła lat dwadzieścia siedm. Była to średniego wzrostu, smukła szatynka, o regularnych, może troszkę ostrych rysach i ślicznych, o skończenie długim spojrzeniu zielonkawych oczach. Były to dziwne oczy, mogące same przez się stanowić piękność kobiecą, przypominające w swym niezrównanym spokoju, tajemnicze głębie morskie. W ślicznej nieco w tył wygiętej figurze i w całej swej osobie, miała pani Dora coś wyniosłego, coś dumnego, czego jej nie ujmował widoczny wyraz przygnębienia, które daremnie ukryć usiłowała. Tych oczu, które tak niedawno jeszcze świat wejrzeniem rozpromieniały, łyzy zdawały się tuż blisko. Na ustach tak szczerze śmiejących się wczoraj jeszcze, zdradzała siła woli coś nakształt śmiechu, co boleśniej przecież brzmiało niż łkanie. A zebrani w koło

niej przyjaciele, wszystkie te odcienia chciwie chwyтали i wejrzeniem podkreślali je sobie.

Wizyta pani Dory trwała krótko a po jej wyjściu różnego rodzaju posypały się uwagi.

— Widocznie wszystko zerwane — zawołała p. Liza — ten wyjazd na wieś ją zdradza.

Uważałeś pan jak się zmięszała gdym zapytała, czy Leon jedzie z nimi?

Było to pytanie okrutne, które w podobnych okolicznościach kobieta tylko

kobiecie zadać może. A! gdyby sobie jeszcze pytań trzeba w życiu odmawiać.

— Biedna Dora.

Biedna Dora! Różne głosy na różne powtarzały to tony a we wszystkich mało

przebijało się współczucia, bo w sercach kobiet nic mniej litości nie wzbudza

jak serce rozdarte innej kobiety.

Kiedy się już wypróżniły salony, pani Werneńska parę razy przeszła się po

pokoju. W dziwnie dobrym a raczej mile niespokojnym była humorze i nie wiedziała

sama dla czego, to też odnaleźć pragnęła przyczynę tego wewnętrznego zadowolenia

i wiodła oczami po tym pokoju, w którym zdawało się, że brzmia jeszcze echem

ostatnie rozmowy. Niby szeptem powtórzone doleciały ją słowa:

Biedna Dora!

— Biedna Dora ! — bezwiednie, z uśmiechem powtórzyła. Ta biedna Dora rozweselała

ją; nieszczęście jej ożywiało scenę światową, pani Liza przeczuwała cały szereg

faktów i wiadomości wzruszających i pilno jej było ich się doczekać.

II.

O dwanaście mil od Warszawy leżą Laszczyny, majątność ojca pani Dory, gdzie w

kilka dni po przyjęciu u Lizy Werneńskiej zastajemy ich oboje.

W sali jadalnej, o dębowych, gdańskich meblach i dębowym suficie,
płoną kłody w
olbrzymim, staroświeckim kominie. Ogień trzaska wesoło, iskry
snopami unoszą się
w górę, to deszczem ognistym spadają i gasną a światło lampy
wiszącej, łączy się
z blaskiem płomieni i jasno oświeca dwie osoby obecne w pokoju.
Jedna z nich, a
tą jest mężczyzna lat sześćdziesięciu i kilku, siedzi w wygodnym
fotelu przy
stole, na którym porozrzucone leżą gazety i stoi filiżanka czarnej
kawy. Pan
Nichliński pali cygaro, patrzy w ogień a ukradkiem spogląda na córkę,
która
siedząc koło niego, machinalnie, widocznie bez najmniejszej uwagi,
przerzuca
kartki jakiegoś ilustrowanego pisma. Ile razy spojrzy na nią, tyle razy
jakaś
czarna myśl przeleci po wyniosłym czole mężczyzny, w oczach
osiędzie, wyryje się
na

każdej niemal zmarszczce obfitującej w nie chudej twarzy.
Jest to twarz niezwykła, głowa typowa, w tyle tylko jeszcze rzadkim i
siwym
przystrojona włosom. Pod czołem ciągnącym się w nieskończoność,
oczy które
kiedyś, dawno temu, musiały być takimi jak są obecnie oczy córki,
bo ten sam
kształt zachowały, ćmiał już tylko dzisiaj światłem przygasłej
pochodni. Może
zbladły pod wrażeniem tego wszystkiego, co się przed nimi
przesunęło w życiu,
bo mgliste ich spojrzenie, ale w tej chwili wyrażają jeszcze wiele
cierpienia a

jest to podobno jedyny wyraz, który danem jest oczom zachować,
póki się nie
zamkną na wieki. Nos orli, wąs biały i starannie utrzymany, wysoka,
prawie
niepochylona postawa, wszystko to się składa na sympatyczną całość
tchnącą
rozumem i sercem, temi dwoma zaletami, które zazwyczaj niechętnie
w parze
chodzą.
Młoda kobieta zatrzymała się w przerzucaniu kartek, ogień dopalał się
ciszej,
cygaro w ręku pana Nichlińskiego popiełało od końca a on sam
zadumał się
głęboko. Dla czego właśnie dzisiaj myśl jego odbiegła w daleką
przeszłość i
odżywiała ją poniekąd, wytlómamaczyć i zrozumieć łatwo.
W Laszczynie gdzie się urodził, wychował i postarzał, siedząc
naprzeciwko córki,

zdawało mu się, że stoi między przeszłością a przyszłością swoją.
Przyszłość
zasmuciła go dzisiaj, więc spojrzął w przeszłość i utonął w niej.
Gdzieś daleko.... daleko tam, gdzie słońce życia wschodzi, widział się
młodym,
pewnym siebie, pewnym szczęścia, pełnym siły, woli, marzeń i
dążności. Zaznał
wszystkich rokoszy, wypił do dna kielich słodczy życia, wszystkie
uczucia
odbiły się o jego serce wszelkie szaleństwa wolny doń przystęp miały,
a zawsze
jeszcze czegoś szukał, zawsze za czymś gonił.
I tak doszedł do wieku, w którym człowiek zaczyna przed siebie
patrzeć i pytać,
co znajdzie na krzyżujących się drogach życia.
Ożenił się bez miłości ale pełen chęci uszczęśliwienia tej, która
późniejszą

próżnię zaludnić miała. Dwa sprzeczne charaktery, jakimi były
usposobienia
małżonków ścierały się początkowo, znenawidziły się później. Żyli
parę lat z
sobą i śmierć zabrała tę, która, jeżeli w życiu szczęścia nie znalazła,
udzielić
go nie umiała także.
Pani Nichlińska umierając, zostawiała córkę a unosiła wdzięczność ale
nie żal
męża.
Został wdowcem w wieku, w którym gwałtowne porywy serca
uspokajają się, a budzi
się drugie, stateczniejsze wierniejsze uczu-

cie, któremu jeżeli nie te same, to tyle co tamtemu zawdzięcza
mężczyzna upojeń
i wzruszeń. Uczucie to zwie się ambicyą, pragnieniem czy to
zaszczytów, czy to
wyżyn, czy to sławy, — tej aureoli, tej miłości, tej kochanki drugiego
wieku.
Polityka zapełniła odtąd życie pana Nichlińskiego, córka rosła przy
nim i
zdawało mu się, że teraz dopiero zaznał prawdziwego szczęścia....
Zdawało mu się
to.... aż do chwili, w której próżnię i czczość tej walki przekonań,
którym
właśnie przekonań brakuje, przejrzał i poznał. Wydało mu się
wówczas, że na tej
szerokiej politycznej arenie stoi sam, że sam jeden dąży do jakiegoś
wzniosłego
celu, który mu się wydawał być ogólnym, kiedy tymczasem jego
współzawodnicy
mieli cel inny, cel własny przed sobą.
I on dążył do mety obranej, bo człowiek każdy ma jakiś cel przed
sobą, ale

chciał dojść sprawiedliwie, bitą drogą prawdy i uczciwości;
tymczasem poznał, że
aby dojść, iść trzeba krętymi ścieżkami, zaprzeć się zdania, wyrzec
przekonań,
przestać być sobą. Tego nie czuł się na siłach dokonać, i wycofał się z
szeregów, których chciał, bo mógł być filarem, a był tylko prawą
jednostką,
ginącą w sprzecznym tłumie. Uczciwość jego ciężarem swoim jak
olbrzymi,
nieporuszony kamień, przykuwała go do jednego miejsca, czuł, że
dalej nie

pójdzie, i zawrócił. Zajął się córką i budzący się żywo umysł
dziewczynki
zastąpił mu to wszystko, czego się dobrowolnie wyrzekł. Nie
rozłączali się
odtąd, podróżowali wiele i dobrze im było razem. On młodził, ona
dorastała w
tem zetknięciu się każdochwilowem myśli. Jemu lat ubywało, a jej
młodości i
zacierała się częściowo różnica wieku istniejąca między nimi.
W tej pięknej dziewczynie, pełnej życia, swobody, burzliwej niemal
wesołości,
odnajdował ojciec dawne przepełnienie własnego serca i śmiał się do
młodości
swojej, odżywającej koło niego. Ale był ojcem i nie bez trwogi pytał
siebie
często, czy u kobiety serce tak gorące, namiętne, znajdzie szczęście na
drodze
życia, którą pójść jej było pilno a szła śmiało i nieustraszenie.
Niechętnie ale
z konieczności i z pewnym żalem lał zimną wodę doświadczenia na
kipiące uczucia,
na tę pełnię życia i gorącość serca. Ale czyż kiedy posłużyło komu
cudze

doświadczenie ? Dziewczę śmiało się z obaw ojca i potokiem słów
gorących
opowiadało mu życie takie, jakim malowała je młoda i bujna
wyobraźnia,
przedstawiało ludzi takich jakimi ich serce widziało.
— Białe kruki! Białe kruki! — zwykł wołać pan Nichliński, i odtąd ta
nazwa
pozostała między nimi i oznaczała wszelkie marzenia i illuzye.

W ośmnastym roku panna Teodora zakochawszy się wbrew
przedstawieniom ojca wyszła
za mąż. Małżeństwo jej, jak wiadomo nie było szczęśliwem; było
jednym z tych, w
których wygórowany cynizm mężczyzny, połączony z wygórowanemi
illuzacyami
kobiety, wytwarza wstrętną całość. Owdowiawszy, pani Dora
powróciła do ojca i
potrzebowała wiele czasu, aby się odnaleść w tem ogólnem
zawichrzeniu uczuć. Jak
się to często zdarza u kobiet w ogóle a szczególnie u Polek, których
charakter
najmniej ma równowagi, że we wszystkim, czy to złem, czy dobrem
idą drogą
nadmiaru: ta pierwsza próba życia wtrąciła młodą kobietę w jakąś
czarną zadumę,
w której już nie było i śladu białych kruków. Zawiedziona miłość,
wszystkie
brudy moralne, które się o nią obily, nadwreżyły cały jej własny
organizm
moralny, a wszystko w nim przecie pozostawało żywe, tylko
zwarzone pierwszym
mroźnym powiewem rzeczywistości, wydało jej się obumarłem na
wieki. W pierwszej
chwili marzyła o ucieczce od świata i ludzi, o zamknięciu się w
klasztorze,

następnie popadła w jakąś przesadną dewocję, która nie była prawdziwą nabożnością, ale potrzebę natur namiętnych: utonięcia w fanatycznym uczuciu.

III.

Czas, ten mistrz spustoszenia, ten władca zmian świata, ta moc obojętna i potężna, wolnym i łagodnym swym wpływem ukoił jej serce, uspokoił umysł i budził ją znowu, niby już inną a jeszcze tą samą, bo człowiek się rodzi z tem, co ma być podstawą, jakoby tłem jego charakteru. Wychowanie najprzód, potem życie i lata pracują ustawicznie nad niem, cieniują charakter, na pozór często zdołają inny nadać mu koloryt, kiedy właściwie, jak nie wszystkie farby przyjmują się wzajemnie, tak charakter przejąć się zdoła tem tylko, czego tło jego nie odrzuci.

Pani Dora powracała do zwykłego życia, niby głęboko rozczarowana, obojętna, nie pragnąca niczego, pewna, że życie skończyło się już dla niej. Ale to serce, którego połowę zajął ów mistycyzm religijny, drugą połowę bezwiednie miała przepełnioną obrazami białych kruków.

Choćby najgrubszą była warstwa śniegów spadłych w zimie, topnieją one za pierwszym.

promieniem wiosennego słońca, topnieją stopniowo, powoli, aż odślonią zżółkła murawę, ślad ich zaginie a natomiast nową zielenią uśmiechnie się ziemia.

Tym promieniem słońca, który stopił lody serca pani Dory, była miłość. I

wszystko pierzchno, uleciało, znikło jak śniegi i jak wiosenną murawą zakwitło

kochaniem.

Kochała się, jak trafnie określił pan Henryk na recepcji u pani Lizy, tak jak

tylko kochać się może w lekkiewiczach kobieta wygórowanie surowych obyczajów. Bo

też uroczym był ten lekkiewicz, uroczym zaletami i wadami a tych miał

niepospolitą ilość. Był lekkomyślnym, niestałym, ze słabym, niemal niewieścim

charakterem, a młodym, przestraszająco młodym na swych lat trzydzieści.

Dziecinny w swych uporach, bohaterski w postanowieniach, które jak ognie

sztuczne świetnie wznosiły się w górę i gasły od razu, co kochał wczoraj,

dzisiaj był gotów zapomnieć, jutro znowu namiętnie uwielbiać, a mimo to

szlachetny, odważny, dobry, tą dobrocią kobiety, którą łączy do łez poruszają a w

której sercu kryje się przecież niezrozumiałe, przerażające nieraz okrucieństwo.

Przytem był pięknym brunetem, o bladej twarzy, czarnych melancholijnych oczach;

sprytny, wesoły, zawsze do śmiechu gotowy, pojmujący wszelkie szaleń-

stwa dla kobiety kochanej, był gotów rzucić się z okna trzeciego piętra, gdyby

tego żądała a mimo to wszystko, uparty całą siłą pragnień swoich i nie
pojmujący
by jemu oprzeć się można. W tym to człowieku zakochała się pani
Dora i kochaną
była przezeń gwałtowną a rzadko kiedy trwałą miłością, podobnych
jemu ludzi.
Miłość odrodziła Dorę: była młodą, szczęśliwą, świat znowu w
różowe przybrał się
dla niej szaty i nieskończenie daleko widziała przed sobą w życiu
odblask tej
barwy upojenia. Dwa miesiące niespełna dzieliły ją od dnia ślubu, gdy
nagle
uczwała, że chwieje się ten gmach wspaniały sercem wzniesiony, że
chyli się i
grozi upadkiem. Podtrzymywała go całą potęgą wiary serca, pełnego
miłości, ale
gmach runął, bo destrukcyjnej sile, jaką wywiera serce, które już
miłości nie
czuje, nic się oprzeć nie zdoła.
Na tych gruzach szczęścia córki zatrzymały się dłużej myśli pana
Nichlińskiego.
Czyż z całego życia jego pozostało co więcej jak gruzy i tylko gruzy?
Zbliżał
się do chwili tego wielkiego, tajemniczego przełomu i z tego długiego
lat
szeregu cóż unosił z sobą? Wspomnienia! Te szczątki życia, takie
bezbarwne,
takie cichnące im dalej od chwili urodzenia stoją. Starcowi nad
grobem zdawało

się dzisiaj, że jest tem dzieckiem, które obsypano zabawkami różnego
rodzaju,
które je wszystkie chciwie przygarnęło do siebie i zaczęło się tak
niemi bawić,
że je połamało, potargało, aby się przekonać co się w nich mieści, a
znalazłszy

wewnątrz próżnię, odrzuciło je od siebie. Całe życie był tem
dzieckiem, a kiedy
się ono kończyło, w stosie tych przez niego niegdyś zepsutych
zabawek, widział i
te które ręką, córki jego podruzgotane zostały.
Wielka gorycz powstała w sercu pana Nichlińskiego na myśl, że nad
tą komedią
życia człowiek sercem cierpi i łzami płacze, że ciągle do szczęścia
dąży a
cudzem nawet szczęśliwy być nie może?
Czernie więc to szczęście ludzkie?
Przepalona kłoda w kominie zapadła się z łoskotem, Pan Nichliński
się ocknął,
pociągnął zgasłe cygaro i warstwa osiadłego na niem popiołu, jakby w
odpowiedzi
na myśl ostatnią, spadła mu na rękę.
Spojrzał i uśmiechnął się boleśnie, a wstając, strzepnął z siebie
popielaty
pyłek.
Dziesięć dni minęło, odkąd pan Nichliński z córką bawili w
Łoszczynie i
codziennie o jednej i tej samej godzinie pani Dora, długą, topolami
wysadzoną
ulicą, wychodziła na gościniec prowadzący do miasteczka, naprzeciw
pośtańca z
poczty. Codzień z rozczarowaniem

spotykała się tylko, a mimo to codzień wracała, i z bijącym sercem
odbierała
listy, między którymi zawsze oczekiwanego brakowało tylko. Nie
mogła wierzyć
jeszcze, by ten list, z upragnieniem wyglądany, nigdy nie miał nadejść
by już na
prawdę wszystko między nimi skończonem było!
Po raz setny, tysięczny opowiadała sobie przejścia ostatnich czasów, a
smutnym

jej myślom towarzyszył szum zimowego, wschodniego wiatru,
któremu wtórowały
ogolococone gałęzie drzew ogrodu, także jakimś zeschniętym umarłym
szelestem.

Myśl jej nie wracała do błogich dni przeszłości, dzisiejsza rozpacz
stawiała je
tak daleko, taka przepaść dzieliła ją od nich, że sił jej brakło, by
sięgnąć po
nie wspomnieniem.

Wznawiała w myśli straszną chwilę przeczucia, jakim się jej serce
ścisnęło za
pierwszym spotkaniem z panią Rithorsten. Pani Ewa przyjechawszy
do Warszawy,

bezwłocznie ją odwiedziła, pod pozorem, że narzeczona Leona dla
którego od tak

dawna tyle szczerzej ma przyjaźni, obojętną jej być nie może. Widziała
ją dzisiaj

jeszcze jakby na jawie, taką, jaką ją ujrzała wówczas, olśniewającą, w
rozkwicie

wspaniałym lat trzydziestu i kilku. Twarz ślicznej kobiety o
kameowych rysach,
kameliowej białości, oczach do światła istnie złotem

migocących i jasnych włosach, stała jej ciągle przed wzrokiem
wyobraźni.

Przypominała sobie każde słowo wypowiedziane przez panią
Rithorsten, która

mówiła o Leonie, o ich przyszłym małżeństwie, z dziwnym
enigmatycznym uśmiechem,

a młodej kobiecie zdawało się, że ile razy pani Ewa imię Leona
wymawiała, ile

razy spojrzała na nią, uśmiechnęła się do niej swymi karminowymi
usty, tyle razy

jakaś moc wszechwładna ujmuje jej miłości Leona i szczęcią ujmuje.
Przeczucie to nie było bezpodstawnem, bo bardzo prędko stwierdziły
je fakta.

Choć Leon na nowo owładnięty przez panią Rithorsten nie przestawał
odgrywać
pozornie roli najczulszego narzeczonego, moralnie zerwał już zupełnie
z Dorą,
która nie przypuszczając jeszcze, że go stracić może, czuła tylko ze
wzrastającą
boleścią, że jej miłość traci wszelki wpływ, jaki dotąd nad nim miała.
Czuła, że
gdy był przy niej, serce jego, myśli, oczy, nawet zmysły w inną
zwracały się
stronę. Walczyła długo, nim się przekonała, że jest prawie zwalczoną;
wtenczas
obok uczucia zdeptanej miłości obudziła się duma obrażona.
"Wstrętną jej była
myśl, że świat patrzeć będzie na jej upokorzenie, że widząc ją
opuszczoną,
ludzie może zechcą obdarzać ją litością, tą jałmużną obojętnych, i
odegrawszy
całą świa-

tową komedię, której aktem ostatnim była wizyta u pani Lizy,
wyjechała do
Łoszczyzny.
Ale na samem wyjeździe uległa pokusie tak zrozumiałej u kobiety
zakochanej, i
listownie przesłała baronowi ostatni krzyk rozpacz, który miał
dolecieć uszu
jego, ale nie odezwać się echem, w niewiernem sercu. Kończyła list
swoją prośbą,
by bez odpowiedzi został, jeżeli sercem nań odpowiedzieć nie był w
stanie.
Życzeniu jej stało się zadość. Odpowiedź nie nadchodziła, ta
odpowiedź, którą
milion razy wyobraźnią już czytała, której jedno słowo miłosne,
okupiłoby winy

przeszłości, tę przeszłość wymazało z pamięci i odnalezionem
błysnęło znów
szczęściem. Zamiast tego upragnionego słowa od niego, inne ją o nim
dochodziły
wieści. Odbierała liczne listy z Warszawy od przyjaciół i znajomych;
do
pierwszych zaliczała się pani Liza, która szczegółowe zdawała jej
relacje o
wszystkiem co się działo w stolicy. A działo się niewiele widocznie,
bo donosiła
tylko o chorobie pana Rithorsten, którego śmierci spodziewano się
lada dzień i
donosiła także, że Leon nie wychodził prawie z domu pani Ewy.
Gęsty śnieg zaczął padać i zasypywał ślady kroków młodej kobiety,
wiatr gnał nim
i mroził jej twarz, ale ona nic nie czuła, nic

nie widziała tylko postać zbliżającą się ku niej, której przyszła
wyglądać aż
tutaj!
Raz jeszcze, raz ostatni może, serce jej zabiło nadzieją, tą
uwodzicielką
ludzkości!
List był jeden tylko i był od pani Lizy. Patrzyła nań długo, nim go
otworzyła.
Zawierał on słów kilka donoszących o śmierci pana Rithorsten i o
wyjeździe wdowy
do Paryża, po którym nastąpił także wyjazd Leona. Pani Liza
zakończyła list swój
zdaniem: »Jakże to dobrze, że wszystko między wami skończone«.
Ręka z listem osunęła się wzdłuż sukni, twarz młodej kobiety
powlokła się
śmiertelną bladością i stała nieruchoma patrząc daleko przed siebie,
tam, gdzie
ołowiane niebo łączyło się z pokrytą śniegiem ziemią. Myśli
różnorodne w

bezlądzie plątały się po głowie i bolesnem biły o nią tętnem a usta
bezwiednie

głośno powtarzały:

— Wszystko skończone — wszystko skończone!

Poczęła chodzić szybkim krokiem tam i napowrót wzdłuż alei a w
sercu jej poczęły

się wznosić, tak jak osiadłe na wodzie męty, uczucia nieznane mu
dotąd, złe i

zawistne. Łza nie zwilżyła oczu młodej kobiety, tylko dreszcze
wstrząsały jej

smukłą postacią i usta zacisnęły się jakby kurczem bólu.

W tem odgłos dzwonu przypomniawszy jej, że zbliża się godzina
obiadowa. Nie chcąc

zaniepokoić ojca, spiesznie wróciła do domu, zdjęła futro i weszła do
jadalnej

sali, gdzie pana Nichlińskiego nie było jeszcze. Tutaj, przeszła się
parę razy

po pokoju, przecierając ręką czoło. Dziwnego doznawała uczucia, jak
gdyby jakimś

ciężarem obarczoną była. Spojrzała po sobie i wpadł jej w oczy list w
tej samej

ręce trzymany jeszcze.

To może on jej tak ciążył. W kominie rozpałał się ogień, przybliżyła
się doń i

automatycznym ruchem list rzuciła w ogień. Czerwone płomienie
objęły ćwiartkę

papieru, zwinęły ją, papier zaszeleścił, poczerniał, przeżroczał i... w
szczyptę popiołu zamienił się niebawem. A ona stała zapatrzona i nie
uważała jak

ojciec wszedł i zbliżył się do niej.

— Doro! — rzekł pan Nichliński, kładąc rękę na jej ramieniu. —
Doro! —

powtórzył. W tem jednym słowie mieściły się tysiączne uczucia.

Przywiązanie,

żał, zrozumienie jej cierpień, wszystko odnalazła w niem pani Choryńska.

Pieszczotliwym bardzo ruchem wzięła rękę jego w obie dłonie i opierając na niej twarz, jak to zwykła była za dziecinnych lat czynić:

— Mój drogi ojcze! — rzekła i głosem cichym, powolnym powtórzyła mu dosłownie

prawie treść listu pani Lizy, kończąc opowiadanie swoje mniej więcej tem samym

zdaniem, którem się ów list kończył:

— Jakże to dobrze, że wszystko między nami skończone...

Przymknęła oczy i umilkła na chwilę, a kiedy rozwarła je znowu i spojrzała na

ojca, uderzył ją wyraz smutku, rozlany na jego twarzy. Chcąc go rozweselić,

uśmiechnęła się i bardzo cichym, bardzo łagodnym szepnęła głosem, wskazując

wejrzeniem na okno, na które śnieg dużemi spadał płatami.

— Tak zimno, tak smutno! Cóż dziwnego, że znów zmarzły moje »białe kruki ?«.

Szarzało w pokoju, i pan Nichliński nie dojrzał bolesnego wyrazu oczu córki.

IV.

W końcu stycznia dopiero, pani Dora z ojcem powróciła do Warszawy.

Jeżeli młoda kobieta spodziewała się móżdż czas jakiś incognito zabawić w

stolicy, rozczarowaną była prędko. Skoro wieść o jej powrocie rozeszła się

między znajomymi, obleżyli ją poniekąd. Każdy chciał ją pierwszy powitać, a

raczej każdy chciał ją pierwszy widzieć. Powrotem swoim budziła na nowo blednące już wrażenia tak głośnej przed kilku tygodniami jeszcze sprawy. Zajmowano się nią napowrót, mówiono znów o bohaterach tego sensacyjnego zerwania. Pani Dora w jednej chwili stała się ciekawością, tem większą, że uczuć swoich nie zdradzała niczem. Powracała na scenę światową, jak ta wytrawna aktorka, której za kulisami tylko wolno być sobą, z uśmiechem na ustach, panią roli, którą odegrać chciała w obec rozciekawionego tłumu widzów, z jakich świat się składa. Czem było dla niej zerwanie Leona, oprócz niej, nikt dokładnie może nie wiedział.

Pan Henryk badał, ale nie zbadał wiele, bo mężczyzna zawsze pozorom uwodzić się daje. Pani Liza była przenikliwszą, czuła, że po za tą udaną wesołością i obojętnością, kryło się coś bardzo bolesnego w sercu Dory i za złe jej prawie brała, że się tak kryje z tem, czemby ją zająć, jeśli już nie zabawić mogła. Dora z największym spokojem słuchała opowiadań pani Lizy o zachowaniu się hrabiego po jej wyjeździe do Łoszczyn. Od niej się dowiedziała, że pani Ewa i Leon bawią ciągle w Paryżu, że w bardzo krótkim czasie ma się ślub ich odbyć, że tymczasem hrabia przesiaduje w domu pięknej pani Rithorsten na »quai d' Orsay«.

Słuchała tego wszystkiego w milczeniu, z tym samym uśmiechem na twarzy, którego

wyrazu uchwycić było trudno , czasami tylko powieki jej zadrżały
silniej i
przysłańały oczy na chwilę, a myśl jej ulatywała coraz częściej na to
»quai
d'Orsay», którego on nie opuszczał; szukała go tam, zbliżała do siebie,
aby ze
wstrętem, zaledwie myślą przestąpione progi schronienia obojga
kochanków, znów
co prędzej porzucić. Ale myśl uparta, wyobraźnia kapryśna, przenosiła
ją ciągle
w ich pobliże. W oczach jej stawały bezustannie postacie p. Ewy i
Leona, głosy
ich brzmiały w jej uszach, widziała ich zawsze razem, zawsze przy
sobie, i te
obrazy

chorej wyobraźni bolały ją, jakby były rzeczywistymi.
Co roku . lutego, jako dzień urodzin pani Lizy, państwo Werneńscy
dawali wielki
bal, na którym Dora być postanowiła.
Był to pierwszy bal młodej kobiety po próbie, przez którą przeszła i
wyrył się w
jej pamięci szeregiem godzin, stokroć przykrzejszych od tych, które
samotnie
spędzała a od których przecież uciec pragnęła. W tym strojnym, tak
wesołym na
pozór tłumie, w którym przecież tak mało jest prawdziwego szczęścia,
tak wiele w
nim udanego, uczuła się dopiero samą, prawdziwie opuszczoną i
nieszczęśliwą. Za
utraconem szczęściem z całą goryczą żałowała tam dopiero, gdzie
wesołość obijała
się o jej uszy, tam gdzie oczy jej spotykały się z wejrzeniami
szukającymi się
wzajemnie, gdzie uśmiechy odpowiadały uśmiechom, gdzie każda
osoba, sprzęt każdy

niemal, budził rozliczne wspomnienia na wieki zamarłej przeszłości.
Te sale pełne ludzi i gwaru, były dla niej próżnemi i głuchemi,
zdawało jej się,
że w swej jasnej jedwabnej sukni chodzi po jakimś ukochanym grobie
i cała drżąca
schroniła się do ostatniego saloniku, urządzonego w rodzaju
zimowego ogrodu.
Usiadłszy, spojrzała po sobie i jakby ze zdziwieniem patrzyła

na kwiaty, którymi przystrojona była jej suknia, na obnażone ramiona
i pytała
siebie co to znaczyć mogło i po co się ona tu znajduje?
Spojrzała około siebie i oczy jej zatrzymały się dłużej na rozłożystych
liściach
olbrzymiej palmy, pod którą niską ustawiono kanapkę.
Rok temu, w tymże saloniku, na tem samym miejscu siedzieli oboje!
Rok temu
dopiero upojoną i szczęśliwą była marzeniami o przyszłości, która się
dzisiaj w
niepowrotną przeszłość zamieniła. Rok temu i nic już z tego całego
szczęścia nie
zostało, tylko żal po niem. Żal dziwny, nie ten, który ze szczęśliwych
wspomnień
prawie szczęście drugie wytwarza, ale jakiś żal głuchy i zamieniający
bezwiednie
w nienawiść istniejącą jeszcze w sercu miłość. Jednym z
najboleśniejszych uczuć,
które danem jest człowiekowi odczuć, to bezwarunkowo ta
wewnętrzna walka
sprzecznych uczuć, w której co było dla serca wiarą, szczęściem tej
ziemi,
ulatuje z niego, w której serce czuje się zniewolonem nienawidzić i
gardzić tem
właśnie, co ubóstwiało wczoraj jeszcze. Straszna ciemność, próżnia,
zwątpienia

zalegają serce, bo bez tego bolesnego przejścia, gorąco wierzący nie staje się w jednej chwili ateuszem. Pani Dora w innym znaczeniu przechodziła przesilenie, które

z wierzącego robi niedowiarka, ale należała do rzędu fanatyków, bo przesilenie to u niej trwać miało dłużej; miłość nie zamieniała się od razu w nienawiść a przebaczenie, ten przedwstęp zapomnienia, nie wkładało się w serce. Siedziała nieruchoma, z twarzą wspartą na rękę, nie myśląc w gruncie o niczem, tak, jak się to zdarza w chwilach, w których myśli z nużącym uporem idą jedną i tą samą drogą w ciasnem kręjąc się kółku i wytwarzają jakieś zamieszanie w umyśle, który jakby chloroformem odurzony, myśli, nie myśląc przecież.

— Dobry wieczór pani.

Podniosła głowę, ale była tak daleko od miejsca, w którym znajdowała się rzeczywiście, że potrzebowała chwili czasu, aby sobie wszystko przypomnieć.

— Dobry wieczór — rzekła machinalnie.

Własny jej głos najlepiej ją do rzeczywistości przywołał; w tej chwili przywołała uśmiech na usta i podając rękę witającemu ją Alfredowi Torskiemu:

— Dobry wieczór — powtórzyła zupełnie naturalnym już głosem, rozkładając

wachlarz, którym wolno wachlować się poczęła.

— Pan już nie tańczy? — rzekła, wskazując mu miejsce obok siebie.

— Jeszcze nie — z uśmiechem odpowiedział pan Torski, siadając koło niej. — Wszak nie tańczę nigdy.

— A, prawda — odrzekła, okupując swoje roztargnienie bardzo miłym wejrzeniem.

— Pan nigdy tańca nie lubił?

— Owszem pani, lubiłem, bo w życiu zaczyna się od tego, że się wszystko lubi.

Potem...

— Potem? — powtórzyła Dora.

— Potem — rzekł Alfred — życie i ludzie tępią w nas tę trwałość przywiązania z jaką przychodzimy do świata i kończymy na tem, że nie lubimy nic.

Pytam siebie

czasami, czy przypuszczenia niektórych myślicieli niemieckich, które nam się

niedorzecznymi wydają, jakoby tylko pewna ilość przywiązania daną była ziemi do

rozporządzenia, nie jest słusznem przypuszczeniem. Może dla tego przywiązanie

ustaje u jednych, by je drudzy odczuwać mogli.

— Pan myśli?

— Myślę pani, bo gdyby gusta, przywiązanie, serca i ludzie mogli być stałemi,

ten świat byłby doskonałością i kończyłby się nie powinien, kiedy tylko

niedoskonałe rzeczy ulegają zepsuciu, to jest końcowi.

Pani Dora zarumieniła się troszkę, spojrzała bystro w oczy panu Alfredowi i po

chwilce milczenia rzekła poważnie:

— Masz pan słusność. Nieudolność ludzka do stałości, jest najlepszym dowodem niedoskonałości świata.

— Jest to może najpiękniejsza cnota, najtrudniejsza także, kiedy tak niewielu ją

posiada — nikt prawie — dodał znacząco pan Alfred.
— Nikt? — powtórzyła Dora — to może za ostre zdanie.
— Nie pani, sprawiedliwe tylko. Należę do ludzi nadzwyczaj
pobłażliwych jedynie
dla tego, że sam siebie surowo sędzę, więc mam niesłychane
wrozumienie dla
słabości ludzkich. Nie potępiam w nich tak bezwzględnie niestałości,
jak t:o
niektórzy zwykli czynić, najprzód, że stałość zdaniem mojem, jest
pewną siłą, do
której my pozostaniemy zawsze za słabi i za nieuodolni; następnie, że
cała
organizacya świata w ogóle, a ludzi w szczególności, opiera się na
zapomnieniu.
Zapomnienie jest tym moralnym biegunem, pod którym żyć musimy,
jeżeli w życiu
cokolwiek dobra zaznać chcemy.
— Nie bardzo rozumiem — rzekła Dora, zaczynając widocznie
zajmować się rozmową.

— Myśl moją postaram się pani jaśniej wytłómaczyć. Cóż jest
ostatecznie celem
życia ludzkiego? Szczęście, nieprawdaż? Otóż w tej długiej jak życie
samo
wędrowce ku niemu, w tej bezowocnej walce o nie, człowiek nic
innego nie robi,
tylko zapomina, wiecznie zapomina. Z chwilą, w którejby możność
zapomnienia
odebrana mu była, myśl szczęścia ustałaby dla niego, a nadzieja
straciłaby rację
bytu. Zapomnienie i nadzieja są nieodstępniemi towarzyszkami
człowieka i dzięki
tym darom, które go łudzą, idzie po cierniach drogi życia, często
jakby po
kwiecistej drodze. Bo któż nie cierpiał, któż nie płakał, któż nie zranił
się o

tak ostre kamienie, iż zdawało mu się, że ślady tych ran zachowa na wieki, a przecież łzy, cierpienia i rany, czas zagoił. Zapomnienia zbyt prędko może życie

nas uczy, ale, wierz mi pani, że jest to jedna z tych nauk życia, która nam na dobre wychodzi, i tą ścieżką, którą tyłu już poszło, pójść powinniśmy także.

Pan Alfred umilkł i spojrzał na panią Dorę. Młoda kobieta spotkała się odważnie

z wejrzeniem jego i po dłuższym milczeniu, rzekła:

— Wygłaszasz pan zdanie, któregoś nie był zawsze zwolennikiem.

Mówiono mi... pa-

miętam o tem sama, żeś pan stałością, długą pamięcią świat zadziwił.

— Dla tego ... właśnie dla tego ! żywo zawołał p. Torski, dzielę się z panią

doświadczeniem mojem, którego wynikiem jest przekonanie , że nie warto być

stałym, nie warto pamiętać i... kochać nie warto.

— A cóż warto? — łagodnie zapytała Dora.

— Co warto? — powtórzył p. Torski, warto może używać dobrych chwil życia i nie

brać im za złe, gdy się ich brzydką stronę odkryje, to jest gdy miną.

Sny, pani,

wiecznie trwać nie mogą a szczęście jest snem tylko, z którego

przebudzić się

trzeba.

— Niestety!

— To zależy... Wolę się ze snu szczęśliwego przebudzić, niż nigdy szczęścia nie

doznać.

— A czemże jest przebudzenie ze snu szczęśliwego?

— Za młodu, rozczarowaniem; później koniecznością.

— Jesteś pan okropnym sceptykiem.

— Bo byłem marzycielem.

— A czemuże być lepiej?

— Gdyby było danem obrać sobie usposobienie, chciałbym się był urodzić takim,
jakimi się rodzą ludzie, którzy względnie

szczęśliwi być jeszcze mogą. Praktycznym, pozytywnym, lekko egoistycznym,
lubiącym najprzód siebie i wygody swoje a bliźnich o tyle, o ile spokojnie
czynić to można. Z emocyi, obrałbym te, które polowanie nastęcza, z namiętności
przywiązanie do majątku. Lubiłbym po trosze wszystko, nie wyjąwszy dobrej
kuchni, chodziłbym po ziemi nie pragnąc nigdy wzbijać się wyżej i umarłbym, nie
żałując niczego szczególnie, ale żałując życia samego, w któremby mi było
spokojnie, dobrze i wygodnie.

— A gdyby pan miał się kobietą urodzić?

— Chciałbym się urodzić tą Niemką praktyczną i sentymentalną zarazem, która się
dwadzieścia razy w życiu kochała gorąco i szczerze a za każdym razem myślała, że
to raz pierwszy i ostatni; która młodością córki na starość młodnieje, jej
miłością się kocha i umiera jak Kitty Heinego, myśląc o Heinrichu i jego
ciepłych pończochach. Albo ... chciałbym być tą wybraną istotą, których tak mało
między kobietami a której cały romans życia w małżeństwie zawarty ... i
chciałbym także mieć oczy pani.

— Czyby one do szczęścia były panu potrzebne?

— Do uszczęśliwienia; bo kobieta szczytów egoizmu nie dosięgnie nigdy i do
zupel-

nego, własnego, szczęścia zawsze potrzebuje drugie stwarzać koło siebie.

— Źle byś pan może wybrał, oczy moje uszczęśliwiać nie umiały....

Domawiając tych słów, pani Dora wstała, trochę nerwowym ruchem złożyła wachlarz

i postąpiwszy o parę kroków stanęła nad klombem kwiatów,

przypatrując im się

uważnie. Z równą uwagą patrzył na nią pan Alfred, i dziwnego

doznawał uczucia,

jak żeby on, który ją znał od lat dziesięciu mniej więcej, widział ją w tej

chwili po raz pierwszy. Oczy jego badawczo śledziły każdy rys jej twarzy,

zatrzymały się dłużej na obnażonych ramionach, które biała, atlasowa okalała

suknia, spływając lśnięciami fałdami wzdłuż zgrabnej, kształtnej figury, i

utkwily nareszcie na nóżce, która w swym białym stroju wysuwała się z pod sukni.

Było to zwyczajne, ale zawsze kobieca noga podsuwała panu

Torskiemu, jego

najlepsze czy też najgorsze myśli, a pani Dora miała nóżkę śliczną, nóżkę

wymowną, wąską długą, nóżkę kobiety ładnej i inteligentnej, która umiała się

nie ograniczać na pięknych oczach.

Zadumę, w jaką popadł Alfred nad tym białym, atlasowym

trzewiczkiem i ażurową

pończochą, przerwała pani Dora.

— Wie pan, — rzekła — wybieram się w marcu do Abbazii.

— A to doskonale! — ze zdziwieniem zawołał pan Torski — bo i ja mam ten zamiar.

— Spotkamy się tam zatem — obojętnie odrzekła młoda kobieta.
— Śliczny ma pani wachlarz — rzekł Alfred, który wstał i podawał Dorze wachlarz z popielato-srebrnych piór, zapomniany przez nią na kanapie.
W tej chwili zajrzała do pokoju twarz pana Henryka i oczy jego przez przeciąg sekundy, spoczęły na Alfredzie, oglądającym wachlarz i na pani Dorze, stojącej tuż obok niego i także przypatrującej się wachlarzowi.
Pan Henryk cofnął się dyskretnie, a napotkawszy panią Lizę, opowiadał jej coś półgłosem, domawiając głośniejszym z wejrzeniem wskazującym na zimowy ogród:
— Akt drugi! akt drugi!
Złośliwy uśmiech przemknął po twarzy pani domu, postąpiła parę kroków i stanęła w drzwiach saloniku.
Ujrzawszy ją Dora, przybliżyła się do niej, zapominając wachlarz w rękach Alfreda i obie razem powróciły do balowej sali.
Torski pozostawszy sam, usiadł na miejscu, które dotąd zajmował i wachlarzem pani Dory wachlując się bardzo wolno, przymknął oczy. Dziwne uczucia, dziwne myśli budził w nim ten delikatny powiew piór srebrnych.

Unosiła się z nich jakaś woń, którą chwytał z rozkoszą; dyskretny szelest, jakim pióra biły powietrze, odzywał się do niego głosem i mową, jakimi dotąd nigdy nie przemawiała doń wachlarze pani Dory, a nie po raz pierwszy miewał je w ręku.
Nikt takiego wyboru wachlarzy nie miał jak ona, a on znów był ich wielkim amatorem. Przypominał sobie u niej wachlarz »Watteau«, którym się zachwycał w

swoim czasie. Piękniejszym był on niezaprzeczalnie od tego,
dlaczegoż mu ten był
tak miłym... miłszym od wszystkich dotąd.
Otworzył oczy i spojrzął na rozłożone pióra, które migotały i drgały
jeszcze
ostatniem poruszeniem i zdało mu się, że coś innego jak pióro drży i
migocze w
nim i koło niego.
Złożył wachlarz, i na szyldkretowej jego oprawie ujrzał misternie
wykończony
złoty napis: »Dora«.
— Dora! — powtórzył półgłosem, i zdawało mu się, że to imię obija
się po raz
pierwszy o jego uszy, że on sam po raz pierwszy je wymawia;
zdawało mu się tak,
jak przed chwilą, że tę, która to imię nosiła, poznaje dopiero. I patrząc
na
napis wachlarza, ciągle widział smukłą, białą postać pani Choryńskiej,
jej
jasno-orzechową główkę i te pię-

kne oczy, w których dzisiaj dopiero odkrył dar uszczęśliwiania, które
dzisiaj
dopiero przyciągały go jakąś siłą atrakcyjną zielonych toni. Nie
wiedział
dokładnie co czuje, wiedział tylko, że obudziło się w nim dawno już
istniejące
uczucie, coś, co opanowało go tak nagle, tak prędko, jak myśl zrodzić
się może;
coś, co zrobiło, że bezwiednie prawie powiedział, iż jedzie do
Abbazii, kiedy
rzeczywiście nigdy o tym wyjeździe nie myślał. Wszedł przed
półgodziną zaledwo
do tego salonu bez żadnej innej myśli prócz chęci porozmawiania z
panią Dorą,

którą znał dobrze i zawsze był jej życzliwym, i to z tego jedynie powodu, że życzliwość była mu wrodzoną. Mówiąc z nią, przypominał sobie jej ostatnie przejście, a nie mogąc otwarciej, w obojętnej na pozór rozmowie, chciał jej dać radę tylko. Wtem, zdanie o jej oczach wymknęło mu się nagle, z przekonania powziętego od razu, w jednej chwili, i teraz w tym samym salonie, w którym tak nie dawno jeszcze patrzył z zupełną obojętnością na parę zakochanych i narzeczonych, tak niedawno, że zdawało mu się, iż ich widzi jeszcze siedzących koło siebie pod tą palmą, która była ich ulubionym schronieniem, teraz wstrętną mu była myśl, że Leon ją wówczas kochał, i że ona przez tamtego szczęśliwą była.

Patrzył długo to na opróżnioną kanapkę naprzeciwko siebie, to na wachlarz trzymany w ręku. Jedno przedstawiało mu przeszłość, drugie przyszłość; zapominał o pierwszej by się do drugiej uśmiechnąć, a otwierając wachlarz napowrót, począł się nim machinalnie bawić a myśli tymczasem odbiegły dalej.... naprzód drogą, którą szły już często w życiu, pójść więcej nie myślały a jednak szły znowu powabne, lekkie i wesołe! Torski, z chwilą, w której go w zimowym ogrodzie pani Lizy bliżej poznajemy, dobiegał czterdziestu lat wieku. Był to wysoki blondyn, o regularnych rysach, ciemno szafirowych zmęczonych oczach i ironicznie narysowanych ustach, które

blond broda, przypruszona już nieco śniegiem siwizny, na wpół przysłania.
Moralnie był to »gentelman« w całym, szerokim tego słowa znaczeniu. Obracając się od lat najmłodszych w najlepszych światowych kołach, temu zawdzięczał może nadzwyczajną tak moralną jak fizyczną ogładę swoją, niemożliwą do nabycia gdy się z nią nie wzrośnie; dystynkcyę i delikatność myśli, słów i ruchów, których co raz mniej u mężczyzn a które mimo to a może właśnie dlatego, kobiety coraz więcej oceniają. To też nie będąc ani niezwykle pięknym ani niezwykle rozumnym, nie-

zwykle miał do nich szczęście. Psuty powodzeniami, nie zepsuł się niemi, ale może popsuky mu one trochę wyobrażenie, o kobiecie. Było ono w ogóle dość smutne. Kobiety ubóstwiał ale gardził niemi poniekąd; były to dla niego niezbędne i śliczne stworzenia, które źle czyniły z wrodzonej ku temu skłonności, dobre bywały czasami, przypadkiem, dzięki kaprysom okoliczności. W uczciwość pod żadnym względem nie wierzył. W tym amalgamie złych i dobrych popędów, nie ufał, by dobre kiedykolwiek wziąć mogły górę. Był to sceptyk, który jak się sam do tego przyznawał, marzycielem był w swoim czasie. W swoim życiu Torski przeszedł przez wielkie rozczarowanie i wraz z niem wszelkie, możliwie istniejące jeszcze iluzye, uleciały bezpowrotnie z serca. Długo trwający stosunek w świecie, do którego gorąco przylgnął, w najtrywialniejszy sposób w jednej chwili został rozwiązany. Po tem zerwaniu

mógł się przekonać, że w tem, co brał za miłość, więcej było obłudy
kłamstwa,
wyrachowania niż uczucia i odtąd w nie nie wierzył; wierzył w
mniejszą lub
większą atrakcyjną siłę temperamentów, która dwoje ludzi zbliża,
łączy na czas
jakiś.... potem stygnie i na powrót rozdziela.

Nieprześlągany nieprzyjaciół małżeństwa, nie pojmował odwagi tych,
którzy
łańcuchem, mającym trwać długo, jeżeli nie wiecznie, ujarzmić chcą
to wszystko,
co istnieć może tylko przelotnie i to pod warunkiem, że ujarzmiomem
nie będzie.
Wykluczysz poniekąd istnienie i działalność serca, które zmysłami
i
zmysłowością zastąpił, szczęścia nie szukał, bo w przekonaniu jego,
dość
racyonalnem zresztą, wraz z sercem uszło ono ze świata; ale wierzył
że są dobre,
niemal szczęśliwe chwile w życiu i z tych korzystał. Białością śniegu,
leżącego
ku błotnistej drodze cieszyć się można dopóki nie stopnieje; czas to
wprawdzie
krótki, lepiej wszakże, jak żeby i tego zupełnie nie było.
Torski wierzył, że w tej zdolności przyjmowania i odczuwania
wrażeń, które świat
w bezmyślnej banalności swojej, ludzie w zaślepieniu zwać zawsze
będą miłością,
jest taka krótka chwila zupełnej białości, i ta mu wystarczała.
Bal u pani Werneńskiej był pierwszym i ostatnim, na którym roku
tego ukazała się
pani Dora; zaraz bowiem potem, pod pozorem zdrowia przestała
bywać w świecie, a
w końcu lutego wyjechała wraz z ojcem do Abbazii.

Czy zdrowie młodej kobiety prawdziwie było nadwreżonem,
powątpiewano w ogóle;

ale co było prawdą, a o czym nie każdy mógł wiedzieć, to że więcej
niż

kiedykolwiek czuła się moralnie a przez to samo fizycznie,
rozstrojoną.

Powracając do Warszawy, rozpoczynając na nowo życie, którem żyła
dawniej,

zbytecznie własnym ufała siłom, te ją zdradziły i opuściły niebawem.

Wybór celu

podróży, który czyniła, był jakoby powodowany jakimś niejasnym
przeczcuciem.

Razu pewnego, lat temu kilka, wpadło jej w oczy to nazwisko na
karcie

geograficznej, podobało jej się może dla tego, że brzmi tak ładnie , jak
się je

po włosku wymawia. Po tem przelotnem wrażeniu lat kilka minęło i
teraz, kiedy

pragnęła uciec na czas jakiś daleko od kraju, schronić się w jakieś
ciche,

samotne ustronie, gdzieby mogła między obcymi, im także obca,
spędzić pewien

przeciąg czasu, przypomniała jej się miejscowość o sympatycznym
nazwisku.

Instynktem wiedziona, przeczuła, że pokochała to miejsce i pytała
siebie, czy w

niem nie odnajdzie także utraconego spokoju. Dotąd dalekim był on
od niej. Coraz

to gwałtowniejsza burza miotła jej sercem, coraz to boleśniej cios
nań zesłany

mu dolegał, jak żeby czas, zamiast go stępić, zaostrzał raczej grot,
który w jej

serce ugodził. Tę samą jeszcze intensywną ciekawość, wywoływały u
niej wszelkie,

choćby najdrobniejsze szczegóły,

dotyczące Leona i pani Ewy. Wieści o nich stawały się coraz rzadszemi, byli zapewne szczęśliwi... i zbyt daleko, by się dłużej niemi zajmowano. W wszechwiedzącym i złośliwym salonie pani Lizy, poufni inną poruszali kwestyę, nowe stwarzali sytuacje. Pani Werneńska uradziła na balu z Henrykiem, że Alfred Torski odegra rolę pocieszyciela w obec pani Dory i postanowili oboje śledzić postęp rozpoczynającej się ich zdaniem akcji, gdy tymczasem bohaterowie uniemożliwiali im robienie uwag, schodząc im z oczu. Alfred udał się do Paryża, uprzedzając w wyjeździe panią Dorę. Wkrótce potem młoda kobieta wyjechała do Abbazii.

V.

Mattuglie — Abbazia! Pociąg wiedeński idący do Fiume, zwalniał już biegu od chwili, nareszcie przystanął zupełnie na maleńkiej stacyi, której nazwisko po pod okna wagonów obwoływał konduktor. »Abbazia« ! — powtórzył, otwierając drzwiczki jednego z wagonów pierwszej klasy. Kilkanaście głów wychyliło się z okien, patrząc z obojętną ciekawością podróżnych za osobami, które na tej stacyi wysiadały. Była to pani Dora z ojcem i panną służącą. Na stacyi czekał powóz i podobny kształtem do karawanów naszych omnibus, z napisem »Abbazia«.

Był to wehikuł, przeznaczony widocznie pod rzeczy, złożono bowiem
na nim kufry
przyjezdnych, obok których usiadła i panna służąca, kiedy tymczasem
pan
Nichliński z córką zajęli miejsce w powozie i oba ekwipaże ruszyły
wolnym
truchtem po kamienistej drodze.
Choć to było dopiero w drugiej połowie marca, pomimo wczesnej
godziny, bo siódma

z rana zaledwie dochodziła, promienie słoneczne, niby rozlane po
szafirowem
niebie, silnie już dopiekały i ostrym blaskiem odbijały się o kredową
białość
drogi, którą się przez chwilę równo z kolejowym torem jechało,
skręcając potem
na lewo w las, gdzie droga wiję się wąskim pasem i przebywszy
stromą, skalistą
górze, spuszcza się nareszcie w kotlinę, w której leży Abbazia. Na
prawo las, na
lewo osady nadmorskie, a przed sobą widzi się jakąś szarą, w mgłach i
słońcu
tonącą równinę. To morze, które o tej godzinie pochłania ostatek mgły
rannej,
oddala słońce, które zda się kąpać w niem jeszcze i nagle, prawie w
jednej
chwili, olśniewa szafirowym swoim wodnym majestatem, iskrzącym
od promieni
słońca, jakby gwiazd złotych miliardy w niem się pluskało. Po nad
niem wznosi
się sklepienie takie szafirowe, takie pogodne, że najmniejszej chmurki
na niem
nie dojrzysz. Tyle słońca, tyle spokoju zeń spływa na ziemię, że to
słońce, ten
spokój, zda się przez oczy wkradać w serce i myśli ludzkie. Serce bić
zaczyna

przyspieszonym tętnem, w myślach, brzmi jakaś struna weselna,
śmiejąca niepomna
wczoraj i jutra, struna zapomnienia i szczęścia.
Niebawem zabudowania Abbazii zasłoniły widok morza, konie pod
górkę zwolniły
biegu

i równie wolno z niej zjechały, potem powóz skręcił na lewo i stanął
przed
hotelem »Qaur-nero«.

Właściciel widocznie uwiadomiony o przyjeździe gości, wyszedł na
ich spotkanie,
odprowadził do przygotowanego apartamentu, zeszedł do siebie,
wpisał w listę
osób bawiących w jego hotelu imiona nowo przyjezdnych i do
zwykłych powrócił
zajęć.

Wkrótce potem zastajemy pana Nichlińskiego z córką w salonie ich
apartamentu.

Pan Nichliński elastycznym jeszcze krokiem chodzi po pokoju i
zwykłym sobie
ruchem, ręce zaciera, a chodząc, wesoło brzmiącym głosem opowiada
córce o
sympatycznym wrażeniu, jakie na nim Abbazia zrobiła ; robi program
dnia,
podziwia jasne obicia pokoju, gustowne i wygodne urządzenie
mieszkania, słowem
widocznie wszelkich dokłada starań, by jakąkolwiek nawiązać
rozmowę a
przekonawszy się, że mu się to nie uda, postanawia wyjść na
przechadzkę. Przez
cały ten czas pani Dora stała nieruchoma w otwartym oknie, przez
które
dochodziły ją jakieś orzeźwiający, słone powiewy od morza, które tuż
przed nią

rozciąga swą srebrzystą równinę. Spojrzała do koła, zewsząd ten sam,
ten
odrębny, pełen rozkoszy dochodził ją spokój. Powietrze było jasne,
przezroczyste.... a gdy

cichły ludzkie głosy dochodzące ją z dołu, słyszała plusk wody
rozbijającej się
o nadbrzeżne skały. Abbazia, to najmłodsze, najświeższe i
najpiękniejsze dziecię
wybrzeży Adryatyku, wyciętem się zdaje z błogosławionych krain
Południa. Po
dwunastogodzinnej podróży, którą rozpoczynasz na »Südbahnie«
wiedeńskim, wśród
gwaru i ruchu wielkiego miasta, pojąć nie możesz jakim sposobem w
tak krótkim
czasie znajdujesz się tak daleko od wszelkich banalności cywilizacji,
na tem
cichem, skalistem wybrzeżu, z morzem u stóp twoich, z całą, florą
Południa w
koło siebie.
Abbazia! piękna, słoneczna, niebieska od odblasku nieba i morza,
budząca się
powoli do gorączkowego życia ludzi, zachowuje dotąd jeszcze jakiś
urok
dziewiczy, jakieś piętno właściwe sobie, którego ręka ludzka zetrzeć
tak prędko
nie zdoła, polega ona bowiem na idealnie pięknem położeniu,
niezrównanym spokoju
tych wybrzeży, którego nabierają może od tych wód cichych
milczących jakimi tam
Adryatyk płynie.
Hotel »Quarnero«, kilkanaście will, kilka mniejszych domków, otóż i
cała
dzisiejsza Abbazia okolona ogrodem, w którym smukłe cyprysy,
drzewa poziomkowe,

olbrzymie Latonie naturalnie rosną. A ten ogród opiera się o skały i
leśne góry
z jednej strony, z drugiej

zaglądałby na morze, gdyby go odeń nie dzieliła kamienna balustrada.
Pojawienie się pana Nichlińskiego i Dory w jadalnej sali o godzinie
obiadowej,
która mniej więcej całe gromadzi towarzystwo, zrobiło pewne
wrażenie. Osoby
bawiące w Abbazii znały się już czy to z widzenia, czy osobiście i
nowo przybyli
ogólne obudzili zajęcie.
Zewsząd oczy zwracały się ku nim, dowiedziano się od razu kim są i
z ką
przybywają, gdyż tutaj, tak jak wszędzie zresztą, wystarcza o to
zapytać
pierwszego lepszego garsona.
Badawcze wejrzenia kobiet, śledzących elegancką toaletę młodej
kobiety, pełne
uznania dla jej piękności wejrzenia mężczyzn, nie obudziły z zadumy
obojętnie
przed siebie patrzącej Dory.
Sala jadalna przedstawiała znany widok świata „en miniature”. Byli
tam ludzie
różni i ze stron różnych. Ludzie szukający zdrowia, spokoju,
rozrywki, ukrycia
lub nowości. Turyści świata i turyści życia. Tam naprzykład, ta młoda
para taka
swobodna i taka wesółą, to młode małżeństwo, które drogę życia po
kwiecistych
ścieżkach Abbazii rozpoczyna. Ta znów rodzina cała, głośna, jowialna
»gemüthlich“, jak tylko Niemcom być dane, po ca-

łorocznej może pracy, słońcem się upaja, pięknem odpoczywa.

Dalej.... te dwie panie, to ta typowa, w każdej narodowości u wód szczególnie,
matka piękniejsza od córki, która pod pozorem, że ją bawi, bawi się sama, ją
ubierając siebie stroi i kontenta, świeża, zbyt często za pomocą sztuki, rozgląda się w koło siebie, wita poufale znajomych, ofiarowuje miejsce u swego stołu i hałaśliwą wesołością zwraca na siebie uwagę. Tutaj znów, ta podstarzała już nieco, z rafinowaną elegancją i zbytkiem ubrana dama, której towarzyszy zawsze i wszędzie mężczyzna młodszy od niej, widocznie niebędący ani jej synem, ani jej bratem; to najobrzydliwsza kategoria ludzi, należących częstokroć do najwyższej sfery, którzy występku nie ubierają nawet w płaszczyk tajemnicy, ale przeciwnie na srebrnym półmisku podają go światu. Tu znów poważny Anglik, na którego twarzy wypisane, że tu jedynie „en touriste” przyjechał i że go nic nad zwiedzanie miejscowości nie obchodzi, tymczasem z wielkiem namaszczeniem zjada »rostbeaf« i spogląda z pod oka na eleganckiego młodzieńca, zajmującego sobą niemal cały personal służbowy, obecny w sali. Na pierwszy rzut oka poznajesz w nim Polaka; sądząc tylko po

tej nieszczęśliwej a nam wrodzonej fanfaronadzie, chorobie udawania, manii tak trafnie określonej przez Niemców słowem »Grossthuerei«.
Po kilkudniowym pobycie w Abbazii, znać można wszystkich, lub nie znać nikogo.
Jest to zbyt mała miejscowość, by się na każdym nie spotkać kroku.
Czy to u

morza, czy na spacerze, czy wreszcie przy śniadaniu, obiedzie i herbacie, zawsze te same widzisz twarze. Przyzwyczajają się do nich, parę słów przy sposobności się przemówi, nazajutrz kłania się sobie wzajemnie i znajomość zrobiona, którą można dalej prowadzić lub w nieskończoność na tej samej pozostawić stopie.

Pan Nichliński był człowiekiem zanadto światowym, towarzyskim i uprzejmym, by w bardzo krótkim czasie nie mieć już małego grona osób znajomych, z którymi po obiedzie siadywał nad morzem, paląc cygaro.

Córka jego mniej się oddawała życiu towarzyskiemu. Obojętna na gorąco, nie znająca zmęczenia, ogromnie robiła wycieczki to pieszo, to gondolą po morzu, a że nad wszystko pragnęła samotności, uszczęśliwioną była z towarzystwa, które sobie znalazł ojciec, bo to jej pozwalało opuszczać go bez skrępowań. Samotność zbawienie wpłynąć mogła na jej obecne usposobienie, bo wpływ natury bywa

często skuteczniejszym od wpływu ludzi. Czyniąc zadość życzeniu objawionemu

przez Dorę widząc zresztą, że najmniejsza alluzja do przeszłości, która dla niej

nie przestała być jeszcze terażniejszością, rozdrażnia ją i irytuje, pan Nichliński żadnym słowem jej nie przypominał.

Już od dni dziesięciu bawili w Abbazii; młoda kobieta zachwycała się tą

miejsцовością uroczą, do której z gorączkową niemal zdążała niecierpliwością, i

czy to przypisać należy zbawiennym wpływom powietrza, morza, czy oddalenia, ale

zdawało jej się, że wszystko co w jej oczach było tak straszne,
okropne,
przybierało mniejsze rozmiary.

Pewnego popołudnia pan Nichliński zaproponował córce, by mu
towarzyszyła w
odwiedzinach, które pragnął odbyć.

— Tutaj? — zapytała zdziwiona Dora.

— Tak, wystaw sobie — odpowiedział Nichliński — wczoraj dopiero
się

dowiedziałem, że księżna Murgano, która zajmuje willę Margherita,
jest moją

dobrą znajomą z bardzo bardzo dawnych czasów. Będąc za młodu w
Rzymie, gdzie nie

miałem nikogo ze znajomych, niezwykle miłego przyjęcia u niej
doznałem. Księżna

jest Polką z domu, a choć nigdy w kraju nie była, bo urodzona i
wychowana za

granicą, wyszła za mąż za Włocha, zachowała wiele przywiązania dla
nie-

znanej ojczyzny i szczerą sympatyę dla swoich ziomków. Byłem
młodym, nieznanym,

w obcym kraju, życzliwość księżnej była tak prawdziwym dowodem
serca, że nie

zapomniałem tego jej nigdy i kiedy się sposobność zdarza, pragnę jej
te dawne

czasy z wdzięcznością przypomnieć. Bardzo dawne czasy! powtórzył
pan Nichliński,

księżna była wówczas młodziutką i śliczną osobą.

Pani Dora nie sprzeciwiała się życzeniu ojca i w chwilę później
anonsowali się

oboje w Villi Margherita. Przyjęto ich od razu . i w salonie zastali
księżnę,

która powitała ich serdecznym uśmiechem, zapewniając że imięnia
swego młodego

protegowanego z Rzymu nie zapomniała wcale. Księżna należała do
rzędu osób, do
których przy pierwszym spotkaniu dziwną czuje się sympatyę, które
pierwszem
słowem ujmują. Na jej zwiędłej a raczej zmęczonej twarzy, widać
było ślady
niezwykłej piękności, zastąpionej dzisiaj wyrazem wielkiej dobroci.
Czarno i
skromnie ale nadzwyczaj elegancko ubrana, w koronce zgrabnie
upiętej na
starannie uczesanej, siwym już włosom pokrytej głowie, księżna nie
zdradzała
niczem lat swoich, które przecież dorównywały wiekowi pana
Nichlińskiego. Była
ona typem osoby wielkiego świata, która przyzwyczajona wszelkie
czynności swoje
z dy-

stynkcyą i rafinowaną elegancją spełniać, starzeje się w ten sam
sposób. Po
zamianie zdań kilku, któremi obie strony uprzejmiej dowodziły
pamięci, księżna z
tą odrębną ciekawością osób światowych, którą u niej raczej
życzliwym zajęciem
się osoby dobrej nazwać wypada, rozpytywała o najdrobniejsze
szczegóły życia
swego dawnego znajomego. Westchnęła z nim razem a raczej za niego
nad śmiercią
jego żony, za Dorę nad śmiercią jej męża i to bez żadnej affektacyi,
bez żadnej
udanej tkliwości, owszem bardzo szczerze, bo wzmianka o każdej
śmierci
przypominała jej zawsze tę, która złamała jej życie. Wypytawszy
swych gości o
wszystko, o co bez niedyskrecyi pytać można, z tą samą swobodą, z tą
szczerą

naturalnością z jaką się tak rzadko umie o sobie mówić, a przecież
taka rozmowa,
najwięcej i najprędzej zbliża, opowiadała przebieg własnego życia, od
chwili
kiedy ją pan Nichliński widział tak szczęśliwą w Rzymie. Zmieniło
się w niem
wiele; straszna i długa choroba wydarła jej ukochanego męża i odtąd
sposepniało
ono zupełnie dla niej. Część utraconego szczęścia odnalazła w
dorastającym synie
ale i tę odrobinę los jej wydzierał. Marzeniem jej było ożenić go,
osiedlić,
widzieć szczęśliwym, a siebie otoczyć nową rodziną, którą by
stworzył koło niej.

Tymczasem zamiary te dalekiemi były od niego. Ten syn ubóstwiany,
inaczej niż
ona pojmował szczęście Znajdował je gdzieś na pełnem morzu, bo od
lat kilku
jedynem jego celem było morze, jedynem zajęciem dalekie i długie po
niem
podróże. Właśnie powrócić miał temi dniami z długiej wycieczki po
hiszpańskich
wybrzeżach i księżna przybyła tutaj na jego spotkanie, bo miał w
Abbazii
wylądować i tu czas jakiś z nią spędzić.
— Nie masz pani pojęcia — dodała zwracając się do Dory — jakim
okiem patrzę
teraz na każdą z tych ohydnych maszyn, które zwą statkami. Gdy się
która zbliża
do Abbazii, zawsze myślę, że to może yacht mojego syna!
Rozmowa trwała jeszcze dość długo, księżna wypytywała o różne
znajome jej
polskie rodziny, o Warszawę, którą kochała dla tego, że była
Warszawą, i o

tamtejsze stosunki. W sercu tej wynarodowionej kobiety tliła silniejsza iskra patriotyzmu niż u wielu Polek urodzonych i wychowanych na polskiej ziemi Przy rozstaniu objawiła życzenie, by ojca i córkę często u siebie widywać, szczególnie serdecznie pożegnała Dorę, jak gdyby ją ta młoda, poważna i tak niewesoła kobieta zainteresowała od razu. Widywano się też codziennie, a nawet Dora ujęta urokiem rozmowy księżnej, spotykała się z nią chętnie.

Ta ostatnia domyśliła się prędko jakichś bolesnych przejść w życiu młodej kobiety. Nie pytając nigdy, jakimi one były, wspominała często w poufających pogadankach, o zdziwieniu, w jakie ją wprowadzała pewna gorycz, zdradzająca się w zapatrywaniach Dory.
— Gdybyś mi pani nie była tak bardzo, bardzo sympatyczną — mawiała nieraz — posądzałabym cię o zły charakter. Jak można w tak młodym wieku być tak rozczarowaną? Tego rozgoryczenia, które się niemal w każdym zdaniu twem przebija, nie zaznałam nigdy. A nie myśl, bym i ja w życiu zawodów nie doznała, niejednokrotnie zraniły mnie one boleśnie, do zniechęcenia jednak doprowadzić mnie nie zdołały. Zawsze tłómaczyłam sobie, że ponieważ nie wszystko na świecie ma jedynie na celu moje uszczęśliwienie, to co mnie boli, może tem samem właśnie ulgę przynosić; niedola moja innych może uszczęśliwiać, i ta myśl zdołała mnie zawsze pocieszyć. W ten sposób przeszłam przez życie, obracałam się między

ludźmi — zachowując wiele illuzji o jednym, wiele życzliwości dla drugich.

Księżna mówiła prawdę, obdarzoną ona była jednym z tych rzadkich, bardziej jeszcze innych, niż siebie uszczęśliwiających charak-

terów, których gruntem jest z prawdziwej, bo wrodzonej dobroci wypływająca uprzejma filozofia życia. Nie trzeba myśleć, by te osoby mniej głęboko czuły, przeciwnie, wrażliwszymi są one często od wielu innych, tylko więcej hartu mając w duszy, więcej poddania i odwagi, nie winią nikogo za własne cierpienia, i nie czują potrzeby dzielenia się z bliźniemi czem innym, jak miłemi wrażeniami. Jest to właściwość osób wolnych od egoizmu, na wskroś uprzejmych i światowych, a właśnie taką była księżna. Była światową w całym tego słowa znaczeniu, bo światową w stosunkach codziennych, poufałych, najbliższych i w tym leżała tajemnica jej uroku, któremu tem więcej się ulegało, im poznawało się ją bliżej. Księżna umiała domieszać do uprzejmości swojej dla obojętnych troszkę tej poufałej serdeczności, którą się ma dla bliskich, a do stosunku z bliskimi troszkę światowości, którą często wykluczamy najzupełniej. Ubóstwiana niegdyś przez męża, dzisiaj ubóstwianą była przez syna a ogólnie kochaną; słowem, życie tej kobiety zdawało się na pozór płynąć niczem niezamąconym biegiem spokojnego strumyka. Ale na pozór tylko, bo w rzeczy samej, głęboko raniące kolce życia i

jej nie były nieznane. W rodzicielskim domu szczęśliwą nie była; z
urodzeniem
jej łączyły się

dla obojga rodziców wspomnienia przejść dramatycznych, które
wprawdzie w
tajemnej, im wyłącznie znanej pozostały wiadomości, ale za które ich
dziecko
pokutować miało. I pokutowała niewinnie, niesprawiedliwie, kochając
gorąco tych
właśnie, którzy jej okrutnie odmówili wszelkiej słodczy uczuć tak
niezbędnych w
dziecinnym wieku. W dziewiętnastym roku wyszła za księcia
Murgano, który
szalenie się w niej zakochawszy, poślubił ją wbrew wielkim
przeciwnościom, jakie
napotkał ze strony całej swej rodziny. Młode małżeństwo, kochające
się
wzajemnie, inaczej jak szczęśliwym nazwanem być nie mogło; ale
zapomnieć nie
trzeba, że młoda księżna przeszła przez wiele upokorzeń, wiele walk
staczała z
sobą, wiele słodczy zużyła i wiele siły potrzebowała, nim całą
rodzinę, tak
gwałtownie jej przeciwną, że z jej mężem zerwała, wdziękiem swoim
po latach
kilku podbiła, i to do tego stopnia, że stała się wyrocznią w tem
samem gronie,
które ją przed kilku laty widzieć nie chciało. Nareszcie szczęście
zdawało się
być zupełnie, ale nie przyświecało jej długo; przyćmiła je okropna
choroba męża,
a po jego śmierci nastąpiły długo trwające majątkowe trudności.
Usunąwszy te
ostatnie, odetchnęła swobodniej, czując, że zasłużyła na troszkę
spokoju. Dalszy

przebieg swego

życia streściła mniej więcej w rozmowie z Nichlińskim i Dorą. Kiedy kobiecie i żonie czas odebrał już prawo cierpienia, matce całą siłą je przywrócił, a ta matka czekająca na powrót jedynaka, drżąca co chwila o niego, cierpiała z taką słodyczą, tak spokojnie i cicho, że cierpienia tego otaczający ją ludzie zrozumieć nawet nie mogli, a tylko mianem tęsknoty je zwali.

VI.

Po dłuższym niezwyklem ożywieniu Dora popadła znowu w ciężką zadumę, poczęła napowrót unikać wszelkiego towarzystwa, u księżnej nawet na krótką tylko zjawiała się chwilę. Objaw to dość zwykły, że w wielkiej boleści, kiedy mimowoli oderwiemy się od niej, po pierwszym chwilowem zapomnieniu tem silniej ona nad nami zapanowuje, jak żeby boleść się mściła za to, że na chwilę odwróciliśmy od niej myśl naszą. Pani Dora godzinami całemi siadywała nad morzem, patrząc na tę połyskującą i drżącą wodną równinę. Oczy jej nabierały niezwyklego wyrazu, jak innemi były myśli i innem już cierpienie młodej kobiety. Boleść jej przeszła w drugie, sroższe może stadyum, które już łez nie ma, skarżyć się nie umie, tylko skupia się, piętrzy i jakimś ogromnym ciężarem spada na serce. Do miłości, nie

gasnącej bynajmniej, przyłączyły się uczucia nienawiści, zazdrości, jakieś zranienie całego jej jestestwa. Tę kobietę dobrą i łagodną zazwyczaj nachodziły

myśli okrutne, których nie odrzucała ze wstrętem. Wszyscy stawali jej się obojętnymi, czuła nawet z pewnem oburzeniem jeszcze, że przywiązanie jej do ojca słabnie i maleje. Jak najpiękniejszy kwiat, kiedy zwiędnie, wydaje zapach niemiły, zapach szkodliwy innym roślinom, któryby w przyrodzie trupim nazwać można, tak w sercu Dory z najpiękniejszego uczucia wydobywały się jakby miazmy trujące to wszystko, co zdrowem i świeżem było jeszcze w koło niego. Syn księżnej, którego z wrastającym co dzień oczekiwała niepokojem, oznajmił nareszcie swój przyjazd na sobotę wieczór. Długo przed godziną przybycia statku przechadzała się księżna wzdłuż maleńkiego portu, czyli murowanego pomostu, wchodzącego w morze, do którego łódki dobijały. Pan Nichliński towarzyszył jej, chcąc skrócić swoją obecnością oczekiwanie matki. Dora odprowadziła ich tylko na brzeg morza i wolnym krokiem powracała ku hotelowi. Gorąco dnia tego było nieznośne; korzystając z chłodniejszej pory wieczoru wszyscy prawie przechadzali się po ścieżkach Abbazii. Spotykała wiele osób dążących ku morzu. Po drodze, stali właściciele gondoli, starzy marynarze ubrani w szafirowe, płócienne

bluzy, którzy z uprzejmym uśmiechem, dotykając ręką czapki,
proponowali każdemu
una passeggiata.
Chcąc uniknąć tych spotkań, Dora zatrzymała się przy pawilonie, tak
zwanym
»Kaiser-Pavillon«, i oparta o balustradę, ciągnącą się wzdłuż całego
wybrzeża
Abbazii, patrzyła przed siebie, mimowoli także w stronę, w którą oczy
księżnej
zwrócone być musiały.
Było to w chwili, w której słońce już zaszło, a ciągnące się jeszcze po
niebie i
morzu słoneczne promienie, wieczór pochłania. Niebo ciemno -
szafirowe pośrodku,
przez wszystkie tej barwy przechodząc odcienia, stawało się
szmaragdowym tam,
gdzie z morzem się styka, a te wszystkie odblaski łamały się w
wodzie, która
grała lśniąca różnobarwnością szlifowanego dyamentu. Morze, dzień
cały spokojne,
poczynające się marszczyć maleńką falą, zdradzało wewnętrzny
niepokój i
przebudzenie uspiomych toni. Kamienie nadbrzeżne dzienną spiekotą
zbielały,
wilgotnym całusem coraz wyżej obejmowało morze.... odchodziło
spienionym szumem
i przyplętywało niebawem, by skaliste wybrzeża pochłonać, a Abbazję
swą wodną,
zieloną opasać wstęgą.
Gondole, unoszące spacerujących, w różne rozbiegały się strony. Czas
jakiś widać
je było płynące wolno, kołyszące się silnie,

później w oddali jako biały punkt tylko widniały. Od Fiume, który to
port z

Abbazii na lewo widać, ukazał się najprzód czarny punkt, który powiększał się coraz więcej, aż z tej nieforemnej masy widnej oku, ukształtowała się postać statku, po nad którym unosiła się biała smuga dymu a on pruł szybko wody, biegnąc w kierunku Abbazii. O kilkanaście kroków od lądu zwolnił biegu, i nareszcie przystanął, kołyszac się jakby oddychał głęboko, aż zarzucona kotwica unieruchomiła go zupełnie. W mgnieniu oka kilkanaście gondoli otoczyło statek. Dora mogła widzieć, jak jedna z nich, do której wsiadł ktoś ze statku, do brzegu dążyła. Domyśliła się, że musiał to być syn księżnej i przymknawszy oczy, myślała o chwili rozkoszy i szczęścia, w której wita się długo niewidzianą a drogą istotę. Te myśli przywiodły tyle innych za sobą że aby uciec od nich, chciała odejść z miejsca, w którym się zbudziły ; ale zaledwie postąpiła parę kroków, usłyszała dobrze jej znany a brzmiący tak inaczej a przecież tak zwykle głos księżnej. Cofnęła się i ukryta w klombie gęstych krzewów, z kąd niewidziana widzieć mogła, czekała by przeszli. Oparta o ramię syna, ukazała się niebawem księżna. Szła wąską ścieżką tuż koło klombu, w którym stała Dora mogąca ich dokładnie widzieć. Mło-

dy książę, był to mężczyzna lat trzydziestu mniej więcej, szatyn, wzrostu średniego, o silnie ogorzałej twarzy, łagodnych oczach i takimże uśmiechu. Na

pierwszy rzut oka, opięty w czarnym surducie, na którym wyłożony był dość głęboko wycięty biały kołnierz koszuli, w czapeczce z daszkiem na głowie krótko ostrzyżonej, robił wrażenie kapitana okrętu. Prowadził matkę troszkę niezgrabnie, jak człowiek widocznie nie przyzwyczajony do tej czynności, i nachylony ku niej, słuchał jej rozmowy, a szczerym, miłym uśmiechem rozchylone usta odsłaniały cały szereg ślicznych białych zębów. Dora wolnym krokiem szła za nimi i wzrokiem odprowadziła ich aż do drzwi willi, a kiedy te zamknęły się za nimi, spojrzała na zgrabny budynek, myśląc że tyle szczęścia mieści dzisiaj w sobie.

Nazajutrz wypadła niedziela. W kościele Abbazyjskim, a raczej w małej kapliczce, oddalonej o kilkadziesiąt kroków od hotelu »Quarnero«, pierwszą mszę odprawiał kapucyn, przyjeżdżający zwykle z Fiume, o godzinie ósmej. Na tej mszy chciała być Dora, a że przyszła za wcześnie, bo kościół był jeszcze zamknięty, usiadła na ławeczce, stojącej opodal w cieniu drzew. Zaledwo minut parę zajmowała to miejsce, gdy zbliżył się do kaplicy mężczyzna, w którym odrazu poznała

księcia Murgano, przychodzącym w tym samym celu zapewne, bo przekonawszy się, że drzwi są rzeczywiście zamknięte, podszedł pod okno zaopatrzone kratą, oparł się o nie, przeżegnał i chwilę przez nie patrzył w głąb kaplicy. Było coś wzruszającego w czynie tego marynarza, coś, co uwagę Dory zwróciło na niego, a

kiedy po krótkiej zadumie, która podobną była modlitwie, odwrócił się i widocznie wtenczas dopiero spostrzegł obecność Dory, oczy młodej kobiety spojrzały z ciekawością na tę sympatyczną postać. Księżę Murgano ujrzawszy Dorę, zmieszał się lekko i szybko wszedł w podwórze kościelne, z którego było wejście boczne do kaplicy. Tam przechadzał się, a ile razy do drzwi dochodził, spoglądał ukradkiem na Dorę, obejmując ją jakimś dziwnym, niby zachwyconem wejrzeniem. Nareszcie drzwi się rozwarły, młoda kobieta weszła do kaplicy, uklękła w jednej z bocznych ławek i z twarzą ukrytą w rękach modliła się gorąco nie tą modlitwą, której słowa z książki czy pamięci zwykliśmy powtarzać, ale jakąś błagalną walką zbuntowanego serca, które pragnie ukorzyć się u stóp ołtarza a dojść do tego nie może. Podczas całej mszy, tuż za Dorą, siedział opalony szatyn, którego oczy często od ołtarza odbiegały by spocząć na pochylonej postaci.

Księżna chcąc uczcić przyjazd syna, zaprosiła dnia tego p. Nichlińskiego z córką na obiad. Czekaając na nich w salonie, do którego przez otwarte okno spływało istną strugą zachodzące słońce, opowiadała synowi kto byli jej goście i cały mniej więcej przebieg swej z nimi znajomości. Młody człowiek siedząc koło matki, oparty obiema rękami o poręcz jej fotelu, patrzył na nią i widocznie z większą przyjemnością głosu jej słuchał niż z zajęciem tego opowiadania.

Rzeczywiście nie był wcale ciekawy i żądny ludzi, dobrze mu było sam na sam z matką i jedynie aby się jej nie sprzeciwić, przystał na zaproszenie tych obcych mu ludzi, których matka u siebie mieć pragnęła. A że matka jego szczególnie dużo mówiła o p. Nichlińskim, zostawiając w półcieniu córkę jego, że na tak dawne powoływała się czasy i wspomnienia, wyobrażał sobie, że są to ludzie w podeszłym już wieku, a za to, że umieli pozyskać życzliwość tej kochanej matki, postanowił i on szczerą ich obdarzyć uprzejmością. Kiedy przed samą szóstą pan Nichliński z córką stanęli we drzwiach salonu księżnej, po ciemnej twarzy marynarza przemknął tak żywy rumieniec, oczy tak dziwnym błysnęły wyrazem, że ktokolwiek byłby to zauważył, zastanowiłby się nad tem nie omieszkał. Ale tym razem przeszło to niespo-

strzeżenie, księżna była zajęta gośćmi i przedstawieniem im syna, a kiedy na chwilę przed obiadem usiedli jeszcze w salonie, los zrządził, że pan Nichliński znalazł się w pobliżu księcia i rozmowę z nim rozpoczął. Odpowiadając na pytania jego młody człowiek, częstymi spojrzeniami obdarzał osobę siedzącą koło jego matki, a że siedziała naprzeciwko okna była jakby ujętą w obwód słońca i światła i wydała mu się śliczną, czarującą i to samo niedoznane dotąd robiła na nim wrażenie, jakie na jej widok tego rana odczuł. Ubrana była w białą,

wielką, z materyi »serge« zwanej, suknię obszytą złotymi galonami.

Włosy

bardzo skromnie uczesane połyskiwały tym odrębnym, dość rzadkim u szatynek

złotym odcieniem, a oczy wprost do światła zwrócone istnie były zielonemi i jak

prześliczne szmaragdy lśniły w swej ciemnej oprawie na białej, poważnej twarzy.

Obiad był jeżeli nie nadzwyczajnie wesoły, to bardzo swobodny.

Rozmowa toczyła

się szczególnie w około podróży księcia. Opowiadań jego, których matka zawsze

była żądną, ciekawy był pan Nichliński i Dora przysłuchiwała im się z nieudaniem

zajęciem. Młody człowiek opowiadał dobrze, choć krótko i bez żadnego umiejętnego

upiększenia o doznanych przygodach czy wrażeniach. Umiał zwięzle po-

wiedzieć co chciał, mówił to co myślał, a myślał może lepiej, w każdym zaś razie

inaczej, niż przeciętny ogół ludzi. Kiedy mówił o morzu, to mimowoli oczy jego

zwracały się ku oknu, po za którym widać je było, a mówił o niem z jakimś

gorącym, głębokim przywiązaniem. Wieczór spędzono na werandzie i rozstano się w

nadziei widzenia się wkrótce i często.

Po odejściu gości, których księżę odprowadził do hotelu, księżna zadumała się

głęboko, a kiedy syn jej powrócił, uściskała go czulej, dłużej niż zwykle i

pieszczotliwym, zachowanym od dzieciństwa zwyczajem, kładąc znak krzyża na czole

jego, odeszła do siebie.

Młody książę pozostawszy sam usiadł na werandzie i zamyślił się.
Przed nim
białe, srebrzyste rozciągało się morze. Po raz pierwszy od lat wielu
między
niego a tę nieskończoną, ukochaną równinę wśliznęło się coś innego,
jakiś
zielonkawy odblask dwojga oczu... jakaś ciemna, niby złotem
podłożona główka...
po raz pierwszy oprócz szmeru, jakim morze nocą oddycha, słyszał
głos dźwięczny,
łagodny, który go zewsząd dolatywał. Był to dzień pierwszy w życiu
jego, w
którym myśli inną kobietą niż matką się zajmowały a pod tem
Wrażeniem czuł w
sercu budzące się, nieznane mu dotąd niepokoje.

VII.

Torski wyjeżdżając z Warszawy, miał szczerzy zamiar podążenia do
Abbazii za panią
Dorą, ale nie należąc do dość licznego zastępu mężczyzn, dla których
urok
kompromitowania kobiety, przewyższa często urok kobiety samej,
planów swoich nie
głosił, i nim wieść o wyjeździe pani Dory rozeszła się po Warszawie,
sam
wyjechał do Paryża i w kwietniu dopiero zjawił się w Abbazii. W
przyjęciu,
jakiego doznał od pani Dory, zdawało mu się serdeczniejszą niż
zwykle odnajdować
nutę. Usposobiło go to bardzo wesoło zaraz na wstępie kampanii,
którą zamierzał
przedsięwziąć. Rzeczywiście pani Dora okazywała mu niezwykłą
uprzejmość;
widywała go chętnie, oznaczała godzinę i miejsce, gdzie ją zastać
może, często

we dwoje na długie wychodzili spacerować, słowem, w bardzo krótkim czasie ustaliła się między nimi pewna poufałość, której znajomość kilkoletnia wytworzyć nie umiała.

Usposobienie młodej kobiety, tak ułatwiające jego plany, a tem samem sprawiające mu

prawdziwą przyjemność, nie dziwiło go jednak wcale, bo wchodziło ono w zakres jego idei o kobiecie, która, zdaniem jego, doznawszy pierwszy raz zawodu w miłości, jest poniekąd zniewoloną szukać pociechy w drugim stosunku, a niezwykle położenie, w jakim się znajdowała Dora, kazało przypuszczać, że zechce upokorzenie opuszczenia nowym tryumfem zatrzeć, czyli używając słów pana Henryka, w nowym zapomnieniu o pierwszym zapomnieć. Nie zastanawiał się bardzo nad stosunkami, jakie istnieć mogły między Dorą a Leonem, bo w dzisiejszym jego usposobieniu dla pani Dory, niekoniecznie miłą mu była myśl o jej przeszłości. W platoniczne uczucia między młodym mężczyzną i piękną kobietą nie wierzył nigdy; dzisiaj.... starał się daremnie przekonać siebie, że podobne stosunki mogą istnieć, a nie mogąc tego przekonania nabrać wytworzył w sobie inne, to jest przekonanie obojętności. Pani Choryńska podobała mu się bardzo, czuł że terażniejszość, z której korzystał, była wynikiem przeszłości i w duchu był jej

wdzięcznym, że tę piękną kobietę zsunęła na ścieżkę, na której jedynie mogło mu być danem z nią się spotkać. Uśmiechała mu się z nią wędrowka po tej drodze, do której, zdawało mu się, że szybkim zbliża się krokiem, bo oprócz fizycznych

powabów, moralne zalety pani Choryńskiej odpowiadały mu bardzo. Zużyty, znudzony cynik, ogrzewał się dzisiaj ciepłem tej gorącej duszy, a upajał nadzieją, prawie pewnością przyszłości. Przypuszczać nie można, by pani Choryńska nie przeniknęła niewyjawionych jej dotąd myśli Alfreda; kobiety w tym względzie obdarzone są specjalnym darem spostrzegawczym, ale jeżeli je odgadła nawet, to tej świadomości nie zdradzała niczem. W jej pełnym zawsze godności obejściu z Alfredem, był odcień poufałej kokieterii tak dalekiej od jej charakteru, że uderzyć musiała Torskiego. Nabrała jej od razu i wyłącznie tylko dla niego, bo w obec innych zniknęła ona najzupełniej. Od przyjazdu Alfreda nie zaniedbując księżnej, stawała się rzadszym gościem u niej, przychodziła na krótko, była roztargnioną, zamyśloną, jakby pod wpływem uporczywej a dręczącej myśli. Młodemu księciu okazywała obojętną uprzejmość a czasami była względem niego nawet kostywną i drwiącą. Spotykali się rzadko na dłużej, bo skoro tylko Torski był przy niej, książkę nie przybliżał się do niej nigdy. Troszkę nieśmiały a bardzo dumny, nie miał tej

światowej odwagi graniczącej często z zarozumiałością; w dodatku Alfred, od pierwszej chwili w której go u boku Dory

ujrzał, obudził w nim dziwną antypatyę, której przewyciężyć nie mógł i nie chciał. Widywał ich często razem, nie zbliżał się do nich, ale patrzył na nich lub za nimi długiem wejrzeniem i wtenczas serce jego wrzało zawiścią, od której Dora osłonioną zawsze była najczystsze, najsilniejszym uczuciem, którem to dziewicze jeszcze serce zapalało ku niej. Pewnego wieczora Dora i Torski powracając z dłuższego spaceru, który odbyli nad brzegiem morza po za Abbazją, na życzenie młodej kobiety, która trochę odpocząć chciała, usiedli na wielkim nadbrzeżnym kamieniu. Słońce ostatnim uściskiem złoćiło całą widną oku przestrzeń, dokoła było cicho.... uroczyście prawie. Po krótkim milczeniu nie patrząc na swego towarzysza, pani Dora zapytała obojętnym bardzo głosem :
— A cóż się dzieje z panią Rithorsten? Czy już po ślubie?
— Nie jeszcze, odpowiedział Torski, patrząc bystro na nią, a że nie dostrzegł na jej twarzy najmniejszego śladu wzruszenia, uwierzył w to, w co chciał wierzyć, to jest, że hrabia staje się jej albo nawet stał się już zupełnie obojętnym.
— Nie jeszcze — powtórzył — ma się odbyć dopiero w maju.

— Dopiero? — rzekła Dora bawiąc się wrzucaniem parasolką małych kamyczków w wodę i zaczęła mówić o czym innym, by po chwili bardzo zręcznie do tego samego powrócić tematu. Najgłośniejsi taktycy liczą w długim rzędzie powodzeń, błędy wynikające jedynie z braku taktyki. Mówią, że Napoleon I., ten mistrz taktyków zgubił się za pierwszym zboczeniem od niej. Pan Alfred tego wieczora miał tę prawdę stwierdzić raz jeszcze, że sekunda wystarcza, by zgubić człowieka, sekunda zapomnienia lub upojenia. Jak został do tego doprowadzony, nie wiedział nigdy, ale faktem jest, że on, honorowość i dyskrecja sama, nie pytany prawie, ze wszystkimi trywialnymi szczegółami opowiedział Dorze swoje spotkanie z panią Ewą i hrabią. I tak dowiedziała się młoda kobieta tego wszystkiego, czego od przyjazdu Alfreda namiętnie dowiedzieć się pragnęła. Dowiedziała się, że kochankowie są ciągle upojeni sobą, że Leon więcej niż kiedykolwiek jest zakochany, że pani Ewa pytała o nią, tak jak tryumfujący zwycięzca pyta o losy zwalczonych. Dowiedziała się, że Leon żadnych wyrzutów sumienia nie czuje co do niegodziwego obejścia się z nią, że piękna pani Ewa tyle namiętnej dla siebie wzbudziła, uśpionej może na chwilę.

miłości, że zabiła prawie w nim wszelkie poczucia szlachetniejsze, wszelką

pamięć przeszłości , wszelką iskierkę wspomnienia. Słowem,
powiedział jej pełno
rzeczy niepotrzebnych, których mężczyzna nigdy o mężczyźnie
mówić nie powinien,
a czemu, kiedy się później nad tem z zimną krwią zastanawiał, ledwo
mógł
uwierzyć.
Mówił długo, obszernie, wymownie, a kiedy skończył, patrząc ciągle
na młodą
kobietę, której brwi ściągnęły się lekko, na bledszej niż zazwyczaj
twarzy, ale
która ani na chwilę nie zaprzestała swej zabawki, owszem kamyczki
coraz gęściej,
coraz dalej wpadały w morze, rzucane coraz silniejszą widocznie ręką,
uznał, że
nadeszła chwila stanowcza, chwila przez niego zwana psychologiczną,
więc
przysunął się trochę i biorąc rękę pani Choryńskiej, bardzo słodkim,
bardzo
łagodnym rzekł głosem:
— Gdybyś pani wiedziała, jakby ktoś gorąco ocenił tę, którą Leon
dobrowolnie
utracił!
Podniosła żywo spuszczoną dotąd głowę, spojrzała na niego i
roześmiała się
śmiechem długim, brzmiącym niemile w uszach pana Alfreda.
— Ach! gdybyś pan wiedział, — zawołała — jak mnie ta znajomość
ludzi, tak prędko

nabyta, boli i rozśmiesza zarazem. Pewną byłam — dodała poważniej
— siadając
przed chwilą tutaj, że pogadanka nasza w ten sposób się zakończy.
Dziwi to pana?
Chciałbyś mi powiedzieć , że działałam jak pospolita kokietka i że
zasłużyłam, by

tak ze mną postapiono? Przyznaję się sama do tego i nie zarzucam
panu
konsekwencyi mojej winy. Winnam panu wytłómaczenie i nie
uchylam się od niego.
Otóż i ono — dodała, oddychając głęboko. — Chciałam wiedzieć
prawdę i to całą
prawdę o tym, o którym zapomnieć chciałeś mi pan dopomódz.
Przeczułam, wiedząc,
że najuczciwsi ludzie — a do tych zaliczam i pana, nieuczciwymi się
stają gdy
ich namiętności są w grze; przeczułam, że tę prawdę z ust pana
usłyszę w
przeddzień, nie myślałam, że w przedsekundzie, w której zechcesz
pan zwierzyć mi
się z uczuć swoich. Chcąc usłyszeć jedno, naraziłam się na drugie.
Ach! —
dodała, ożywiając się coraz bardziej — jeżeli w tej chwili z mojej
winy
doznajesz pan niemiłych wrażeń, wierzaj, że stokroć boleśniejsemi
dla mnie są
te, któreś mi dał odczuć. Domyśliłam się prędko powodu przyjazdu
pańskiego
tutaj, zrozumiałam, że dla was kobieta, która miała nieszczęście raz
kochać, a
nie miała szczęścia uczuć swoich małżeństwem uświęcić, osądzoną
jest bez miło-

sierdzia. Zaliczacie ją od razu do odrębnej kasty kobiet, których
przeznaczeniem
ma być nadal odrobiną miłości lub rozrywką tylko ubarwiać życie
wasze, którym w
sercu, czy we wrażeniach przelotne, chwilowe miejsce zając
pozwalacie,
którym... jeżeli wam się która z nich nie podoba, odbieracie nawet
miano

kobiety... ale...! — Tu pani Dora nagle urwała i kryjąc twarz w ręce, rozplakała się. Domyśleć się łatwo, że pierwsze uczucie Torskiego było uczuciem silnego gniewu, wściekłego niemal oburzenia na Dorę i siebie; ale te wrażenia pierzchnęły prędko. Nad zawiedzionym seduktorem górę wziął człowiek z gruntu dobry i uczciwy. Łzy młodej kobiety doprowadziły go prawie do rozpaczy.

— Pani! — zawołał — Pani! przepraszam panią, na klęczkach przepraszam.

— Zerwał się z miejsca i był gotów słowa w czyn zamienić, ale ona zatrzymała go żywym ruchem ręki, uśmiechnęła się gorzko i łzy ocierając:

— Nie masz pan za co, — rzekła — nie pan jesteś powodem łez moich, płaczę nad sobą. Nie masz pan pojęcia, dodała łagodniej, jakie spustoszenia widzę w sobie. Zaraziłam się niegodziwością ludzi. Pojmuję tyle rzeczy, których rozumieć nie mogłam nawet, tak niedawno jeszcze. Może... tu znów uśmiech pełen

gorzycy zarysował się na ustach Dory — może , powtórzyła, przyjdzie kiedyś czas, w którym i zdolną do nich będę!

Spojrzała na Torskiego, którego wyraz twarzy zdradzał wiele współczucia i prawdziwej skruchy i dodała zwykłym już sobie, bardzo dźwięcznym i harmonijnym głosem:

— Przebacz mi pan, tak szczerze jak ja to czynię, a jeżeli kiedy jeszcze napotkasz pan podobną do mnie kobietę, nie sądź jej od razu, albo sądź łagodnie ze względu, że na drogę, którą idzie lub iść się wydaje, najczęściej sami ją

sprowadzacie. A teraz nie mówmy już o tem.

Podawała mu rękę, którą Alfred silnie uściskał i mniej wesoło, niż gdy ją opuszczali, powrócili do Abbazii.

Nazajutrz Torski powołany nagłym telegramem, który w podobnych okolicznościach

ma uprzejmość zawsze nadchodzić, opuścił Abbazję. W książce, która go nigdy nie

opuszczała w drodze, a w której bardzo lakonicznym stylem opisywał wrażenia

podróży, tak się o Abbazii wyraził:

»Abbazia, nad Adryatykiem. Ładna ale mała i rzecz dziwna, w chwili, w której się

ją opuszcza, nudna miejscowość. Schronienie marzycieli i zakochanych, dla mnie

niesto-

sowna«. A w nawiasie, w które książka obfitowała, to jedno jemu tylko i nam

zrozumiałe dodał słowo: »Raté«!

Wyjazd Torskiego był prawdziwą ulgą dla Dory. Z jego oddaleniem oddalały się

także przykre wrażenia, których przez niego doznała. Fizycznie odchorowała

prawie tę nadmorską pogadankę, ale moralnie zbawienny ona na niej wyrzucić miała

skutek. Przekonała się najprzód, czem jest przeszła miłość u mężczyzny, kiedy

nawet wspomnieniem w sercu Leona nie zaznaczyła swego miejsca; przekonywała się,

że miłość mężczyzny jest najczęściej potężnym kaprysem zmysłów i po raz pierwszy

uznała swe szaleństwo, że tak długą rozpaczą za nią płacze. Zdawało jej się, że

z budzącym się pragnieniem zapomnienia przeszłości, zapomina o niej. Powtarzała

to sobie często, choć na samą myśl zapomnienia duże łzy stawały jej w oczach, walcząc o tę pamięć nieszczęsną, której się pozbyć chciała. Bystrej uwagi księżnej nie uszła zmiana zaszła w Dorze z przyjazdem i wyjazdem Torskiego, starała się nieco wybadać jej ojca w tym względzie. Pan Nichliński wytłómaczył jej to tem, że Alfred będąc dawnym i dobrym znajomym jego córki, przyjazdem swoim obudził zapewne tyle rozlicznych a niewesołych

wspomnień, że odczuła je wrażliwa kobieta. Mówił to, w co wierzył, a nie uważał za potrzebne dodawać, jakimi były te wspomnienia. Przejście Dory z Leonem uważał za jej wyłączną tajemnicę, której nie miał prawa naruszyć. Nie wątpił, że Alfred przywiózł wieści, które głęboko dotknąć musiały Dorę; nie pytał o nie, ale wierzył, że mnogość ich była jakby heroicznym środkiem wyleczenia jej i śledził postęp tej rekonwalescencji moralnej, której objawem nie była jeszcze wesołość, ale pewna naturalna a większa czułość dla ojca i jakby większa swoboda z obcymi. Księżna odzyskując Dorę, głośno mówiła, że się cieszy z wyjazdu Torskiego, a tymczasem starała się coraz więcej Dorę zbliżyć do siebie, a syna do niej, dla którego odjazd Torskiego był największą radością i który idąc za przykładem Alfreda, stał się nieodstępnym towarzyszem pani Choryńskiej. I znowu dni mijały, nie znacząc biegu swego żadnym ważniejszym faktem. Pewnego dnia po obiedzie, na które małe, znajome nam grono, zebrało się u

księżnej , Dora z młodym Murgano wyjechała gondolą na morze.
Wieczór był piękny — wody spokojne podobne do szyby
zwierciadlanej, tuż koło

łódki tylko zielonkawą odwracały się falą. Stary marynarz wiosłując,
śpiewał na
żądanie Dory tym czystym, nieświadomie artystycznym głosem,
którym na Południu
zda się każdy jest obdarzonym , ulubioną jej piosnkę, której zwrotka
kończąca

temi słowy brzmiała:

„Ma tu... l'hai scordato,

Dici che un sogno fu,

Come in quel di beato,

Non sai guardarmi piu!«

Młodzi ludzie siedząc naprzeciw siebie, słuchali milcząco pieśni,
która na

każdym z nich inne zapewne robiła wrażenie. Słowa rozbijały się
żałośnie o morze

i jakimś tkliwym echem ginęły w przestrzeni tonącej w srebrzystym
świetle

wieczoru, a kiedy marynarz ucichł i słyszeć było tylko szum

rozbijanej wiosłami

wody, oboje milczeli jeszcze.

— Pani — zapytał po chwili Murgano, zbliżając się do niej — o czym

pani tak

myśli ?

— Ja? — rzekła Dora, rozglądając się dokoła, jakby nagle

przebudzona. — Ja nie

wiem. A Pan? — dodała, chcąc uwagę jego, a może i własną, od myśli

swoich

odwrócić.

— Ja? — powtórzył Murgano — ja zawsze myślę o tem samem, od...

od piętnastu dni

blisko.

— Masz pan widocznie uporczywe myśli, a czy można wiedzieć, jakimi są one?

— O... można, chociaż aby je pani powiedzieć, wypowiadać się najprzód przed nią muszę, z nieumyślnej wprawdzie niedyskrecyi, która pomimo tego niedyskrecją być nie przestaje. Dni temu piętnaście, wyszedłem wieczorem na przechadzkę po za Abbazję, ot tędy — dodał, wskazując ręką na brzegi, do których się właśnie zbliżali.

Dora spojrzała w kierunku, w który wyciągała się ręka księcia i brwi jej ściągnęły się gwałtownie. Poznała wybrzeże i kamień bielał na nich niby pomnik wystawiony bolącym wspomnieniom.

— Tędy — powtórzył Murgano — w tem ujrzałem panią z tym Polakiem, który tu parę dni bawił. Powiniennem był zawrócić od razu, nie chcąc iść dalej, nieprawdaż?

— I zapewne pan to uczynił? — odpowiedziała zimno pani Choryńska.

— Nie pani, uczynić to chciałem, ale nie mogłem. Stanałem i bezwiednie stałem bardzo długo na tem samem miejscu, patrząc na panią i myśląc o tem, o czem myślę dotąd.

— A to jest ?

— Co ten człowiek mógł pani wówczas mówić i co mu pani odpowiedziała?

— Czy pan bardzo ciekawy to wiedzieć?

— Bardzo.

— A dlaczego?

— Dlaczego? bo myśli moje, bez wahania odpowiedział Murgano , od dnia, w którym panią po raz pierwszy ujrzałem, towarzyszą jej nieustannie, bo stałaś się pani jedyną myślą moją, moją jedyną ciekawością! Książę mówił spokojnie, tym głosem przekonywającym, który stwierdza prawdę słów, a mówiąc, patrzył na Dorę bardzo łagodnym wejrzeniem.

— W przywiązaniu mojem do morza — ciągnął! dalej — było jakby przecucie uczuć nieznanymi mi jeszcze, przywiązania nieskończonego jak ocean, bez granic. Oczy moje zakochane w przestrzeni, bezwiednie szukały w niej tego, co serce odczuło na widok pani. Pani... dodał ciszej. Dora, która dotąd słuchała jakby kołysana muzyką słów i głosu jego, przerwała mu nagle z uśmiechem, w którego ironicznej goryczy stopniał od razu łagodny dotąd wyraz twarzy.

— Chcesz pan wiedzieć o czym mówiliśmy tutaj? — rzekła — otóż ten człowiek mówił mi mniej więcej to samo coś pan mi wyznał; odpowiedziałam na to słowami, które

niechętnie powtarzam a powtarzam dlatego, że jeszcze panu posłużyć mogą a mnie uwolnią nadal od wyznań częściej upokarzających niż pochlebnych. Nie każda kobieta napotkana przez was, zdolną i gotową jest na odrobinę waszej miłości, wzajemnością odpowiedzieć...

— A! niegodziwy! — przerwał książę.

— Niegodziwy! — powtórzyła z uśmiechem Dora — wielu was takich. Wszak was to nic nie kosztuje powiedzieć kobiecie, że wam się podoba...

— Czy ja to pani powiedziałem? Ja nie wiem czy mi się pani podoba;
wiem tylko ,
żeś uzupełniła dla mnie życie i niejasne dotąd pojęcie o szczęściu; żeś
mi się
pani do życia niezbędną stała, że gdybyś nagle uszła z niego
zdawałoby mi się,
że słońce w biały dzień zgasło, bo zabrałabyś pani z sobą to wszystko,
co moje
życie tak jasnym, tak promennem czyni teraz. Nie mogę pani nic
więcej ofiarować
nad miłość głęboką i życie całe... czy zechcesz pani nie wzgardzić
jedną...
dzielić ze mną drugie?
Słów, które jak balsam łagodzący spadały na jej serce, słuchała Dora
milcząca z
twarzą opartą o rękę, z oczami zwróconymi na twarz tego uczciwego i
szlachetnego
czło-

wieka, który ofiarował jej to wszystko, czego ubóstwiany przez nią,
odmówił tak
dotkliwie !
Czuła , że oddając rękę swą temu człowiekowi , znajdzie w nim
najsilniejszą,
najtkliwszą, najbezpieczniejszą przystań, podporę, opiekę. Czuła, że
nigdy już w
życiu nie napotka tak gorącej miłości, wydała ona jej się w tej chwili
jakimś
portem zbawiennym, portem, który zajaśniał nagle przed oczami
zbląkanych,
utonięcia blizkich rozbitków... a przecież ręka spoczywająca na
kolanach, nie
wysunęła się ku niemu, usta żadnym słowem nie były w stanie
odpowiedzieć;
siedziała ciągle patrząc nań na pozór, a w rzeczywistości patrzyła w
siebie i

pytała, czy potrafi uczciwie wyrzec się przeszłości? Na myśl tę serce jej
mdlało, to biedne, zbolełe, szalone i wierne serce, nie znajdowało w
sobie nic,
czemby odplacić mogło za tyle przywiązania, tyle czystej miłości.
Tymczasem gondola dobiła do brzegu, wysiedli z niej oboje i Dora
wsparta na
ramieniu księcia, szła cienistą ścieżką, prowadzącą od morza do willi
Margherita!
— Czy pani nawet jednym słowem odpowiedzieć nie może? —
zapytał.
Dochodzili do willi, przed nimi rozciągał się zagon jasno oświecony
księżycem.
Młoda

kobieta wysunęła rękę z pod ramienia księcia i przecierając
kilkakrotnie wolnym
ruchem czoło, jak żeby z niego myśl zetrzeć chciała, zbliżyła się do
balustrady,
chwilkę jeszcze patrzyła przed siebie i nagle zwracając się ku niemu:
— Panie! — rzekła — wzruszoną i nad wyraz wdzięczną panu jestem,
nad wyraz... —
powtórzyła — ale...
— Ale? — przerwał książę.
— Ale... na tyle miłości, miłością odpowiedzieć trzeba, boś pan na nią
zasłużył,
a nie ma jej w moim sercu, wyznaję to szczerze. Jesteś pan młodym,
znajdziesz
łatwo kobietę godniejszą siebie niż nią jestem, ja, której serce nie
rozporządza
już niczem, chyba gorzkimi wspomnieniami.
— Jeżeli pani nie myślisz, że nieszczęśliwą będziesz ze mną —
zawołał książę —
powierz mi odważnie życie swoje! Gdybyś mnie pani kochała już
dzisiaj...
szczęścia by może było za wiele!

Spojrzała na niego zdumiona. "Więc to życie, które jej ciążyło, z
którym nie
wiedziała co robić, mogło uszczęśliwić jeszcze?
Myśl szybka... kapryśna jak ptak prujący powietrze skrzydłem,
odbiegała daleko —
da-

leko i trąciła jakby pytaniem ostatniem, ostatnią prośbą konającego
serca, o coś
— co głosem próżni odpowiedziało jej tylko. Wtenczas powoli ręka
jej , maleńka i
drżąca, wysunęła się ku niemu, spoczęła w szerokiej dłoni marynarza,
a usta
młodej kobiety cichym ale wyraźnym wypowiedziały głosem:
— Będę panu wierną i uczciwą żoną!

VIII.

Wieczorem, dnia ostatniego wyścigów i wystawy rolniczej w
Warszawie, towarzystwo
obecne tam jeszcze, a oczekujące tej chwili, aby się rozjechać i
podażyć czy to
na wieś, czy do wód, zebrało się u pani Lizy. Kiedy już lepsi tylko
pozostali
znajomi, między którymi i niejednego z naszych spotkać możemy,
jako to: panów
Henryka i Alfreda Torskiego, panią Jadwigę, małe kółko , po
niezbędnych i
nieuniknionych banalnościach większego zebrania, powróciło
szybkim zwrotem myśli
i rozmowy do zajmującego je tematu.
— To niesłychane, niepojęte! - mówiła pani Werneńska — nigdybym
nie była tego
przypuściła.

— Nie myślałam w ogóle, by kiedykolwiek za męża poszła, bo i w kraju, jeżeli nie zupełnie niepodobnym, byłoby to trudniej — wtrąciła druga z lepszych przyjaciółek pani Dory; — ale pójść za męża w niespełna sześć miesięcy po tem głośnem zerwaniu, i to w parę dni po ślubie hrabiego, to przechodzi

moje pojęcie. Myślałam, że się prawdziwie w Licińskim kochała! — Pewien tego jestem — dodał Torski a — chociaż pochlebnie dla rodu męzkiego jest to oburzenie pań, na krótko, zdaniem ich, trwającą żałobę pani Dory za Leonem, ja jej nie potępiam, przeciwnie, znajduję, że idąc za męża, nic lepszego zrobić nie mogła, a jeśli w dodatku będzie szczęśliwą, o czem nie wątpię, dodam, że nic mądrzejszego.

— Więc pan go zna?

— O! »znam« to byłoby może za wiele powiedzieć, słyszałem wiele o tej rodzinie, a jego widziałem.

— Jakież on jest?

— Bardzo sympatyczną ma powierzchowność.

— Do kogoż podobny ?

— Fizycznie nie znajduję nikogo z kim bym go mógł porównać; moralnie jest to bardzo uczciwy i szlachetny człowiek. Zresztą jest to ogólne zdanie tych, co go znają. Będąc w okolicach, które ta rodzina, to jest matka jego z nim zamieszkuje, nie słyszałem o nich tylko najkorzystniejsze zdania.

— A gdzie będą mieszkać?

— Mają rezydencję w okolicach Tryestu..

— Czy to bogaci ludzie?

— Byli niemi, ale nie wiem w skutek czego stracili większą część majątku. Dawno

to już temu, dzisiaj są zamożni tylko.

— Słowem - zawołała pani Jadwiga. widzę z tego wszystkiego, że pani Dora idzie

doskonale za męża i bardzo się z tego cieszę.

— Dlaczegoż tak bardzo ? — sarkastycznie zapytała pani Werneńska.

— Znałam ją wprawdzie mało, odpowiedziała młoda kobieta, ale zaliczyłam od razu

do osób zasługujących na szczęście, zresztą, dodała śmiejąc się, mam tę

szczęśliwą czy głupią naturę, że cudze szczęście rozwesela mnie zawsze.

— Rozumną i miłą taką naturę nazwać można, zawołał Torski; uważałem zawsze,

dodał, zwracając się do pani Lizy, żeś pani nigdy sympatyj nie miała do pięknej

p. Choryńskiej, księżnej Murgano już dzisiaj.

— Ja? przeciwnie, ale przyznaję się, że mnie rozczarowała.

— Czemże? czy tem że pomyślała o sobie i nie odtrąciła od siebie szczęścia gdy

jej drogę zaszło?

— Jesteś pan niezrównanym! troszkę zirytowana zawołała Liza, a nachylając się ku

niemu dodała ciszej:

— Czyż zawiedzione nadzieje ulepszałyby pana?

Radzę pani — odrzekł z cicha Torski patrząc na nią znacząco — jeżeli mi wolno

dać jej radę, byś zawsze szła za moim przykładem. Życie z samych zawodów się

składa, trzeba umieć je znosić ze spokojną filozofią. Ale kobieta i filozofia to

dwa przeciwne bieguny.

— Pani Dora swem prędkim zamążpójściem dała dowód
rzeczywiście wielkiej
filozofii, — wtrącił Henryk.

— Tem łatwiej jest zrozumiałą miłość tak gwałtowna księcia, wesoło
zawołał
Alfred. Kobieta pełna serca a w dodatku z lekkim odcieniem rozumnej
filozofii,
to chyba szczyt doskonałości na ziemi, a teraz żegnam państwa i do
widzenia z
powrotem zimy.

W chwili, w której po rozejściu się gości pani Liza przechadzała się
po
pokojach, troszkę przygnębiona niespodziewanem szczęściem swej
przyjaciółki,
yacht księcia Murgano z Wenecyi dążył do Tryestu. Po ślubie,
odbytym w maju,
młode małżeństwo zrobiło małą podróż morzem, zatrzymało się w
Wenecyi i teraz
wracało do siebie.

Siedzieli oboje na pokładzie statku i patrzyli w cichą i ciepłą noc
letnią.

Po nad niemi rozciągało się szafirowe niebo, z którego łagodne
spływało
księżycowe światło.

W koło nich ta zachwycająca, nieskończona, nocą mistyczna prawie,
rozciągała się
morska równina. Oświetlone wody, falujące lekko, podobne do
srebrnej łuski,
otaczały ich zewsząd, statek ten ciemnym obejmując pierścieniem. I
nic więcej
widać nie było, tylko niebo łagodne i milczące, tylko morze
niezgłębione,
tajemnicze, skarżące się zawsze tą samą jednostajną, a nie monotonna
skargą
rozbitej fali.

Czasami po nad temi głosami górował chór marynarzy, którzy jakąś
żałosną
wygwizdywali piosnkę na tyle statku. A yacht mknął szybko i mknął
wesoło, lekko
jakby świadomy szczęścia swego pana, które on z sobą unosił.
Paolo Murgano, odkąd rączka Dory spoczęła w jego dłoni, oddając
mu siebie na
zupełną, odrębną własność, nie znał innych uczuć, nad uczucie
najzupełniejszego
szczęścia. Upojony był miłością, zachwycony tą., która ją wzbudziła ;
miłość
jego wzmagala się z dniem każdym i dochodziła do najwyższej
potęgi, która w obec
istoty kochanej robi bezsilnym tego, który ją odczuwa. Jak niegdyś
bezwiednie
godzinami całemi patrzył w morze tak patrząc teraz w te piękne, nie
wesołe ale
łagodne oczy, po raz pierwszy w nich czytał, po raz pierwszy także
własnym
sercem pisany poemat miłości.

Dorę, z chwilą w której zgodziła się być żoną jego, owładnęło jakieś
dziwne
uczucie, niby uczucie więźnia ufającego ciągle w uwolnienie,
któregoby nagle
wyrok przeciwny doszedł, uczucie walczącego z przeciwnościami
losu,
zrozpaczonego a szukającego z początku ułudnego spokoju w
zupełnym poddaniu.
Te najpiękniejsze dni w życiu Paola, w których zakochany,
przyszłości pewien
narzeczony, niebiańskich prawie zaznawał rozkoszy, były dla niej
jedną,
ustawiczną walką, w której serce powracało jeszcze z łkaniem do
przeszłości, a

uczciwość, przywrócona mu nagle wpływem cudzej miłości,
nawracała je na drogę
rozsądku i już.... obowiązku.
Uprzedzając tem życzenie księcia, nie odwlekała bynajmniej dnia
ślubu,
przeciwie, pragnęła by się odbył jak najprędzej. Jest to życzenie
właściwe dwom
kategoryom ludzi wiążących się za życia: tym dla których małżeństwo
jest
ostatniem słowem szczęścia na ziemi i tym, którzy w niem ostatnie
słowo
poświęcenia widzą. Wielkie szczęście i wielka żałoba szukają ciszy,
pragną
ukrycia. W dodatku zdawało się Dorze, że z dniem, w którym jego
żoną zostanie,
dopiero prawdziwie zerwie z przeszłością, z jej wspomnieniami, z
żalem za nią ;
zdawało jej się, że jak nad umarłym zamyka się na zawsze wieko
trum-

ny, tak ślub jej zamknie w trumnie moralnej lata ubiegłe i wszystko,
co się w
nich mieściło,
Serce jej bez miłości, ale z wielką wdzięcznością za tę, którą
obdarzone
zostało, z silnem postanowieniem uszczęśliwienia tego, który
szczęście swoje w
niej widział, gotowało się do przyszłego życia.
I dzisiaj.... kiedy już trzy tygodnie minęło odkąd w kapliczce
abbazyjskiej
pobłogosławionym był ich związek, kiedy nie przebyta przepaść
rozdzieliła ją od
przeszłości innem życiem, jakby na nowo żyć chciała. Usypiała jak
dziecko,
kołysane ulubioną melodyą, budziła się jak kobieta młoda, piękna,
kochana, która

według wszelkich praw natury, nie może nie uległ magnetycznemu
niemal urokowi
prawdziwej miłości. Więc wieczoru tego, wśród pięknej nocy, na tem
szerokim
morzu, pod tem jasnym niebem, czułem się jak strudzony podróżnik,
wypoczywający
na jakiejś błogosławionej oazie i cicho.... spokojnie, dobrze jej było!
Ten człowiek, który przez chwilę, sekundę może, wydał jej się w
okrutnej
niesprawiedliwości serca, katem, którego winić nawet nie mogła, bo
go sama
dobrowolnie obrała, był dla niej dzisiaj jednym z tych, których nie
wiele
zapewne, każdy z nas napotkał w życiu, dla których tyle mamy
uznania, tyle

zaufania, tyle wiary, że pytać wypada czy te uczucia miłości nie
przewyższają? i
czemu serce bez drgania je odczuwa i żyć może nie tęskniąc za nimi!
— Moja Doro! — długo już trwające milczenie przerwał Paolo, biorąc
jej rękę,
które pacuńkami okrywał.
— Moja Doro, powtórzył po raz setny, tysięczny może, tą odwieczną
a w ustach
każdy, dla ucha każdego nową zawsze mową, która jest jakby
śpiewem serca.
Mówił jej o tych długich latach, które na morzu spędził, o tych nocach
w czasie
których na tym statku, na tem samem miejscu przesiadywał, pytając
natury o
tajemnice twego uroku, którym się zachwycił, a pojął należycie i
przejął się nim
dopiero, gdy zamknięte dotąd serce, rozwarło się dla miłości.
Wtenczas zrozumiał
głosy, któremi morze, niebo, noc i gwiazdy doń mówiły, zrozumiał, że
pulsam,

tętnem, hasłem życia jest miłość, że w przyrodzie wszystko nią
oddycha, że ten
świat boży, to arcydzieło nadziemskiej mocy, jest martwą pięknnością,
niby statuą
kamienną tylko dla tych, którzy go sercem nie pojmują!
Tej egzaltowanej mowy serca nią przepelnionego, słuchała Dora z
początku ze swym
łagodnym, zachęcającym uśmiechem; powoli

twarz jej poważniała, brwi ściągnęły się, jakby mimowolnym,
nerwowym ruchem a
powieki spuszczały się coraz częściej na oczy, aż je na chwilę
przysłoniły
zupełnie. Bo nagle, po przed nimi, zarysowała się postać dobrze im
znana, i jak
kamyk rzucony w uśpione wody mąci na chwilę gładką jej
powierzchnię, tak na dnie
spokojnego serca Dory zakołatało coś na te słowa miłości, odezwało
się jakby
echem w myślach, które odbiegły daleko, po za morze, odszukać tego,
dla którego
niegdyś dusza jej cała tę samą pieśń śpiewała.
Na wschodzie, z po za nocnej zasłony, jutrzienka rąbkiem swej
różowej błysnęła
sukienki i wysuwała się wyżej, coraz wyżej! Noc gasła, a morze
zapaliło się
najprzód jakby wewnętrzną światłością, nim rannym do słońca
zagorzało blaskiem.
Tryest nad morzem, tam, daleko, układał się stopniowo. Niejasny
jeszcze i
mglisty, nagle niby jedna promienna masa słoneczna, zawidniał oku.
Statek biegł
chyżej i zawinął do portu! O pół godziny oddalona od stacyi
kolejowej Miramare,
leży nad morzem posiadłość Murganów, zwana Belmonte. Imię swoje
zapewne wzięła

od pięknego wzgórza na którym się wznosi. Jest to niewielki zameczek, w stylu epoki odrodzenia, którego ogród w spadzistym skłonie przeciąga się aż do morza.

Belmonte drogą spadku przeszło w ręce Murganów. Tam matka Paola spędziła pierwsze lata małżeństwa, a kiedy stosunki majątkowe zmusiły ją do pozbycia się części dóbr, poświęciła jedną z najpiękniejszych majątności włoskich, aby uratować Belmonte. Była tu tak szczęśliwą, że wspomnienia jej zamieniły się w jakieś przesądne przywiązanie i gorące pragnienie, by kiedyś synowi ten ulubiony kącik ziemi przekazać mogła. Życzeniu jej stało się zadość. Po latach wielu, odkąd walczyła, by zachować Belmonte, pewnego letniego poranku w ten dom ukochany, syn jej wprowadzał żonę, która była dla niej najmilszą synową. Wzgórze całe, na którym wznosił się zamek, obrośnięty w znacznej części dzikiem winem, w części kwitnącemi pnąciami różami, i ogród pełen kwiatów, roślin o rozłożystych liściach, szpalerów kameliowych, kąpał się w istnym morzu słońca, a u stóp jego rozciągało się prawdziwe morze, podobne do szyby popękanej kryształu, tak grało różnemi barwami. Na lewo, wysunięte nieco naprzód, widniały wieże Miramare, które wielkim cieniem spadały w morze, tak jak wielkim cieniem rysuje się ich historia w dziejach narodu.

Wpływ pięknej natury jest tak zbawiennym , tak bardzo ulegają mu ludzie, że mimo marzeń doznanych tej samej nocy, mimo myśli obudzonych na nowo, Dora z pewnością rozkoszą rozglądała się w około siebie. Ten hymn natury, na który niebo , słońce, każda niemal roślina się składa, odezwał się także jakąś pieśnią w jej sercu, które uderzyło nagle jakby przeczuciem szczęścia. Po raz pierwszy od bardzo już dawna, oczy jej błyszczały promiennem wejrzeniem. Pod tem szafirowem niebem, otoczona kochającymi ją istotami, uwierzyła, że szczęśliwą być jeszcze może i uśmiechnięta, tą wiarą już szczęśliwa, przestąpiła próg swego nowego domu.

IX.

Mówią, że narody szczęśliwe nie mają historii; wynikałoby z tego, że o szczęśliwych nie ma co mówić lub mówić nie potrzeba i nie można. Nam się przeciwnie zdaje, że po prostu o szczęśliwych mówić nie umiemy, może dla tego, że tak mało szczęśliwych na ziemi, a ludzie o tem tylko mówić umieją, co pojmują, odczuwając sami. Może także łatwiej i skorzej pojmujemy złe, zawistne a przez to samo głośnie ludzkie uczucia, niż to ciche, spokojne a rozkoszy pełne usposobienie serca, szczęściem zwane. Dwa lata minęło, odkąd odprowadziliśmy Dorę do Belmonte. Dwa lata , które dla

obojętnych żadnym nie zaznaczyły się donioślejszym faktem, a dla bohaterów

naszego opowiadania były jednym pasmem szczęścia.

W pierwszych miesiącach oprócz ojca Dory, który przyjechał ich odwiedzić i

księżnej, która stale przy nich mieszkała, nie widywali nikogo. W jesieni

księżna pojechała do Abbazii, młode małżeństwo odbyło dłuższą

podróż morzem i w rocznicę ślubu zjechali się znowu z matką w Belmonte. Przy

końcu drugiego roku, z upragnieniem wyglądany przez wszystkich w ogóle, a przez

starszą księżną w szczególności, przyszedł na świat pierwszy potomek Murganów.

Jeżeli do szczęścia Paola mogło jeszcze czego brakować, to chyba tej kołyski

strojnej w koronki, przy której teraz ustawicznie widział matkę, nad którą

uśmiechnięta twarz babki nachylała się co chwila, do której sam zaglądał

ciekawie, nie wiedząc sam, czemu mu się serce tak radością wznosi, jakżeby mu

szczęścia było za wiele?

I nie przerażał go ogrom tego posiadanego szczęścia, które jak ogromna fala

wzbijało się i piętrzyło, a nie rozbijało się jak ona.

Pierwsze kwilenie nowonarodzonego, powitało serce Dory tem drzeniem, które

wszystkie inne przewyższa. Oczy młodej matki prześlizgując się po małej,

uśpionej twarzyczce dziecka, spoczęły zadziwione i promienne na mężu, dla

którego odzywało się serce nieznanem mu jeszcze uczuciem.

Prawdziwem jest twierdzenie wielu, że w małżeństwie bezdzietnem nigdy nie

połączą się, choćby najbardziej kochający się małżon-

kwie, tem uczuciem najtrwalszem, najsilniejszym, najczulszem
może, a w każdym

razie najprawdziwiej małżeńskim, jakim wobec dziecka łączą się
serca rodziców

jego. Małżeństwa bezdzielne są wyjątkiem, pewną anomalią, czemś
niedokończonym.

Są to ludzie, którzy często nawet kochają się bardzo i zaliczają się do
szczęśliwych, a którym przecież tak o miłość, jak o szczęście trudniej
niż

innym, i wyjątkowo tylko pierwotne uczucia zachować mogą na
zawsze.

Miłość, tak jak szczęście, tak jak wszystko w życiu, z czasem ulegz
musi pewnym

zmianom. W małżeństwie, tym, że go tak nazwiemy alembikiem
miłości żony jest

miłość matki, w szczęściu ich obojga, szczęście wspólne, jednakowe,
to samo,

które im tylko dziecko dać może. W braku tych alembików
naturalnych stwarzają

się sztuczne, które są prawdziwym kamieniem probierczym
przywiązania, a o które

zbyt często rozbija się ono.

Małżeństwo bez dzieci jeżeli nie potrafi pozostać parą kochanków,
stanie się

parą ludzi, których serca bezwiednie toczyć będzie obojętność, ten
robak

zniszczenia, ten jad przenikający i trujący je do gruntu; z których rąk
wyślizgiwać się będą jedna po drugiej wszystkie nici łączące ich z
sobą, którzy

w najszcześniejszym razie, niby razem idą wytkniętą drogą życia i
kiedyś staną

przed sobą, bez żalu do siebie, owszem z pewną litością, z pewnym przywiązaniem
nawet, które rodzi długie przyzwyczajenie, z tem niemem, wspólnem obojgu
pytaniem na ustach: gdzie się to wszystko z ich życia, czy serca podziało, coby
jedynie dzisiaj zrozumiałem im czyniło połączenie dwóch egzystencji na wieki?
Brak dzieci będzie za młodu wiecznym hałasem ich życia; ogromną ciszą tych
samych egzystencji kiedy do kresu dobiegać już będą. Z dniem, w którym Dora
została matką, zdawało jej się, że przeszłość wymazaną została z jej życia; w
teraźniejszości szczęśliwa, największem i nieznanem jeszcze szczęściem w
przyszłość patrzyła daleko, ufnie i wesoło, bo już oczami tej małej istoty,
która jej dzieckiem była. I znowu miesiące mijały pełne rozkoszy, na którą każde
wejrzenie bystrzejsze, każdy uśmiech dziecka się składał pełn niepokoju za
najlżejszym objawem, trwożącym rodziców; ale młody Murgano był silnym i wesołym
dzieciakiem i z tej strony żadna chmurka nie przysłaniała jasnego horyzontu
mieszkańców Belmonte. Dorze, która bardzo powoli przychodziła do sił, i w ciągu
lata parę razy na zdrowiu zapadała, przepisali lekarze spędzenie zimy w
cieplejszych jeszcze krajach.

Obrano Niceę, dokąd młodzi ludzie udali się i początkiem stycznia zostawiając
jedynaka swego pod najtroskliwszą opieką babki. W Nicei zamieszkali w willi

Masino, leżącej niedaleko morza w pobliżu „promenade des Anglais”.
Po za Alpami,
osłaniającymi to szczęśliwe wybrzeże, zima rozpoczynała się dopiero ;
tutaj o
pełnej śniło się wiosnie, choćby patrząc tylko na mnogość fiołków,
które w wielu
miejscach istny tworzyły kobierzec. Na ciemnym tle drzew nie
uszkodzonych przez
zimę, rozwijały się inne krzewy młodziuchną lśniąca zielenią,
uróżwione
kwieciami drzew migdałowych, róż, magnolii, datury, pinii, a te różne
barwy i
odcienia, jasne, płowe, żółte zlewały się w jedną harmonijną całość,
niby obraz
fantazyi malarza oparty o szare i czerwone skały.
Już blisko dwa tygodnie bawili Murganowie w Nicei, gdy pewnego
wieczoru kiedy
wracali ze spaceru, po morzu, do portu przy Lazarecie, oprócz ich
łodzi zbliżały
się także dwie inne gondole. Osoby jadące niemi, rozmawiały i śmiały
się głośno,
a kiedy już kilkanaście kroków zaledwo dzieliło łodzie jedne od
drugich, na
kilka słów, które z jednej z tamtych głosem kobiecym wypowiedziane
doleciały,
Dora która dotąd plecami do nich odwróconą była, zwróciła się
szybko, a za-

ledwie okiem rzuciła w tę stronę, twarz jej silnym najprzód okryła się
rumieńcem, potem pobladła gwałtownie, a wejrzenie młodej kobiety
w tę samą
stronę uporczywie utkwione zostało. Łodzie równocześnie dobiły do
brzegu.

Towarzystwo powracające ze spaceru składało się z kilku mężczyzn i
jednej

kobiety, która pierwsza wyskoczywszy na brzeg, odwróciła się ku swym towarzyszom. Była to osoba lat czterdziestu mniej więcej, uderzająca troszkę nienaturalną świeżością twarzy i ust, ale mimo to niezaprzeczenie piękna i jakby aureolą opromieniona splotami prześlicznych złotawych włosów. Z odkrytą głową, kapeluszem w ręku, ubrana w lekką czarną koronkową suknię, oświecona wieczornymi odblaskami bijącymi od morza, stała uśmiechnięta, nawołując swoich towarzyszy, którzy niezgrabnie z rozkołysanych wychodzili łodzi. Nagle nachyliła się nieco, przysłoniła oczy ręką, by lepiej móc widzieć to lub tych, na których patrzyła i postąpiwszy żywo parę kroków naprzeciw idącym Murgano, obie ręce wyciągnęła ku Dorze.

— Pani Dora ! — zawołała — cóż za miła niespodzianka! — A zwracając się z najbardziej uprzejmym uśmiechem do Paola:

— Książę? nieprawdaż? — rzekła — mam przyjemność — dodała — znać żonę księcia od bardzo dawna.

I z tą łatwością osób światowych, z uderzającą bezwiedną pewnością niektórych kobiet, zaznajomiła od razu towarzystwo swoje z Murganami, i nim Dora dobrze zrozumiała co się stało, znalazła się idącą w towarzystwie tuż obok dawnej Ewy Rithorsten, dzisiejszej hrabiny Licińskiej. Hrabina tymczasem z tym samym zawsze uśmiechem na ustach, opowiadała różne dawne i świeże rzeczy, wzmiankowała o

swojem małżeństwie, cieszyła się szczęściem Dory, dla której od pierwszej chwili miała tyle sympatii, cieszyła się jej pobytem w Nicei, wspomniała coś nawet o radości, jaką jej obecność będzie dla Leona, bawiącego chwilowo w Monte-Carlo. Księżciu na prędce streściła kilka niezatartych wspomnień jakie zachowała z nieistniejących nigdy epizodów swej znajomości z Dorą, przeplatała to wszystko różnemi dowcipami, rzuciła mimochodem sensacyjną jakąś wiadomość dnia, a żegnając na promenadzie, gdzie się zatrzymać chciała, powracających do siebie Murganów, zapewniła, że ich wkrótce odwiedzi, bo spotkaniem z Dorą i zrobieniem znajomości z jej mężem, cieszy się nad wyraz. Jedyną rzeczą, nad którą Dora nie zastanawiała

się nigdy, było tak zresztą możliwe w życiu spotkanie z Leonem i Ewą, a to, nim miała zas je przypuścić, stało się już faktem dokonanym. Gdyby była samą, bezwzględnie opuściłaby Niceę, i nim doszła do willi, chwilkę namyślała się nad tem, czy skłonić Paola do wyjazdu. Nie wątpiła, że życzeniu jej uczyniłby zadość, ale nie wątpiła także, że ta na-gła zmiana projektów zadziwić go może i że co najmniej zapyta o powody. Czuła, że zwierzenie, które uczynić mogła człowiekowi, starającemu się o nią, było nad jej siły uczynić mężowi. Czuła także, i to po raz pierwszy, że tajemnica jej była pewną nieuczciwością wobec

Paola, i bardzo zmieszana, tego wieczora nie towarzyszyła jak zwykle
mężowi do
teatru, do którego gościnne występy pana M. liczną ściągali
publiczność, ale
korzystając z samotności, usiadła na werandzie okrytej zielonym
bluszczem i
pnąciami się różyczkami, i patrzyła przed siebie, nie widząc
wspaniałego obrazu
który się przed nią roztaczał. W ogrodzie kaktusy jak olbrzymie
świeczniki
wznosiły się do góry, rozkwitłe bzy i jaśminy w jedne łączyły się
bukiety i
zroszone wieczorną rosą, upajające wydawały tchnienia. Płoty okryte
glicyną,
niby wstążką liliową opasywały willę, a przez naturalne otwory
pomiędzy
pomarańczowemi drzewami widać było w głębi łań-

cuch fiołkowy Alp, i szafirowe odbłaskiem nieba morze, którego fale
konając u
brzegu, dołączały żaloszny swój głos do szmeru, z jakim wodotrysk
ogrodu srebrną
rakieta strzelał do góry a deszczem pereł opadał w basen.
Patrzyła i słuchała, nie wiedząc i nie słysząc nic, jeno głos serca
zaniepokojonego, mówiącego, że źle postąpiła zasłaniając przed tym,
któremu
życiu oddała, całe przeszłe życie swoje.
Ach! gdyby to wszystko zmienić się mogło! Gdyby raz jeszcze
znaleść się w tem
samem, co przed laty położeniu! Nimby rękę swoją napowrót w dłoń
Paola na zawsze
złożyła, wypowiedałaby się przed nim z tajemnicy, która ciężarem
wyrzutu
tłoczyła dziś jej serce ! Dziś już było za późno!... Myśl jej i serce nie
znajdowały słów i odwagi by tę spowiedź uczynić. Ale dlaczegoż nie
uczyniła tego

przedtem?... Nie znajdowała nawet uczciwej wymówki , którą by
mogła postępowanie
swoje wytłómaczyć. Wtenczas... kiedy zdanie księcia, wyobrażenia o
niej...
możliwa nawet utrata jego miłości były jej zupełnie obojętnymi,
jakkolwiek
upokorzącym mogło być to wyznanie, śmiało uczynić je mogła, a
przecież nie
uczyniła, tylko przyjęła najczystsza, najgłębszą miłość jego a w
zamian mu dała
serce, w któ-

rem inny jeszcze wszechwładnie panował, pełne tajemnic i
wspomnień! Winy Leona
względem niej, zamieniały się dzisiaj w jej własną winę w obec Paola,
w obec
człowieka, który był jej mężem, do którego przez tych lat trzy
przywiązała się
gorąco i szczerze, który był ojcem jej dziecka! Wstrętą była jej myśl
przyjęcia
hrabiego u siebie, ucieczka przed nim zdawała jej się niemożliwą a
myśli tłumnie
przelatywały przez głowę młodej kobiety i lica jej paliły rumieńcem
oburzenia
czy wstydu. Wstała... i oparta o poręcz werandy, ponurem wejrzeniem
spojrzała w
stronę, gdzie mieszkali Licińscy. Z chwilą, w której przestała kochać
Leona stał
on się jej obojętnym, przestał poniekąd istnieć dla niej. Była tak
szczęśliwą że
zapomniała o wszystkim, co by jej szczęście zachmurzyć zdołało. Na
widok Ewy
obudziły się na nowo wspomnienia , z nienawiścią myślała o
człowieku tak
niedawno kochanym jeszcze; żona jego wydała jej się tym ptakiem
złowieszczym,

którego przybycie śmierć i zniszczenie zwiastuje. Ta kobieta, tak ściśle wplątana była w całe przeznaczenie jej życia, że nie mogła wierzyć, by zjawienie się jej powtórnie obojętnem być dla niej mogło. Serce Dory ścisnęło się bolesnym, raz już doznaniem przeczuciem i ogarnęło ją jakieś bezsilne poddanie się fatalistów.

W tej chwili Paolo zjawił się na werandzie ; spojrzała na niego i już gotową była rzucić mu się w objęcia i prosić, by ją uniósł prędko i daleko... Ale książkę powitawszy ją, opowiedział jej, że poznał w teatrze hr. Licińskiego, który się bardzo o nią pytał a jemu podobał się o wiele więcej od pani Ewy, że oboje nazajutrz wybierają się do willi Marino. Dora słuchała a słowa zamarły na jej ustach.

X.

W willi Marino, w saloniku o spuszczonej żaluzji siedziała Dora zaciśnięta w kącie kanapy, z książką, którą nerwowym ruchem otwierała i zamykała co chwila. Oczy jej często zatrzymywały się na zegarze stojącym opodal, to znów nasłuchiwać zdawała się bacznie. Oprócz monotonnego biegu zegara, którego wskazówki do czwartej dochodziły godziny, największa cisza panowała dokoła; czasami tylko

mucha trąciła o żaluzje i głośniej zabrzączała. Pięć dni minęło od
owego
spotkania z panią Ewą. Nazajutrz hrabina sama zjawiała się w willi
Marino;
nieobecność męża wytłómaczyła wyjazdem jego do Monte Carlo i
powiedziała, że
sama zmuszoną jest wyjechać na parę dni do Turynu, gdzie się ma w
interesie
niecierpiącym zwłoki, z kimś spotkać. Była roztargnioną, zamyśloną i
stanowczo
nie tak wesołą jak zwykle. Równocześnie prawie Paolo wyjechał na
dwa dni do
Belmonte, jak to zwykł co tygodnia czynić, a Dora zostawszy samą,
postanowiła
nie wychodzić zupełnie.

Nie wiedząc, czy Leon towarzyszył żonie, czy powrócił do Nicei,
uniknąć pragnęła
spotkania, kiedy ono samo przez się szło w odwłoke. Wtem, nazajutrz
po odjeździe
księcia, wręczono jej list od Leona, w którym ją prosił usilnie o
pozwolenie
widzenia się z nią dnia tego o godzinie, którą sama raczy oznaczyć. Z
listem
Leona w ręku przebiegła myślą lata minione. Miłość swoją,
opuszczenie, rozpacz,
którą ją one napełniły.
Potem ... nastąpiła jakby chwila wytchnienia, której nie umiała
określić inaczej
jak zupełną inercją, ubezwładnieniem tych wszystkich uczuć, którymi
dotąd jej
serce żyło i cierpiało. A na tej martwej powierzchni jakaś ręka
dobroczytna,
wznosiła powoli, nieznacznie, nowy gmach szczęścia, gmach
wspaniały, do którego

zdawało jej się, że wszystkimi otworami słońce wpływało.
Zapomniała o jednej,
zamkniętej dotąd szczelinie, która się za spotkaniem z Ewą nagle
rozwarła i
jakieś ciemne pasmo wkrađało się w jej urocze schronienie.
Czyżby naprawdę nić życia ludzkiego, która niewidzialna łączy
przeszłość jego z
teraźniejszością, nigdy przerwana być nie mogła? Czyżby ten
człowiek, który ją
już raz unieszczęśliwił, ten właśnie miał prawo wchodzić napowrót w
jej życie?

Prawo? młoda kobieta uśmiechnęła się boleśnie. Wszak to prawo,
którego on może
nawet nie był świadomy, nadała mu sama. Tajemnica, w jakiej
pozostawiła
przejście jego przez swoje życie w obec Paola stawała się tem
ogniwem
nieszczęsem, łączącym ich na nowo, kiedy ich już wszystko
rozłączyło. Jeżeli
kiedykolwiek uczucie nienawiści wkrađło się w jej serce dla Leona,
stokroć
więcej nienawidziła go w tej chwili, i to nie za winy jego w obec
siebie, ale za
winę własną względem męża, nierozważnie popełnioną kiedyś, a w
którą znów popaść
miała.
Nieubłagana konsekwencja życia, z jaką ono czyni nasze ściga,
stała jej jasno
w oczach. Więc musiała jej się poddać, musiała dopuszczać się
czynów, do których
przyznać się nie mogła, musiała nadal poniekąd obwarowywać tę
jedyną tajemnicę,
milczeniem, mniejszemi czy większemi kłamstwami? W pierwszej
chwili oburzyła

się gwałtownie... Czyżby to spotkanie w nieobecności męża, na któreby w ten sposób zezwoliła, nie było rodzajem tajemnych odwiedzin? Od razu chciała odpowiedzieć, że nie przyjmuje nikogo. Ochłonawszy, przyszła do smutnego przekonania, że dobrowolnie postawiła się w położeniu, które jej różne ostrożności nakazuje, między innymi oszczędzanie hrabiego.

Odkąd go serce nie broniło, sądziła go bardzo surowo. Dzisiaj ... był on w jej oczach zdolny do wszelkich podłości. Lepiej, rozsądniej, bezpieczniej było przekonać się o jego obecnym usposobieniu; naznaczyła mu więc godzinę czwartą i bardzo rozdrażniona i nerwowa czekała na jego przybycie. Nie pojmowała, dlaczego, kiedy to spotkanie było jej tylko przykrem, bolesnym prawie, serce jej biło tak gwałtownie, nagle bić prawie przestało, bo po za oknami w ogrodzie wyraźnie usłyszała kroki, po pod którymi zgrzytał piasek ulicy. Następnie na wpół tylko zdawała sobie sprawę z tego co się działo w koło niej. Wiedziała, że po chwili lokaj zaanonsował hrabiego, że odpowiedziała skinieniem głowy, że znów sekund parę upłynęło nim się drzwi napowrót rozwarły, zamknęły i o kilka kroków przed nią, stanął hr. Leon Liciński. Na to imię, które myśl jej wypowiedziała, oprzytomniała zupełnie. Żywo podniosła głowę i oczy tych dwojga ludzi spotkały się na chwilę. Hrabia skłonił się głęboko a Dora niemym ruchem wskazała mu fotel naprzeciwko siebie. Leon postąpił

parę kroków ale nie usiadł, oparł się tylko o poręcz mebla. Był to
wówczas
mężczyzna lat trzydziestu czterech zaledwo, który wszakże wyglądał
na znacznie

starszego. Starannie zaczesane włosy zdradzały, bo ukryć jej nie
mogły zupełnie,
przedwczesną łysinę. W okóło oczu zapadniętych trochę, jak pajęcze
nogi,
rozpościerały się liczne zmarszczki. W ciemnych wąsach gdzie
niegdzie biały już
włos widniał, rysy na rozlanej twarzy zgrubiały a smukła tak
niedawno jeszcze
postać ocieężała bardzo. Na pierwszy rzut oka znać było w nim
człowieka, który
ścieżką rozkoszy życia za prędko przebiegi i dzisiaj, w tak młodym
jeszcze
wieku, do »powracających« już należał.

Przykre dla obojga przerywając milczenie:

— Siadaj pan — rzekła Dora, chciałeś się pan ze mną widzieć....
ciągnęła dalej,

trochę zmieszana, unikając spotkania się z jego wejrzeniem.

— Tak pani, bardzo spokojnie odrzekł hrabia; zdawało mi się, że
potem co między

nami zaszło, kiedy okoliczności znów nas naprzeciwko siebie
stawiają, znośniej

będzie dla pani a łatwiej dla mnie spotkać się najprzód sam na sam.

Księżna siedziała z założonemi rękami, ze spuszczoną głową i nie
przerwała mu

żadnem słowem, ruchem najlżejszym. Widząc to, po krótkiej pauzie
hrabia ciągnął

dalej.

— Co do mnie przynajmniej, dowiedziawszy się o obecności pani
tutaj, jedyną moją

myślą, jedynym pragnieniem było uzyskać chwilę obecną. Chciałem się przed panią wytłómaczyć....

— Wytłómaczyć?... przerwała mu Dora, jeżeli tylko o to chodzi, czas pana

wytłómaczył zupełnie, lepiej zapewne niż by to jakiegokolwiek słowa uczynić mogły.

Są rzeczy — dodała powoli, patrząc mu wprost w oczy — które się tłómaczyć nie

dadzą, lepiej o nich nie mówić.

Głos jej zadrżał a po twarzy lekki przebiegł rumieniec.

— Źle się wyraziłem, troszkę żywiej odparł hrabia, — nie chciałem się tłómaczyć,

ma pani słuszość; są rzeczy, które się tłumaczyć się dają, ale przyznasz pani,

że winę zmniejszyć można choćby troszeczkę, gdy się do niej samemu przyznaje.

Otóż przyszedłem powiedzieć pani, że czuję, głęboko czuję, jak bardzo zawiniłem

przeciwko pani. Czuję, że nie zasłużyłem nawet na to, byś mnie pani zносиła w

obecności swojej i wdzięczny jej jestem, nad wyraz wdzięczny, że mnie przyjąć

raczyłaś. Wierzaj mi pani, że odkąd jakieś nieszczęśliwe zaślepienie, jakiś

wpływ zgubny, jakieś niezrozumiałe szaleństwo popchnęło mnie do kroku, którego

dzisiaj pojąć nie umiem, jedynym pragnieniem mojem było, uzyskać nie

przebaczenie ale zapomnienie

pani. Są winy — dodał, jakby do siebie, — które trzeba złożyć na karb przeznaczenia człowieka Cóżem winien, że życie moje wpadło i uwięzło w rękach,

które niem źle kierować miały? Zbyt długo żyłem szalem, przebudziłem się z niego

niestety, jedynie dla tego zapewne, aby stwierdzić tę wielką prawdę,
że
szczęście człowiekowi raz tylko w życiu swoje podwoje otwiera i że
je dla siebie
dobrowolnie zamknąłem na zawsze. Zaliczasz mnie pani, nie wątpię o
tem, zresztą
i sam się zaliczam do najgorszych niedoskonałości tego świata, ale i
one są
ludźmi i im zostaje, dopoki nie upadną zupełnie, pewne, nie zbyt jasne
już może,
ale tlejące jeszcze poczucie honoru, które na długo usypia a w pewnej
chwili
obudzić się musi. Tą chwilą jest obecna dla mnie i przeszłość jest mi
palącym
wspomnieniem. Jeżeli pani przezemnie cierpiała, życie cię na mnie
pomściło,
zemstę twoją własnoręcznie zgotowałem sobie. Pani nie wiesz, ile
kryje się nędzy
pod tak świetną na pozór egzystencją moją. Czem życie obecne? Czy
chcesz je
poznać? Ale po cóż? W tem wielkiem więzieniu życia jest nas dwoje
więźniów
więcej, których tylko fałszywe i brudne uczucia złączyły a złe i podłe
nadal
wiążą. Otóż historia miłości, która panią zwalczyła.

Hrabia uśmiechnął się gorzko.

— Mówią, — ciągnął dalej, — że nieszczęście pewnych ludzi mierzyć
się powinno
według głębokości upadku ich moralnego. Jeżeli i pani jesteś tego
zdania,
zmierzysz może moje, gdy ci powiem, że do tej kobiety, która jest
moją żoną,
wiąże mnie dzisiaj tylko jej majątek! Pieniędzmi mnie trzyma, kupuje
codziennie.

Cudze już złoto dzisiaj przezemnie rzucane, zgartuje krupier w Monte Carlo, a tracę je z taką rozkoszą, z jaką widzę, że inni wygrywają. Czy dość podłym wydałem się pani? Czy potrzeba ci więcej byś uwierzyła, że cię życie pomściło? Potrzebowałem — rzekł, uspokajając się nagle, wypowiedzieć pani to wszystko, pani... — dodał, której wspomnienie jest jedynym jasnym czystym wspomnieniem w brudach mojego życia. Więc kiedy po latach spotykamy się znowu, ty, szczęśliwa, rozpoczynająca życie na nowo, ja przygnębiony, kończący je poniekąd; kiedy pani wszystko się w niem jeszcze uśmiecha, mnie już nic nie pozostaje, chyba pewność, że było ono dla mnie krwawą pomyłką, czyż nie byłoby dobrze, szlachetnie, ze strony szczęśliwej, nieszczęśliwemu winowajcy podać rękę i powiedzieć: Pójdź dalej — miej choć spokój przeszłości, ja ją przebaczam!

Te ostatnie słowa hrabia wymówił wzruszonym głosem i umilkł. Młoda kobieta, która tej całej przemowy słuchała z twarzą w rękę ukrytą, siedziała jeszcze czas jakiś nieruchoma i drżąca. Wielka zmiana w niej się odbywała. Słowa Leona gasiły nienawiść a budziły jakieś nieokreślone uczucia w jej sercu. W tej chwili darowywała mu zupełnie, że ją kiedyś kochać przestał, a nieszczęście jego, które mimowolną uwidoczniał jej skargą, budziło u niej tylko troszkę litości, tej jałmużny uczuć ludzkich. Ale kochała go niegdyś — jest to rzecz o której się nie zapomina, uczucie, które

kiedy już minie, ma jeszcze swoje prawa, była szczęśliwą.... wreszcie
była
kobietą i.... przebaczała.
Wielkie cierpienie łączy nas z osobą, która je nam zadaje : taka nam
nigdy
obojętną i obcą nie będzie. Otóż Dora przypomniała sobie, ile łez
wylała przez
tego, na którym życie się teraz za nią może mściło, srożej zapewne niż
by ona
kiedykolwiek w stanie była to uczynić; więc wstała, zbliżyła się do
hrabiego i
bardzo cichym, bardzo wzruszonym rzekła głosem:
— Przebaczam....
Aby powrócić do siebie, hrabia najdłuższą i najodludniejszą obrał
drogę.
Potrzebo-

wał dzisiaj — nie zdarzyło mu się to jeszcze nigdy — znaleźć się z
samym sobą.
Trzeba być bardzo szczęśliwym, lub wielkim filozofem, aby mózgiem
spojrzeć jasno w
życie swoje, w siebie, w uczucia i myśli własne. Nad to dobrowolne
zastanowienie, które zdaniem naszym, powinno się w wychowaniu
wraz z innymi
gałęziami wiedzy, wszczepiać w młode umysły, przenosimy
zazwyczaj bezmyślność,
którą czasami porównać by można do szalonego tańca, tak myśli jak
uczuć, jak
życia całego. Ale najlekkomyślniejsze charaktery mają, mocą tej
lekkomyślności
właśnie, takie błyski rozsądku, takie obrachunki z życiem, któreby
ekspiacją
jego nazwać można. Powracając z willi Marino, którą po wyżej
opisanej rozmowie
bezwłocznie opuścił, hrabia odżywał potrochu, przebiegając myślą
życie swoje.

Pierwszą młodość burzliwą, szaloną, której punktem kulminacyjnym,
kresem
poniekąd, był stosunek z panią Ewą Rithorsten. Dzisiaj.... z tych lat
kilku
przeżytych przy niej, jakby dla niej i przez nią, pozostawało mu tylko
jakieś
czcze i mdłe wspomnienie. Uspokojone i przesycone zmysły
zapomniały o nich a w
sercu nie pozostawiły one nic po sobie. Jaśniejszą i trwalszą chwilą
życia jego
była miłość dla pani Dory. Zawdzięczał jej mniej upojeń ale jej

tylko zawdzięczał tę odrobinę uczucia, którego ciepłem, oziębłe serce
ogrzać się
jeszcze teraz chciało. Wspomnienie tej miłości było jedynym dobrem i
miałem
wspomnieniem jego. Czuł w tej chwili, że gdyby prześladowające go
przeznaczenie
było go zostawiło u boku tej kobiety, życie jego byłoby innym. Ona
jedna, choć
na krótko, zawsze prawdziwie uczciwe uczucia w nim obudzała.
Zaczął ją kochać
tak, jak zwykł kochać wszystkie kobiety, które w życiu jego większą
czy mniejszą
odegrały rolę, a doszedł do przekonania, że mógł ją kochać lepiej....
dłużej a
może i zawsze. Te myśli zatrzymały go. Przypominał sobie wszystkie
szczegóły
swej znajomości z nią, nieopisany niezrównany urok prawdziwej
miłości, której
nigdy odtąd nie zaznał, jej dziecinne a jemu tak słodkie wymagania,
obawy,
trwogi, wiarę dziecinną, z jaką pewnego wieczora, upojona miłością
padła w jego
objęcia. Nie przypominał sobie chwili w której ją do serca przycisnął,
pamiętał

chwilę następną, tak inną, tak różną od wrażeń jakie mu każde
»nazajutrz
miłości« zostawiało po sobie.
To zwycięstwo było jedynem, które go mniej dumnym a więcej
szczęśliwym zrobiło,
ona była jedyną kobietą, której był kochankiem a nie czuł się nigdy jej
panem.
Na tej drodze wspomnień zatrzymał się bezwiednie.

Chciał sobie przypomnieć różne szczegóły tego wieczora, kolor jej
sukni, wyraz
jej pięknych oczu, jakimi patrzyła na niego, słowa, jakimi do niego
przemawiała. Słuchał jej upojony i wówczas myśl małżeństwa z nią,
wydawała mu
się czemś słodkiem, od czego uchylić się nie myślał. W tej roli
zakochanego
narzeczonego, który kobietę kochaną tyle tylko posiadał, ile potrzeba,
by jej
gwałtowniej jeszcze pragnąć, żył szczęśliwy nad wyraz.
Potem... jak się to stało, nie wiedział sam ale opuścił ją w
najnieszlachetniejszy sposób i powrócił pod jarzmo pani Ewy. Czyż
on ją kochał
wówczas? Nie pamiętał. A miłość, o której się nie pamięta, czyż może
być
miłością? Wiedział, że wpływ nad nim miała wszechwładny, że
czarowała go jakby
siłą magnetyczną, której się oprzeć nie umiał, i tak jak powiedział
Dorze,
ogarniało go jakieś niezrozumiałe szaleństwo, jakieś zaślepienie
nieszczęśliwe i
zrobił to co chciała, nie wiedząc sam co czyni, poszedł za nią gdzie
pójść
kazała, nie wiedząc dobrze gdzie idzie, pogrążony jakby we śnie
magnetycznym, z
którego w parę miesięcy po ślubie się obudził. Tu się ich wspólne
zaczynało

życie. Byli wówczas na wsi, o mil kilkanaście od Paryża, w małej
posiadłości tam
nabytej przez pana Rithorsten, dokąd zaraz po ślubie pani

Ewa wywiozła męża. Ta kobieta, która dotąd wsi nie znosiła, życie
całe traciła
na wiecznej tułaczce po różnych miastach i wodach, nie pojmowała
innej jak
światowej egzystencji, ustawicznego wiru, ruchu i zgiełku, marzyła
teraz nagle o
zaciszu domowym, o wiecznej samotności we dwoje.
Pierwszy miesiąc minął rozkosznie, drugi ciągnął się wolniej,
następne jakby
żółtym postępowały krokiem.
Przerażona temi symptomatami, których pojąć nie mogła, hrabina,
baczniejszą
jeszcze uwagę zwróciła na męża. Wtenczas z całym jasnowidzeniem
kobiety
zakochanej, czytała na twarzy Leona, jakby w otwartej książce. każdą
myśl, każde
wrażenie jego. Zdawało jej się, że słyszy jak on pyta siebie, czy
małżeństwo w
ogóle, a jego w szczególności, nie było wielkim szaleństwem?
Spostrzegła
teraz, że do tej miłości, której tak namiętnie pragnął, którą dawniej
nigdy
nasycony nie był przyzwyczajął się rozpaczliwie, że zapaly jego
stygły, topniały
w oczach jak śnieg na wiosnę, że wzrastająca jej miłość nie miała już
dla niego
tej iskierki, o którą dawniej uczucia jego tak gwałtownie się zapalały.
Widziała
jak z początku odrzucał te myśli, chronił się do niej przed niemi,
zebrał
poniekąd, by mu dopomagała w zaprzeczeniu im.... potem...

i tego zaprzestał i wówczas zaczęła się dla tych dwojga ludzi
egzystencja dziwna
i bolesna. — Ewa drżąca, zakochana, niespokojna, stała się typem
strasznym dla
obojętnego męża, żony — kochanki, to jest kobiety przykrzejszej od
żony, więcej
wymagającej od kochanki. On, znudzony, znużony jej miłością, z
uspokojeniami
zmysłami, próżnym sercem, gwałtownie powrócił do rzeczywistości.
Myśli jego
coraz częściej odbiegały do przeszłości, szukały w niej opuszczonej i
skrzywdzonej, i z tych wędrówek powracały coraz głębiej rozżalone.
Była to
pierwsza podłość jego i nie mógł jej tak prędko darować tej, która mu
dopomagała
do spełnienia jej. Winiąc siebie i Ewę, myślał o Dorze. A to
wspomnienie, które
odgadła w sercu męża, było dla hrabiny jakby powracającym wiecznie
pomiędzy
niemi cieniem umarłej. I wtenczas zaczęła się walka tej pięknej,
zakochanej
kobiety, walczącej z czymś tak nieuchwytnym, nieujętym jak myśli, z
czymś tak
nieubłaganym jak obojętność, która olbrzymim krokiem postępowała
w sercu Leona.
Wynikiem tej bezowocnej walki, była nienawiść cicha i głucha dla tej,
ktorej
wspomnienie, zdawało jej się, że ich jedynie dzieli.
Zrozpaczona, myśląc, że rozrywka zwalczy lepiej to, czego ona
przełamać nie
umiała,

pani Ewa zaproponowała mężowi wyjazd do Paryża ; szła zatem
bezwiednie a

dobrowolnie naprzeciwko tego, czego unikać chciała. Wzrastający
niepokój nie
dozwoił jej obliczyć się ze słabym, chcieć nie umiejącym, niestałym
charakterem
Leona. Mimo wszystkiego wpływ jej nad nim istniał jeszcze, bo
przyzwyczajęń lat
długich nie można zerwać od razu. W samotności a przynajmniej w
oddaleniu od
świata, mocą czasu i tych właśnie nawyknień, zresztą w braku innych
miłości i
innych wrażeń, Leon byłby niezawodnie powrócił a raczej nawrócił
się do Ewy.
Byłoby to rodzajem zajęcia mogącym zamienić się w prawdziwe
przyzwyczajenie,
które u niektórych mężczyzn silniejsze bywa od przywiązania
samego; tymczasem
powracając do Paryża wprowadzała go dobrowolnie na szeroką arenę
różnorodnych
pokus, rzucała w życie, którym żył dotąd, i nim sobie należycie z tego
zdołała
zdać sprawę, słabiutka łódź, na której słabsze jeszcze uczucia Leona
wpływały na
to szerokie morze, rozbić się miała od razu i zatopić je zupełnie....
niepowrotnie! Powrócili zatem do dawnego trybu życia, które obojgu
znośniejszą
czyniło rzeczywistość. Lata mijały. Zastanawiając się nad nimi i
sobą, pytał
siebie dzisiaj Leon, czem je zapełnił i co one mu dały.

Na dnie czary miłości znużenie tylko znalazł. Nic już nie było
zdolnym rozbudzić
wrażeń jego, przysporzyć mu wzruszeń. Niespodziewanego,
nieodczutego nic już
dlań nie istniało na świecie. Kobiety różniły się tylko kolorem
włosów,

rysunkiem ust, a zresztą wszystko pozostawało zwykłe, banalne, już
widziane, już
odczute! Wychowany w świetnym może ale zgangrenowanym
społeczeństwie, znał je aż
nadto dobrze ; jego wielkie wady a fałszywe i tak małe zalety, znał
egoizm
ludzki, doznał niewdzięczności świata i znudzony był tem
wszystkiem. Zrujnował
się raz jeden i nie wiedział nawet, czy się przytem zabawił; rujnował
teraz żonę
swoją i wiedział, że się szalenie przytem nudzi. Słowem Leon
dochodził do tej
psychologicznej chwili, w której mężczyzna w pogoni za wrażeniami
coraz niżej,
jakby po szczeblach drabiny, moralnie upada, lub przeżyty, w
napadzie
obrzydzenia życia, które Anglicy »splenem« nazwali, wystrzałem
rewolweru tamę mu
kładzie.
Wśród takich myśli doszedł do domu, gdzie wygalonowany lokaj
otworzył mu z
niskim ukłonem drzwi wykwintnie urządzonego apartamentu. Na
biurku ujrzał leżącą
depeszę, podjął ją, otworzył i zaśmiał się prawie głośno, odczytując
tych słów
kilka:

— Wszystko urządzone, jadę na dzień do Paryża w tym interesie.
Ewa.

Zmiał depeszę, rzucił ją na stół i zaczął się przechadzać wielkimi
krokami po
pokojach, patrząc na otaczający go zbytek z jakimś szyderczym
uśmiechem na
ustach a głębokimi zmarszczkami na czole. Zdawało mu się, że
jedyna rzecz,

która go jeszcze zabawić potrafi, to przekonanie się, do czego
doprowadzić może
kobietę miłość próżna i zmysłowa.
Bezwzględnie nie wierzył, by innemi kiedykolwiek a szczególnie
dzisiaj były
uczucia hrabiny. Nie wierzył w jej uczciwość, chociaż dowodów
przeciwnych nie
miał nigdy, zresztą zachowanie jej było mu obojętnem i nie wierzył,
by go
kochała inną, jak zwierzęcą miłością. W oczach jego Ewa była kobietą
próżną i
namiętą, dbała o dekorum dla świata, o niego dla siebie.
Przetarł czoło ręką, prawie gwałtownym ruchem, bo cisnęło się do
głowy natrętne
wspomnienie, którego dzisiaj nie umiał odpędzić tak łatwo jak
zwykle. Była jedna
chwila w ich pożyciu, której jeszcze teraz nawet przelotną myślą
poruszać nie
lubił. Rok temu a może i więcej, hrabia był bardzo bliskim

wyjazdu do Ameryki w towarzystwie drugorzędnej śpiewaczki, którą
się od
dłuższego już czasu zajmował. Jakimś przypadkiem doszło to do
wiadomości
hrabiny. Ze łzami i na klęczkach błagała go ona, by odstąpił od tego
zamiaru;
prośba jej nie odniosła pożądanego skutku, hrabia trwał dalej w
postanowieniu
swojem.
Wtem, bardzo na czasie, długo już trwające majątkowe zawikłania,
zakończyły się
zupełną ruiną. Po urządzeniu interesów, mało co zostało hrabiemu.
Wtenczas mu
żona oddała listownie do dyspozycji połowę swego majątku, pod
warunkiem, że o

projekcie wyjazdu do Ameryki na teraz, a o innym podobnym na przyszłość, mowy już nie będzie. Jak tę propozycję przyjął, czy się wahał nim na nią przystał, niewiadomo, dosyć że został. Po tym układzie, obie strony odczuły wzajemnie troszkę więcej pogardy dla siebie ale się zbliżyły zarazem, bo brudy wspólnie podane i przyjęte łączą, niby dobrowolne zobowiązanie. Z początku poniżenie własne Leon drogo opłacać kazał żonie, wymyślał poniekąd sposoby, któremiby ją mógł martwić i upokarzać, z jakąś dziką rozkoszą trwonił dane sobie pieniądze. Spodziewał się przedstawień, wyglądał uwag i obiecywał sobie wówczas, że zrzuci z siebie to hańbiące jarzmo, które

nań wtłoczyła. Marzył o jakimś skandalicznym rozgłosie, w którymby nareszcie utonął, a tymczasem przyzwyczajał się do swego położenia. Część majątku hrabiny niedługo się ostała w rękach Leona, który przesycony wszystkimi namiętnościami, oddał się grze, choć ta faktycznie nie nęciła go nigdy. Niebawem po raz drugi, wkrótce i trzeci udawał się do żony po nową zapomogę. Teraz te interesa, które po raz pierwszy odbyły się nieśmiało, listownie, załatwiali ustnie, w zwykłej pogadance, która się kończyła tem, że żądane sumy, z rąk hrabiny przechodziły w ręce jej męża. Kończyło się wstrętym brzękiem pieniędzy, który z początku, jak nuta fałszywie wzięta ucho razi, raził wszystkie struny i nerwy hrabiego, potem... nie słyszał go zapewne.

Ostatnimi dniami przegrawszy znów kolosalną sumę, obawiał się trochę pęknięcia bomby. Na razie wysłuchała go tylko pani Ewa, zapytała o termin, na który mu pieniądze będą potrzebne, i wyjechała. Odpowiedzi jej nie był pewien, tymczasem doszła go ona w tej właśnie depeszy, donoszącej mu, że interes załatwiony, to jest pieniądze będą na czas gotowe. Szaleństwo tej kobiety graniczyło ze wspaniałomyślnością, nie pojmował jej już, nie rozumiał. Po raz pierwszy zastanawiała go swoim postępowaniem. Czegóż

ona chciała? O cóż dbać mogła? Żyli jak obcy sobie, z wyjątkiem coraz rzadszych chwil zapomnienia. Czyżby prawdziwie mogło jej chodzić tylko o zachowanie męża dla świata?... Czyżby jej uczucia mogły być prawdziwymi?... Otworzył okno i głęboko odetchnął wieczornym powietrzem. Patrząc przed siebie, powrócił do źródła tych wszystkich rozmyślań, którem było spotkanie z Dorą. W chwili, w której o nie prosił, miał tylko myśl jedną, myśl dobrą i prawą. Pragnął oszczędzić jej spotkania, które przy świadkach mogło jej być nieprzyjemniejsze; następnie sam rzeczywiście czuł potrzebę wytłómaczenia się przed nią. Bo dziwny był to pod niektórymi względami człowiek. W chwili, w której już nic nie miał, gwałtowną czuł potrzebę spłacania najdawniejszych zaległości. Rujnując się moralnie, potrzebował wymazać tę plamę z przeszłości, ciężącą na jego honorze.

Znalazłszy się w obecności Dory, serce jego zadrżało wspomnieniami,
mówił do
niej szczerze i uczciwie. Potrzebował jej przebaczenia, uściśnienia jej
ręki i
opuszczał ją wdzięczny i wzruszony.
Teraz, w tej podróży, którą odbył po błędnych ścieżkach swego życia,
stracił
pewną świeżość uczuć, z jakimi szedł i był

u niej. Nie pojmował wzruszenia swego i pytał siebie, czy nie był
tylko
śmiesznym?
Myśląc nad tem, obraz księżnej Murgano żywo zobaczył przed
oczyma. Wydawała mu
się zmienioną, piękniejszą niż była.. jakby inną. Przypominał sobie jej
zmieszanie i powtarzał z pewnem niedowierzaniem, że ta kobieta go
kochała
niegdyś, z pewną goryczą, że od niego zależało może mieć ją dzisiaj
przy sobie i
dla siebie?
Tak jak w ogóle czynią to charaktery lekkomyślne, słabe, przywykł
wszystko w
życiu składać na karb przeznaczenia; dzisiaj pytał siebie, czy
fatalnemu
przeznaczeniu swego życia nie dopomógł potężnie?
Dziwne jakieś myśli nachodziły hrabiego; patrzył w nie z
przymrużonemi oczami, z
niewesołym uśmiechem na ustach a przysłuchiwał im się tak uważnie
i bacznie, że
zapomniał zupełnie o tem, iż miał być w Monte Carlo. Kiedy się
ocknął, uznał, że
już zapóźno, więc zamiast do Monte Carlo wyszedł na promenadę
Anglików i
przechadzając się po niej częste rzucał wejrzenie w kierunku willi
Marino.

XI.

Dwa tygodnie minęło bez żadnych znaczniejszych zdarzeń. Z powrotem Paola i hrabiny oba małżeństwa powróciły do zwykłego trybu życia, z tą różnicą, że widywali się niemal codziennie. Licińscy mieli szerokie koło znajomych, którzy się wkrótce stali znajomymi Murganów i bezwiednie, nie przez wszystkich jednakowo pożądanym stali się łącznikiem między Łacińskimi a willą Marino. Życie światowe zna tę wadę czy dogodność, że wytwarza pozorną tylko poufałość; w gruncie z małymi wyjątkami pozostaje sobie obcem i obojętnem to samo towarzystwo, które nieraz dni całe razem spędza. Dzięki temu układowi, mimo że się widywały tak często, między Ewą a Dorą nie nastąpiło, bo zresztą nastąpić nie mogło, żadne rzeczywiste zbliżenie. Tak jej, jak Leona, o ile mogła to czynić, bez zwracania zbytecznie uwagi na siebie, unikała Dora. A chociaż nic nie nasuwało powodów mogących zaniepokoić młodą kobietę, bo zachowanie się Leona względem niej, było zawsze pełnem uszanowania: mówił z nią o rzeczach oboje-

tnych tylko, zbliżał się do niej bardzo dyskretnie, słowem znakomicie odgrywał rolę obojętnego ale uprzejmego mężczyzny w obec młodej i ładnej kobiety,

przecież w tem całym obejściu jego było coś, czego wytłómaczyć i określić nie byłaby umiała, a co ją jakąś obawą, jakimś podejrzeniem napełniało. Aby się uspokoić daremnie przypominała sobie ich spotkanie, szczerłość jego; myśli jej nie stawały się swobodniejszemi. Pewnego wieczora, Dora uchyliła się od wspólnego spaceru z Licińskimi i całe powracające zeń towarzystwo wstąpiło do willi Marina. Gdy niektórzy chłodzili się podaną w halli, mrożoną herbatą, kilka osób usiadło pod drzewami. Między temi znajdowała się Dora, do której bardzo zręcznym manewrem przysiadł się hrabia Leon. Jak się to stało ? w sposób bardzo zwykły zapewne, zdarzający się codziennie, ale nagle znalazła się z nim sama. Miała zaledwie sekundę czasu, aby zrobić to spostrzeżenie, zapytać siebie, czy ma wstać czy zostać, bo w tej chwili bardzo obojętnym głosem zapytał ją hrabia, czy zauważyła od dwóch tygodni, że nie jeździł ani razu do Monte Carlo? — Nie wiedziałam nawet o tem, — odpowiedziała; — zresztą, — dodała bardzo chłodno, cóż mnie to obchodzi może?

— Powinno panią obchodzić, bo to nawrócenie jest jej dziełem.
— Nie poczuwam się bynajmniej do tej zasługi — odpowiedziała księżna i biorąc kapelusz leżący obok niej, zrobiła ruch osoby mającej zamiar opuścić swoje miejsce.
Uprzedził ją w tem Liciński i zatrzymał ruchem ręki:

— Nie odchodź pani — rzekł — od dwóch tygodni szukam sposobnej chwili, bym mógł z panią pomówić; zdarza się ona nareszcie i chcę z niej korzystać. A widząc zmieszaną twarz młodej kobiety :
— Czegóż się pani obawia? — dodał łagodniej — to co mam jej powiedzieć, nie jest wcale straszne.... owszem.... owszem — powtórzył — a nachylając się troszkę, cichym wyszeptał głosem:
— Doro! — moja najdroższa Doro! Dora zerwała się z miejsca, a podnosząc na niego wejrzenie pełne błyskawic:
— Jesteś pan podłym! — rzekła drżącym z oburzenia głosem — podłym — powtórzyła — i zakazuje panu mówić do mnie nadal. Słyszysz pan, zakazuję! I szybkim oddaliła się krokiem. "We drzwiach willi spotkała się z Ewą, która rzuciła jej wejrzenie badawcze, przenikające, oczy

jej przytem i wieczny na ustach uśmiech, błyszcząły jakimś niedobrym wyrazem, którego Dora w zmieszaniu swoim nie zauważyła. Kiedy dnia tego księżna Murgano znalazła się samą z mężem, uzyskała samą mocą swego pięknego wejrzenia, któremu zawsze ulegał, że pobyt w Nicei skrócą i już z końcem miesiąca powrócą do Belmonte. Chociaż nie powiedziała mu tego, bo imienia dziecka swego nie chciała mieszać do powodu, który ją z Nicei wypędzał, domyślił się Paolo, że od pewnego czasu już trwające jej nieco smutne usposobienie, tak jak obecne żądanie, były poprostu objawem tęsknoty matki. Ale od pobytu ich w Nicei zależało zdrowie Dory, i księżę postanowił spóźnić o ile się tylko da

spełnienie danej obietnicy.

Gdyby nie był tak zupełnie szczęśliwym, tak głęboko zakochanym,
byłby zauważył

może, że od dnia tego Dora nie tylko była smutną ale i dziwną
zarazem. Ona,

która w ogóle nie była bardzo wylaną, której uczucia nie bywały
nigdy

demonstracyjnymi, zmieniła się w sposób zadziwiający. Kazała mu
naprzykład

opowiadać sobie wszystkie szczegóły swej miłości dla niej, pytała,
czy jest

szczęśliwym, czy wierzy w to, że ona go teraz nad wszystko kocha ?

Gorącemi

słowami namiętnego

Włocha zdawała się upajać, słuchała ich z głową opartą o jego ramię,
trzymając

rękę jego przy ustach. A kiedy umilkł, głosem cichym ale
przekonywającym

opowiadała mu, jak głęboko i gorąco przywiązała się do niego, jak
szczęśliwą ją

uczynił. Przypominała sobie głośno pierwszą podróż poślubną,
mówiła o tych

nocach, które spędzili na pokładzie statku mknącego po falach.

Zdawała się żyć,

teraz dopiero, nieopisanem szczęściem i upojeniem dni pierwszych
małżeństwa,

któremi wówczas jedno z nich żyło tylko. Stawała się nagle kapryśną,
dziecinną,

nie chciała wychodzić, nie chciała by ją opuszczał, marzyła tylko o
powrocie do

Belmonte, a kiedy mówiła o matce jego, o dziecku, to z jakimś
uczuciem

niejasnej, niezrozumiałej tęsknoty.

Ale Paolo nie uważał tego wszystkiego, po raz pierwszy czuł się
głęboko, prawie

namiętnie kochanym i tonął w tem uczuciu upajającej go pewności.
Zresztą czyż można wymagać od zakochanego męża, by odgadł, że
miłość żony,
dorównywająca własnym jego uczuciom, może być zatrważającym
objawem? Ze stanu
swego nie zdawała sobie i Dora należycie sprawy. Miała chwile
głuchej rozpaczki,
nieprzewycięzonego smutku, który się w łzach wylewał, gdy była
samą i płakać
mogła; to znów

napominała siebie, zwała się szaloną, odrzucała ciężar, który miała na
sercu,
chciała uwierzyć, że wszystko co ją dręczyło, było spowodowanym
tęsknotą za
synem i w objęciach Paola zapominała chwilowo o wszystkim, co
nie było jej
szczęściem i jej miłością.
Jakimś szczęśliwym zbiegiem okoliczności, przez jakiś czas nie
widziała ani Ewy,
ani Leona ; dni mijały jednostajnie, spokojnie i młoda kobieta
zaczynała znowu
swobodniej oddychać.
Jednego popołudnia siedziała na werandzie, ocienionej dokoła
spuszczonemi
firankami markizy i wpatrywała się z uśmiechem rokosznym na
ustach w kartkę
papieru rozłożoną na kolanach, na której kilka ogromnych,
nieforemnych liter
składało się na to jedno słowo »Mama«. Był to, w tylko co odebrany
liście od
księżnej, przypisek skreślony ręką jej syna, kierowaną przez babkę; i
zdawało
się Dorze, że na świecie nic równie pięknego nie widziała jeszcze. Ale
co było

rzeczywistem, to, że nigdy list żaden, tak głębokiego uczucia nie wywołał w jej sercu, jak tych liter kilka, które bezwiednie drobniutkie nakreśliły paluszki. Przycisnęła usta do tych czarnych pałek i zdawało jej się, że czuje maleńką, ciepłą i krągłą rączkę swego jedynaka.

— Dzień dobry pani.

Jakby ukąszona przez jadowitego węża skoczyła na odgłos tych słów tuż za nią wypowiedzianych.

Odwróciła się blada, drżąca i patrząc na stojącego przed nią Leona.

— Pan? — zawołała — pan tutaj? jak pan śmiałeś?

Głos jej zatrzymał się jakby w kurczowem ściśnięciu gardła, ręka chowała się

wraz z listem pod koronkę zdobiącą suknię.

— Dlaczegoż bym nie śmiał? — spokojnie odrzekł hrabia — spotkałem właśnie męża

pani i on — dodał znacząco — powiedział mi, że panią tutaj zastać mogę.

— Ach ! — rzekła już spokojniej, z uśmiechem bolesnej pogardy, jesteś pan

jeszcze nieuczciwszym niż przypuszczałam.

— Nieuczciwszym? — powtórzył hrabia — cóż w tem nieuczciwego, że przyszedłem

panią odwiedzić? że od czasu do czasu potrzebuję ją widzieć, kiedy w jej

obecności tylko czuję się szczęśliwym? Myślałem, że już na świecie całym nie ma

osoby ani rzeczy, któreby mnie uszczęśliwić mogły, tymczasem znajduję je

jeszcze.

— Nie panu mówić o szczęściu, panu, który łamiesz to, które na drodze swojej napotykasz.

— Ja? ach pani! czyżby pani o sobie mówiła? cóż za szaleństwo? pani jesteś

jedyną osobą, którą kochałem i ja bym mógł chcieć szczęście pani złamać?

— Kochałeś pan! — zaśmiała się Dora — kochałeś? a więc dajże mi tego dowód i

kiedy nieszczęście już mnie raz przez pana doszło, pozwól mi nadal żyć spokojnie.

— Czyż ja pani w tem przeszkadzam? zrozumiejmy się. Cóż ja chcę od pani, a

raczej o co proszę, o co błagam? Byś mi pani pozwoliła widywać się... słuchać

swego głosu, pozwoliła mi przy sobie zapomnieć o nędzy mego życia! Gdy myślę, że

mógłbym być być mężem pani, że cię dobrowolnie utraciłem... pani!... dodał

zbliżając się o krok do niej.

— Nie przybliżaj się pan, cofając się wstecz zawołała Dora i uwolnij mnie od

obecności swojej.

— Doro! wyszeptał Leon, przysunął się bliżej i rękę ku niej wyciągnął.

Młoda kobieta cofnęła się jeszcze i oparta o filar werandy z ręką naprzód w

kierunku drzwi wyciągniętą:

— Wychodź pan, — rzekła — wychodź w tej chwili.

— A!... — rzekł hrabia głosem, w którym już rozdrażnienie przebijało. Więc tak?

Pani mnie wypędza? Zastanów się pani, kocham cię — dodał ciszej — i zrobię co

zechcesz, ale nie doprowadzaj mnie do ostateczności, bo mógłbym
wówczas do
wszystkiego być zdolnym.

— Nie wątpię o tem — odpowiedziała Dora.

Nagle, w obec grożącego jej rzeczywistego niebezpieczeństwa, ona,
taka

zaniepokojona, taka zatrwożona płonnymi myślami tylko, stawała się
spokojną,

odważną nieustraszoną odwagą, wzmagającą się w miarę jak jego
podłość rosła.

— Nie wątpię — powtórzyła, patrząc mu wprost w oczy, i gotową
jestem na
wszystko.

— Na wszystko? — z ironicznym uśmiechem zapytał hrabia.

Podziwiam panią! Co do

mnie, będąc na jej miejscu, nie chciałbym, by list pisany do pewnego
Leona

Licińskiego, lat temu pięć niespełna, wpadł w ręce mojego męża,
szczególnie...

gdy ten mąż tak mało zdaje się być wtajemniczonym w dawne
stosunki żony swojej.

Księżna opuściła głowę. Nie znajdowała słów, któremi by mu
powiedzieć mogła, ile

pogardy w niej budził. Omylił się hrabia co do znaczenia tego
milczenia,

wyobraził sobie,

że ją zastraszył, więc przybliżając się do niej nieznacznie, powoli,
przepraszał

ją, że śmiał jej to powiedzieć, o czem na seryo nigdy nie myślał, prosił
ją, by

go nie odtrącała od siebie, by mu miłosierną była. Słuchała go ,
większą uwagą

własne myśli niż jego słowa obdarzając, a kiedy umilkł, spojrzała nań
i twarz

jego obrzękła, oczy o niepewnym wyrazie, cała ta fałszywie pokorna
postać stała
się jej wstrętną, tak jak wstrętną w tej chwili była jej myśl, że ona
kiedyś
tego człowieka tak bardzo kochała.
— Słuchaj pan, — rzekła — po tem, co między nami zaszło, a co
rzeczywiście z
mojej winy, której sobie darować nie mogę, nie jest wiadomem memu
mężowi, w
okolicznościach, w jakich się spotykamy, każde słowo pana jest
zniewagą dla
mnie. Słuchać ich więcej nie mogę, nie chcę i nie będę. I mnie pan już
do
ostateczności doprowadziłeś, i powtarzam, że spodziewając się
wszystkiego po
panu, nic obawiam się niczego. Przeszłość, ta dawna i bolesna
przeszłość, do
mnie należy... a jeżeli potrzebuje ona przebaczenia, znajdę je w
miłości mojego
męża. Widzisz pan przed sobą kobietę, w której sercu już dawno,
bardzo dawno, to
wszystko, co było twojem, wygasło i wymarło, kobietę, która się
żadną nie
ustraszy groźbą, która najmniejszego ustępstwa nic

zrobi, bo gdyby nie tysiące innych rzeczy, broniłaby mię ta ćwiartka
papieru,
której się ręka mego syna dotknęła, ta ćwiartka, która mi jest drogą,
świętą, a
którą kryję przed panem, by jej twoje wejrzenie nie skalało. Czyż pan
możesz
myśleć, że żona i matka ustraszy się gróźb pana ? Idź pan, zamień
słowa w czyn,
cokolwiek pan zrobisz, będzie godnem ciebie!
Mówiła z pogardą, którą każde jej słowo policzkowało hrabiego.
Krew coraz

szybciej krążyła w jego żyłach, z wściekłością patrzył na nią, a była tak piękną
w swem oburzeniu, oczy jej takie ogniste, szmaragdowe miały odbłyśki, że
napatrzeć się jej nie mógł, że wściekłość jego topniała w jakimś zmysłowem
podziwieniu. Z takim wejrzeniem aż nadto wymownem, spotkała się nagle księżna,
twarz jej purpurowym od niego oblała się rumieńcem; rzuciła się w tył z
okrzykiem obrzydzenia i tak wymownego wstrętu, że hrabia oprzytomniał od razu.
Kobieta, którą miał przed sobą śmiertelnie go ubodła tym okrzykiem ;
jakieś
niezrozumiałe słowa, podobne do syku zwierzęcia wydobyły się z ust jego i jak
szalony wyleciał z werandy, zeszedł na dół, zatrzasnąwszy za sobą drzwi ogrodu.
Całą przestrzeń, dzielącą willę Marino od jego mieszkania, przebiegł nie bardzo
jeszcze

świadomy tego co robi. W głowie jego różne plątały się myśli, które na usta
jedno tylko przywodziły słowo: Zemsty — zemsty! Okrzyk Dory, zdradzający tak
wymownie jej obrzydzenie dolatywał go jeszcze, przyspieszał kroku by uciec przed
nim a on go ciągle ścigał, w uszach mu tętniał, zmysły mu mącił. Było to może
jedyne upokorzenie, którego nie doznał jeszcze, a które go do żywego dotknęło i
oburzyło. Ale i to oburzenie zdradzające jeszcze pewne resztki dumy, długo trwać
nie miało. Nim doszedł do siebie opadało ono jak mgły ranne, a wznosiły się z

tych bagien moralnego zepsucia godne jego myśli. Powróciwszy do domu, przechadzał się po pokoju zatopiony w głębokiej zadumie w jakiby sposób zemścić się na tej kobiecie, która uledez mu nie chciała. Wynikiem tych rozmyślań był list do pani Dory. Było to arcydzieło cynizmu i zmysłowej miłości, a przecież z tego listu, w którym jej groził skandalicznym wyjawieniem ich dawnego stosunku, w którym nie krył przed nią, że potrafi i obecne jej zachowanie względem siebie spotwarzyć, tchnęło coś, co zdradzało istniejące kiedyś... kiedy jeszcze był w stanie je odczuć, prawdziwe uczucie! Napisawszy, włożył list do koperty, zaadresował go i niezamknięty zostawił na biurku

a sam rzucił się na kanapę i z głową wspartą na rękach w tył złożonych, oczyma wlepionymi w sufit, leżał nieruchomo. Na suficie była maleńka, z wilgoci zapewne pochodząca plamka. Uporczywie w nią się wpatrywał i zdawało mu się, że się w oczach jego powiększa, rozpościera, zalewa sufit cały. Jest to bardzo zwyczajne złudzenie optyczne, o którym wiedzieć musiał a jednak niemiłe to na nim dzisiaj robiło wrażenie. Ten sufit był niby obrazem jego własnego życia, którego zawichrzenia rozpoczęły się zapewne taką maleńką plamką, która podobnie jak ta plama na suficie wzrastała niepostrzeżenie, aż owładnęła całą egzystencją jego.

Nad nim, leżącym w głębi pokoju, dokąd przez otwarte okno niejasne
zaledwo
dochodziło światło wieczorne, sufit wydawał się prawie czarnym. To
znów mogło
wyobrażać ostatnie, to jest dzisiejsze czyny jego. Bodaj czy nie były
one
najbrudniejszymi ze wszystkich, które kiedykolwiek popełnił? List
przed chwilą
napisany palił mu rękę.
Zadumę tę przerwało wejście hrabiny. Przy drzwiach pochyliła nieco
głowę,
przymrużyła oczy ruchem właściwym osobom krótkowidzącym, a
spozstrzegłszy Leona,
zamknęła drzwi, starannie zasunęła kotarę zwieszającą się po nad
niemi i wolnym
krokiem zbliżyła się do męża.

Chwilkę patrzyli na siebie w milczeniu. Hrabina, mimo form zbyt już
pełnych,
była jeszcze wcale piękną kobietą, której urodę psuł niezaprzeczenie
dziwny
wyraz oczu i jakiś niemiły rys w koło ust, który zdradzał ciągły
wewnętrzny
niepokój. Patrząc na nią, pragnęło się mimowoli widzieć tę piękną, o
tak
czystych rysach twarz, w zupełnej bezmyślności, prawie spokoju.
Traciła tem
właśnie, czem inne twarze zyskują, to jest ustawicznym zdradzaniem
zbyt żywej
myśli, traciła także widoczną żądzą utrzymania młodości, która w
pewnym wieku,
z bardzo małymi wyjątkami wszystkie kobiety opanowuje. Była
zanadto świeżą, by
ta świeżość mogła być naturalną, usta były zbyt czerwone, a że miała
je tak

narysowane, iż zawsze wydawały się uśmiechniętymi, nadawało to wszystko czasami jej twarzy wyraz maski. Dość długo trwające już milczenie, przerwał hrabia pytaniem, czego sobie życzy? Zadał je tym tonem jakim się mówi do osób natrętnych, przychodzących nie w porę, głosem krótkim, jakby urywanym. Był to głos złych godzin. Znała go dobrze Ewa i brwi od razu ściągnęły się nad oczyma.
— Czego chciałam? — rzekła ostro opierając się o poręcz kanapy. Stała naprzeciw niego i patrzyła mu wprost w oczy.

— Chciałam — powtórzyła głosem nieco łagodniejszym — chciałam cię... prosić, byśmy wyjechali z Nicei. Spojrzał na nią zdziwiony, uderzyło go coś w intonacji tych słów, potem się zaśmiał.
— Czy ja ci bronię wyjeżdżać? — rzekł.
— Nieuważałeś zapewne, że powiedziałam: »byśmy wyjechali« — odpowiedziała hrabina, podkreślając głosem ostatnie słowa.
— Masz słuszność, nieuważałem. I cóż dalej?
— Dalej? Dalej nic, czekam na odpowiedź twoją.
— Moja odpowiedź jest bardzo jasna i krótka, wyjedź jeżeli chcesz i gdzie chcesz, a ja...
— Ty? — przerwała mu Ewa.
— Ja, — powtórzył hrabia — ja zostanę.
— Dlaczegoż nie chcesz wyjechać ze mną? wszak przyjeżdżając tutaj, narzekałeś na mnie, że to ja obrałam Niceę na nasz zimowy pobyt. Twierdziłeś że wolałbyś być zostać w Paryżu, wróćmyż więc do Paryża.

Zatrzymała się chwilę, czekając co powie, ale czekała daremnie; hrabia patrzył przed siebie i nie odpowiedział ani słowa.

— Dopóki grałeś, rozumiałam, iż ci zależy na pobycie tutaj, ale teraz... teraz,

—

ciągnęła dalej hrabina głosem troszkę prędszym i żywszym, kiedy od trzech

tygodni blisko nie jeździsz do Monte Carlo, nic cię tu nie zatrzymuje.

Dlaczegoż

nie chcesz prośbie mojej zadość uczynić?

— Bo nie chcę — krótko odpowiedział hrabia.

— A... — rzekła — myślałam, że choć raz w życiu znajdziesz mnie godną jakiegoś

względu.

— Ależ to tyrania! — zawołał Liciński — dlaczegoż miałbym się nedorzecznemu

życzeniu poddawać?

— Idzie tu może o szczęście całego życia — poważnie rzekła Ewa.

Hrabia zaśmiał się ironicznie.

— Jeżeli o to tylko idzie, to nie warto nawet dwóch kroków zrobić.

Szczęście?

Chwila, w której znalazłem znaczenie tego wyrazu, jest tak daleką, jeżeli w

ogóle istniała kiedykolwiek, że jej już nie pamiętam, w przyszłości jej nie

widzę i szukać jej nie myślę. Dobrze mi tutaj, więc zostaję... —

stanowczym

dodał głosem.

— Proszę cię raz jeszcze, — nalegała Ewa, a lekkie drżenie jej powiek zdradzało

przemocą tylko zachowany spokój.

Naprawdę, — siadając na kanapie, rzekł Leon — zdaje mi się, żeś
sobie chyba dała

słowo, iż mnie dzisiaj zniecierpliwisz.

Powieki hrabiny silniej zadrżały, postąpiła krokiem ku niemu:

— Ależ my wyjechać musimy!.... słyszysz: musimy. Podaj więc
warunki, pod którymi

się zgodzisz na żądanie moje, mów wszystko uczynię!

A widząc ciągle ten sam uśmiech na twarzy męża, gwałtowniej
zawołała:

— Czemże mam ten wyjazd okupić?

Zaledwie wyrzekła te słowa, hrabia rzucił jej tak straszne spojrzenie,
że

przestraszona cofnęła się nieco. On, zaśmiał się i postępując ku niej:

— Dosyć ! — zawołał — dosyć. Spojrzał na nią i uspokoił się nagle.

— Dlaczegoż przeznaczenie nas złączyło? — zapytał — kiedy
uszcześliwić nas nie

umiało? Czyś się zastanowiła kiedy nad nędznym życiem, któreś mi
stworzyła? czyś

spojrzała na drogę, którą idę? Cóż to, coś zwała miłością, zrobiło ze
mnie?

Nędzarza.... który cię nienawidzi, gardzi sobą i tobą, a tę nienawiść, tę
pogardę ty kupujesz sobie!

Zaśmiał się dziko, a przecierając czoło:

— Dosyć tego, dosyć — dodał. Rozstańmy się, niech każde z nas
osobno idzie swoją

drogą. O ! nieszczęsna to była godzina, w której cię spotkałem na
nowo! Pierwszą

nieuczciwość popełniłem przez ciebie i odtąd.... Urwał nagle, machnął
ręką i

począł wielkimi krokami przechadzać się po pokoju.

— Dlaczegoż mnie odnalazłaś? — zapytał stając znów przed nią, nie
kupowałaś mnie

wówczas jeszcze; poco wróciłem do ciebie?

Hrabina, która dotąd słuchała go dość spokojnie, nagle przy ostatnich
słowach

wydała jakby jęk głuchy, obie ręce podniosła do skroni i zamykając
oczy
rozdzierającym głosem:
— Kochałam cię! — zawołała.
Przystanął, spojrział na nią i po raz pierwszy uwierzył jej słowom.
Uczuł w sercu
coś na kształt wyrzutu i wstydu, porwał za kapelusz i wyszedł.
Zostawszy samą, hrabina stała długo na tem samym miejscu, w tej
samej pozycji, z
rękami cisnącemi skronie, z zamkniętymi oczyma. Jak długo tak stała
nie
wiedziała sama. Kiedy oczy rozwarła, w pokoju było zupełnie ciemno,
okno tylko
rysowało się na szafirowem tle nieba, a tuż obok stojące biurko tonęło
w
światłości południowej nocy.
Postąpiła ku oknu niepewnym krokiem, opierając się o napotykanę po
drodze meble.

Na biurku ręka jej dotknęła jakiegoś papieru, który pod nią
zaszeleścił.
Spojrziała nań i zaledwo oczy jej spoczęły na tym papierze, na którym
pismo męża
poznała, drgnęła i pochwyciła go szybko. Był to list Leona do Dory.
Trzymała go
chwilę w ręku, nagle wysunęła z otwartej koperty i przysunawszy się
blizko okna
przeczytała go raz jeden i drugi a za każdym razem konwulsyjne
niemal drżenia
twarz jej wykrzywiały. Stała czas jakiś z tym listem w ręku patrząc
nań ciągle
naraż jakby postanowienie jej w jednej chwili powziętem zostało,
wsunęła go
napowrót do koperty nie wypuszczając z dłoni i opuściła pokój męża.
Leon tymczasem przechadzał się po ścieżkach ogrodu. Jak prędko
zrywały się jego

napady gwałtowności, tak prędko opadały napowrót; w tej chwili,
żałował już
poniekąd, że się dzisiaj tak uniósł. Był zdenerwowany rozlicznymi
wrażeniami
odczutymi w ciągu dnia, zmęczony jakby po walce. I na cóż to
wszystko ? czyż nie
był tak szalonym jak ten topielec, który się chwyta płynącej po wodzie
łodygi i
ufa jeszcze, że ona wyratować go może?
Utonąć musiał, więc chciał przynajmniej tonąć spokojnie. Postanowił
nie posyłać
listu do Dory, dać jej żyć spokojnie... jak prosiła

o to... postanowił nawet opuścić Niceę i przy sposobności powiedzieć
lepsze
słowo Ewie.
Ona go kochała? Tego pojąć nie umiał bo uczucia tego nie pojmował
właściwie
nigdy.
Nad ranem wrócił do siebie i nie patrząc na nic, wszystkie papiery i
listy
porzucane po stole wrzucił do szuflady, którą zamknął. Odetchnął
swobodniej!
Wszak ten list był prawie zniszczonym! Chcąc uciec, nie wiedział
dobrze przed
kim i przed czym, zapewne przed wszystkimi i przed wszystkim,
wyszedł na morze,
wsiadł do gondoli i kazał się wieść do Monaco.

XII.

Nie ma nic logiczniejszego na świecie, jak egzystencja człowieka.
Czyn jego

każdy jest ogniwnem w szeregu tych, z których się składa wielki łańcuch, zwany życiem ludzkim. Całym ciężarem swoim spadała dzisiaj na Dorę zemsta przeszłości, ta nieubłagana Nemezis, którąby nazwać można konsekwencyą życia. Nieszczęście, boleść, są to może jedyne uczucia, które nigdy nie miną zupełnie, zdawałoby się, że zapuszczają one tak głęboko korzenie swoje, że wytepić ich nie można, że zawsze kiedyś odezwą się one, choćby wspomnieniem tylko. A czemuż jest ono, jeżeli nie dalszym ciągiem boleści? Pierwszy błąd, tak jak boleść pierwsza, są zarodkami, które nigdy pojedynczo nie występują w życiu ludzkim. Pierwszy błąd, pociąga za sobą inne błędy, boleść pierwsza, nowe boleści. Doświadczała tego Dora. We wzburzonym jej sercu budziło się po raz pierwszy, uczucie wielkiej niesprawiedliwości, jaką jest sprawiedliwość życia? Dlaczegoż ona

miała pokutować za winy Leona? dlaczegoż jej winę okupywać miał Paolo? W tem leży może wielka, niedocieczona tajemnica życia które potrzebuje okupu bliźniego, które krzyżem najcięższym obarcza tego, który w sercu mniej ma winy a miłości więcej. Czyżby zawsze nagrody i kary doczesne dochodziły nas nagrodą lub karą osób kochanych? Czyżby naprawdę mniej było boleści w cierpieniu własnym, niż w widoku cierpienia? Niestety, tak bywa i tak jest. Jeżeli Dora zbłądziła, błędu swego dotkliwiej

okupić nie mogła jak cierpieniem, którym błąd ten miał teraz spaść na Paola. Nie wiedziała co począć. Zemsta Leona wydawała jej się niechybną, a na samą myśl, że kto inny a nie ona cokolwiek z przeszłości opowiedzieć może księciu, serce jej mdlało. Cóż począć? Noc całą zadawała sobie to pytanie. Nad ranem postanowiła nareszcie wyjaśnić mężowi całą prawdę. I znów nowe zachodziły trudności. Czyż powinna była powiedzieć wszystko, ostatnie przejście z Leonem? Czyż nie mogła tem wywołać zająć między nim a Paolem? I znów to samo pytanie, co począć? Wypowiadać mu się z przeszłości, nie zataić pierwszego spotkania a zamilczeć resztę. Tak, to będzie najlepiej, ale że ksiązę był niezwykle zajęty dnia tego, wychodził

parę razy z domu, widziała się z nim tak krótko, że dzień się skończył, a postanowienia swego nie uskuteczniła jeszcze. Wieczorem nareszcie wytrzymać już nie mogła i bardzo wzruszona udała się do pokoju Paola. Zastała go zajętego pisaniem. Na jej widok wstał, żywym ruchem zamknął tekę, którą miał przed sobą i postępując ku niej, powitał ją uśmiechem. Młoda kobieta stanęła przed nim i patrzyła mu długo w oczy, nagle zarzuciła mu ręce w około szyi, twarz ukryła na jego ramieniu i głośnym wybuchnęła płaczem. — Doro! — mówił Paolo — Doro! — a twarz jego dziwną przy tem powłokła się bladością. — Co tobie jest Doro? Doro? — powtarzał.

Ręce jej rozplotły się wolno i oparły na jego ramionach.
— Paolo! — zaczęła, a głos jej drżał silnie i łzy, które na chwilę zawisły na rzęsach, spływały niepowstrzymywane wzdłuż bladej twarzyczki.
— Doro! przemówił znowu, moja droga Doro, i patrzył na nią tak łagodnie, tak czule jak mówił, jakby jej tym głosem i wejrzeniem chciał dodać odwagi.

Odetchnąwszy głęboko, młoda kobieta rozpoczęła spowiedź swojego życia. Nie zamilczała niczego. Wyjawiała swój błąd, opowiedziała swoją rozpacz, przestroch, jakim ją ogarnęło powtórne spotkanie z hrabią, wreszcie wyrzuty jakimi okupiła swój brak zaufania ku mężowi.
— Od dawna już — kończyła — miłość zamykała mi usta.
Zbłądziłam bardzo....
Paolo!..
Osuwała się coraz niżej, nagle uklękła przed nim.
— Paolo — powtórzyła — czy mi przebaczasz ?
Podniósł ją żywo, przycisnął gorącym uściskiem do serca i całując jej ręce:
— Moja droga, moja biedna, kochana Doro! — szeptał. Odkąd jesteś moją żoną nie mam ci nic do przebaczenia, a o tem co było... zapominamy oboje. Niepokoje jej i rozpacz dni ostatnich topniały w łzach obfitych i cichych.
Zostawała w jego objęciach. Było jej tak dobrze na tem szlachetnem na tem złotem sercu!
Uspokajał ją długo najczulszemi słowami, pieszczotami, jakimi najlepsza matka koi żal dziecka, nareszcie biorąc w obie ręce jej głowę i patrząc w jej wilgotne jeszcze oczy:

— Dlaczegoż — zapytał — dzisiaj nareszcie i dzisiaj właśnie, powiedziałaś mi to wszystko?

— Bo się bałam byś mnie kochać nie przestał dotąd, a dzisiaj, dodała, bałam się byś się o tem w inny sposób nie dowiedział.

— Przestać cię kochać? ze smutnym uśmiechem rzekł Paolo. Dziecko ! czyż można przestać żyć gdy się już żyć nie chce?

— Więc mnie kochasz? tak samo? tak jak dawniej? jak wczoraj, jak przed chwilą?

— Tak samo — odrzekł książę — jeżeli nie więcej.

— I nigdy! nigdy, pytała jeszcze, to wspomnienie, pamięć słów moich, nie rzuci cienia na szczęście twoje, na uczucia twoje?

— Nigdy! — stanowczo odpowiedział Murgano. Uśmiech nieopisanej rokoszy zawitał na jej ustach.

— I wyjedziemy? — szepnęła.

— Wyjedziemy.... powtórzył poważniejąc książę. Tak, dodał prędko, wyjedziemy pojutrze.... tak, pojutrze wieczór.

I ściskając ją raz jeszcze gorącym, namiętym uściskiem:

— Idź do siebie — dodał — ja tylko list dokończę i zaraz przyjdę do ciebie.

Za odchodzącą patrzył długo. Kiedy nawet brzmienie jej kroków nie dochodziło go więcej, powrócił do biurka, oparł się na niem łokciami, twarz ukrył w rękach i siedział tak długo nieruchomo. Kiedy po chwili odjął ręce od twarzy coś na kształt łzy błyszczało w jego oczach.

Dzień następny minął spokojnie. Dora zdawała się odrodzoną. Zajmowała się

przygotowaniami do przyszłego wyjazdu, do których co chwila
odchodziła, szukała
Paola i patrząc mu w oczy, pytała go czy ją kocha ? Odpowiedzi jego
uspokajały
ją. Nareszcie nadszedł dzień wyjazdu.
Była to sobota i promienie prześlicznego słońca obudziły ją wcześniej.
Uśmiechnęła się niebu, które jakby świąteczną szatę jej serca
przybrało. Takie
było pogodne, szafirowe.... białego obłoczka nie było widać dokoła.
Dochodziła
ją niby pieśń przyrody, niema i weselna, ranku woń upajająca.
Przymknęła oczy i
myśl jej odbiegła tam.... ku Belmonte, do syna i szczęścia. Nagle to
Belmonte
wydało jej się niby oazą daleką, nieprzystępnym schronieniem; nie
mogła prawie
wierzyć, by to było prawdą, że nazajutrz to samo niebo, które widziała
nad sobą,
to słońce, które świeciło na niem, zejść mogło po nad wieżami
Belmonte!

Pod pozorem interesów, które po za domem miał do załatwienia,
Paolo wyszedł koło
dziesiątej godziny. Żegnając Dorę, polecił jej z uśmiechem, którym
się twarz
jego nie rozweselała, by nie traciła czasu, ale pilnowała bacznie, by do
wyjazdu
wszystko gotowem było. Odszedł.... i znów wrócił, by jej dać jeszcze
jakieś
polecenie, przytem uściskał ją czule, zapewnił że ją kocha więcej niż
kiedykolwiek i prosił ją, by nie była niespokojną gdyby się trochę
zapóźnił,
gdyż sam wiedzieć nie może, ile mu czasu zabiorą zajęcia, do których
spiesz. Widocznie trudno mu było oderwać się od niej, patrzył na nią
ukradkiem, stojąc

przy stole, na którym młoda kobieta składała porozrzucane książki, i obejmując

ją raz jeszcze:

— Zapominam się, — rzekł — do widzenia!

— Do widzenia! — zawołała Dora raz jeszcze przez okno.

Podniósł oczy ku niej, uchylił kapelusza i spiesznie wyszedł z ogrodu.

Godziny mijały. Wszystko już było gotowe do wyjazdu. Dora

przechadzała się po

pokojach tchnących już pustką i powtarzała sobie z rozkoszą, że

wkrótce widzieć

nie będzie tego wszystkiego, co ją otacza.

Koło drugiej godziny, zaanonsowano jej hrabinę Licińską. Dora czuła się tak

szczęśliwą, że serce jej pełnem było nieopisanej życzliwości dla całego świata.

Kazała prosić hrabinę i powitała ją tak, jak jeszcze nigdy nie witała jej dotąd.

Hrabina lekkim uściśnieniem ręki odpowiedziała na tę niezwykłą serdeczność.

Usiadła i chwilkę rozmawiały o rzeczach obojętnych, a rozmowa szła dziwnie

oporem. Ewa była bardzo blada i widocznie niespokojna. Nagle

rozglądając się w

koło siebie:

— Czy jesteśmy same? — zapytała, a przekonawszy się o tem,

zbliżyła się do Dory,

i głosem drżącym, tragicznym:

— Nie przyszłam tutaj z wizytą — rzekła — przyszłam jedynie, aby

powiedzieć pani

to wszystko, o czem wiedzieć musisz.

Serce Dory ścisnęło się tak gwałtownie, że odetchnąć i przemówić nie mogła.

Chciała ją błagać by jej nie mówiła tego, z czem do niej przyszła, ale słowa nie

były w stanie przejść przez jej usta. Zresztą hrabina nie dała jej na to czasu,
zbliżyła się jeszcze bardziej do niej, oparła się o stół i zamknęła ją poniekąd
w miejscu, które zajmowała.
— Zanadto cierpiałam, żebym tego dzisiaj nie wypowiedziała pani.
Musisz mnie
wysłuchać do końca. Musisz wiedzieć, że stałaś

się przyczyną mego nieszczęścia i że cię nienawidzę.... tak,
nienawidzę! Wzięłaś
mi mego kochanka, odebrałam go tobie, byłam w mojem prawie i rachunki nasze
wyrównane zostały. Ale wróciłaś znowu....
— Ja? — przerwała Dora. — Ja?
— Tak, ty, pani, powtórzyła hrabina. Ten człowiek, którego nad wszystko
ubóstwiałam, kochał ciebie.... Czyż pani wiesz co to miłość? Myślisz że aby
kochać, wystarczy chcieć pójść za swego ukochanego? Twoja miłość była fałszywą
uczciwością, dumą.... próżnością. Pani nie wiesz co to kochać! Ja go tak
kochałam, że aby go ci odebrać, nie byłabym się przed niczem ulękła, przed
zbrodnią nawet nie wzdrygnęła. Pani nie wiesz co ja przez ciebie cierpiałam!
Twoje wspomnienie oddalało go odemnie, rzuciło w objęcia innych....
Jakiem
prawem zrobiłaś to pani?.. Jeżeliś kochała, to uczciwego człowieka, to nie
trudno, kochałam i ja go także, ale stał się on nieuczciwym....
podłym....
brudnym... Upokarzał mnie na każdym kroku, chciał mnie opuścić, mnie żonę, dla

jakiejś aktorki.... Wykupiłam go.... Pani wiesz co to jest? wiesz ile
trzeba
było cierpieć, żeby podobną infamię śmieć zaproponować, ile jeszcze
cierpień
nowych gotowało przyjęcie tego upokorzenia?
Pani nie wiesz co to jest wiedzieć, że czło-

są wiekowi, którego się kocha, świat by ręki nie podał, gdyby wiedział
to
wszystko co żona wie o nim.... a przecież kochałam go jeszcze! Szedł
w błoto a
ja odważnie szłam za nim, myśląc, że jak mu już nikt i nic nie
pozostanie na
całym świecie, to ja mu jeszcze zostanę. Wiedz pani, że ten człowiek
któregoś
kochała — wszak kochałaś go prawda? jest ostatni z ostatnich!
Wstrętnem ci jest
samo wspomnienie tej miłości, a ja mówię głośno, że go Kocham.
Otóż różnica
naszych uczuć. Tyś go kochała za dobre chwile, które ci dawał, ja go
kocham za
wszystkie cierpienia, które mnie doszły przez niego i od niego.
Kochałam go
jakim był, Kocham jakim jest i będzie ! Im więcej upadał, tem więcej
był mi
drogim, i nie myśl pani, by to było jedną z mniejszych boleści moich.
Nie myśl
także, bym się bardzo różniła od reszty kobiet, byłam zawsze taką jak
one, tylko
życie mi było twardszem. Może ja w sercu miałam tę całą koronkę
słów, które wy,
tak zwane uczciwe kobiety, ciągle macie na ustach. Prawość....
uczciwość....
wierność.... obowiązek! Gdy jesteście szczęśliwe, gdy wszystko
znalazłyście w

życiu o czym tylko serce wasze marzyło, miłość, majątek, stanowisko,
słowem
wszystko — rzucacie światu te fałszywe perły i zdaje wam się, że te
słowa czcze
i próżne

naprawdę uczuciami i wyrazem waszej uczciwości. Chciałabym was
widzieć wychowane
tak, jak ja byłam, przez ojca, któremu piękność moja przedstawiała
kapitał, od
którego procentu żądał, chciałabym was widzieć rzucone za młodu w
objęcia
nienawidzonego człowieka, sprzedane jemu, tak jak ja sprzedaną
byłam! Może by te
słowa wówczas zamarły na waszych ustach, tak jak skamieniały w
sercu mojem! Ale
to dawne czasy — dodała przecierając czoło.
— Spotkałyśmy się tutaj! — ciągnęła dalej pani Ewa, westchnąwszy
głęboko, — w
chwili bezwiednie szczęśliwej dla pani. Nowa namiętność, o którą
zazdrosną nie
byłam, bo majątku mi tylko ujmowała, opanowała wówczas Leona.
Ufałam, że mocą
poświęceń nawrócę go jeszcze do siebie. Nie szczędziłam ich i hojnie
dawałam mu
to, czego jedynie już odemnie żądał: pieniędzy! Zdawało mi się, że
postępowanie
moje ocenić musi. Czekałam chwili, ktoraby jednym słowem uznania
czy
wdzięczności okupiła przeszłość całą. Marzyłam jeszcze o jakiejś
spokojniejszej,
lepszej egzystencji, wszak Hugo powiedział, że »aby błoto wróciło do
dawnej
świećności, wystarcza promyk słońca lub iskra miłości«. Spotkałam
panią,
cierpiałś może także, wiedziałam co cierpieć znaczy, byłaś szczę-

śliwą, i ja spodziewałam się jeszcze szczęścia i.... i przebaczałam ci!
Ale on
ci powracał, odbierałaś go znowu, o! bo ja wiedziałam o wszystkim i
widziałam
wszystko! Wiedziałam, że był tu u pani podczas mojej nieobecności.
Widziałam go
zapominającego o grze dla ciebie, widziałam was tutaj razem w tym
ogrodzie....
cóż on ci mówił wówczas! I ogromną falą, przewalającą nadzieje
moje, nienawiść
wracała mi do serca.... i jedną myśl tylko miałam — zemścić się,
zemścić!
— Pani! — zawołała Dora.
O, czekaj.... nie skończyłam jeszcze. Walczyłam z tą myślą, która jak
cień
ścigała mnie wszędzie, uciec chciałam od niej, oddalić go od ciebie,
i....
wczoraj, nie, przed paru dniami, kiedy powrócił od ciebie, bo
widziałam go
idącego tutaj, widziałam powracającego, śledziłam każdy krok jego,
poszłam do
niego i prosiłam, słyszysz pani, błagałam, byśmy wyjechali. Wiesz, co
mi
odpowiedział na to ? Odpowiedział, że mną gardzi, że mnie
nienawidzi, że....
że.... Ach! — zawołała prawie z rozpaczą w głosie. — Ten człowiek
nie wierzył
nawet nigdy, że ja go kocham! Wtenczas zdawało mi się, że zmysły
tracę! Na stole
jego znalazłam list do pani — list ohydny, za któryby każda kobieta
usprawiedliwioną być

powinna, gdyby zabiła mężczyznę, który go napisał. Ten list wzięłam.

— Pani! Pani! — kryjąc twarz w ręce, krzyknęła Dora.
— Gdyby ten list był doszedł rąk pani, — ciągnęła dalej hrabina —
gdyby się było
spełniło to wszystko, czem pani w nim zagrażał, byłabym przysłała
tutaj do męża
jej i powiedziałabym mu, że to było dzieło nędzarza, którego o
wytłómaczenie się
człowiekowi uczciwemu nie wolno pytać. Tak! byłabym to zrobiła.
Ale list,
choć był napisany, nie miał dojść do swego przeznaczenia.
Wziąwszy go, mogłam
się o tem przekonać, bo hrabiego nie spuszczałam z oka. Widziałam
go chodzącego
noc całą po ogrodzie, widziałam powracającego do siebie. Gdyby miał
zamiar list
wysłać, byłby go wtenczas odszukał, a ja bym mu go zapewne oddała.
Ale nie....
zgarnął wszystkie papiery do szuflady przekonany, że list jest
pomiędzy niemi
i... wyjechał. Tego mi było za wiele. Człowiek, który przed chwilą
tak
straszne, tak okropne słowa do mnie mówił, stawał się prawie
uczciwym dla pani i
przez nią ! Żądza zemsty którą odtrącałam, stała się wszechwładną i....
list ten
w ciągu dnia doszedł rąk księcia. W tej chwili może ich losy i nasze
już są
rozstrzygnięte. Naraziłam męża pani i to jest

moja zemsta, ale naraziłam także Leona i to może być zemsta pani!
Ta, do której te straszne słowa skierowane, były, nie słyszała ich już
od
chwili. Dora, domyślając się końca tej okropnej spowiedzi, zemdląca.
Skończywszy
opowiadanie swoje, hrabina wyzywająco prawie, czekała odpowiedzi.
Nie otrzymując

zadnej, spojrzała baczniej na Dorę i wtenczas dopiero spostrzegła, że
ta jej już
słyszeć nie mogła.
Stała chwilę z wejrzeniem utkwionem w bladą, spokojną twarz, na
której łzy
ostatnie się zatrzymały i nagle w obec tej nieruchomości, podobnej do
śmierci,
czyn jej stanął jej w oczach w całej ohydnej rzeczywistości swojej.
Oczy hrabiny błysnęły jakimś obłąkanym wyrazem, podniosła ręce do
głowy i
uciekła.
Kiedy Dora przyszła do siebie, znalazła się samą na tem samym
miejscu. W
pierwszej chwili nie wiedziała dobrze, co się stało. Pamięć powracała
powoli,
myśl ostatnia, którą dobroczynna, bezwiedna niemoc przytłumiła,
powracała
straszna, okropna, krwawa i zapalała pożar rozpaczony w sercu młodej
kobiety. Nie
była zdolną wstać, ruszyć się z miejsca, słowa wymówić, oczu
podnieść, siedziała
tylko nieruchoma, patrząc w dal, gdzie wyobraźnia straszne rysowała
obrazy.

Najlżejszy ruch w domu tamował jej oddech, wstrzymywał bicie
serca, zimnym
oblewał ją potem. Nie zdawała sobie sprawy z godzin, które mijały.
Słońce już
zachodziło na niebie, gdy usłyszała zbliżające się do jej pokoju kroki.
Zerwała
się z miejsca i jakby uciekać chciała przed niemi; im bliżej one były,
tem dalej
w głąb pokoju się cofała. Ręce młodej kobiety złożone jakby do
modlitwy
wyciągnęły się błagalne w kierunku drzwi a oczy szeroko rozwarte, z
wyrazem

obląkania, bezwiednie szły za niemi. Kiedy drzwi się rozwarły i stanął
w nich
lekarz Murganów w Nicei, krzyk straszny, okropny, przerażający, na
który
zdawałoby się, że te usta maleńkie zdobyć się nigdy nie potrafią,
krzyk, na
który od razu, wszystkimi drzwiami zleciała się służba, wydarł się z
piersi
Dory, która padła w objęcia podtrzymującego ją lekarza.
— Ranny, tylko ranny, zawołał tenże.

XIII.

— Nie ma nadziei.

— Najmniejszej.

— Parę godzin życia zaledwie.

Taką rozmowę prowadziło dwóch lekarzy w jednym z pokojów willi
Marino a mówiąc

cicho spoglądali ciągle w drzwi przyległego pokoju, jakby się
obawiali, by ich

nie dosłyszała czuwająca przy chorym Dora. Niepotrzebnie się jej
wystrzegali,

nie słyszała nic zgoła ! Noc jedna minęła, dzień minął i noc druga
rozpościerała

swoje skrzydła nad willą Marino, odkąd Dora na tem samym miejscu
patrzyła na

rannego. Zdawała się nic nie słyszeć, nic nie widzieć, zdawałaby się
nawet

martwą, gdyby nie powieki, które regularnym, automatycznym
ruchem opadały i

podnosiły się po nad oczyma. Z tem samym wejrzeniem, jakim jej
oczy spoczęły na

Paolu, gdy go nieprzytomnego przyniesiono do domu, przesiadziła
koło niego noc

całą, i tem samem jakby nieprzytomnem wejrzeniem powitała
nazajutrz o

nieszczęściu uwiadomioną matkę,

i te same zawsze oczy, w których łez śladu nie było, patrzyły na ostatnie godziny męża.

Na dworze była noc cicha, ciepła, urocza... lampa przyćmiona słabo oświetlała

pokój.... wszędzie duże poukładały się cienie. Na białych poduszkach odbijała

się ciemna głowa księcia. Twarz jego była bladą a zamknięte oczy opasane

szeroką, czarną obwódką. Słysząc było tylko ciężki oddech chorego w pokoju a w

ogrodzie ptak nocny śpiewał.

Po jednej stronie łóżka klęczała stara księżna z twarzą ukrytą w dłonie, po

drugiej siedziała Dora z założonemi na piersiach rękami, z głową nieco w tył

nachyloną.

Nagle chory poruszył się lekko, otworzył oczy i spotkał się z wejrzeniem matki,

która nachyliła się nad nim. Oczy chorego po chwili, niespokojnie, niby

pytająco, spojrzały na nią.

— Doro ! — szepnęła księżna — szuka ciebie.

Jakkolwiek cicho wymówione były te słowa, dosłyszał i zrozumiał je chory, bo

obejrzał się żywo i zbliżającą się Dorę powitał uśmiechem, w który, zdawało się,

że cała dusza jego przechodzi.

Młoda kobieta usunęła się na kolana i dłoń swoją położyła na ręce rannego.

Uścisnął ją i zatrzymał w tym uścisku. Oczy ich

splotły się wejrzeniem i pozostały złączone z sobą. Zdawało się, że te
dwie
istoty, które się kochały i niebawem rozstać się z sobą miały na wieki,
mówiły
do siebie oczyma, to wszystko, czego usta powiedzieć już nie mogły.
Książę ujął
następnie rękę matki i mając przed sobą te dwie istoty, które nawięcej
ukochał w
życiu, patrzył na nie kolejno, jak żeby im jakieś nieme dawał
polecenie, jak
żeby żonę oddawał matce, matkę żonie. Wejrzenie jego stawało się
nieruchome,
krążyć przestawało zupełnie a po chwili po nad oczami utkwionemi w
Dorę, powieki
zsuwały się powoli.... powoli i zamknęły zupełnie.
Spłoszone porankiem nie ucichły jeszcze nocne głosy, a w willi
Marino serce
Paola cichło już na wieki.
Kiedy księżna czując coraz to zimniejszą rękę syna, głośnym
wybuchnęła płaczem,
Dora spojrzała na nią, na spokojną, jakby uśpioną twarz męża i po
jednym dniu i
dwóch nocach pierwsze słowo, którem się jej usta rozwarły, było:
— Umarł.
Wypowiedziała je powoli, przysłuchując mu się bacznie, jak żeby
dobrze znaczenia
jego nie rozumiała. I odtąd oprócz tego słowa, które od czasu do czasu
powracało
jej na usta, innego nie słyszano od niej. Przypatrywała

się wszystkiemu, co się w koło niej działo, spokojna i obojętna.
Zdawało się, że
pierwszego silniejszego doznaje wrażenia wtenczas dopiero, kiedy się
znalazła na
ukochanym yachcie Paola, którym ciało jego przewożono do
familijnego grobowca w

Belmonte.

Gdy już statek od brzegu odpłynął, Nicea ginęła w oddali, zapytała matki, czy to jest możliwe, by ona z Paolem po raz ostatni płynęła tem ulubionem przez niego morzem? A nie czekając odpowiedzi zeszła do kabiny, w której trumna złożoną była i patrzyła na nią długo.
— Paolo! — szepnęła.

Czuła się tak samą przy tej trumnie, w której on spoczywał, tak nieszczęśliwą, że wierzyć nie mogła, by ona rzeczywiście zamknęła się nad nim.
— Paolo! — powtórzyła. Ale brzmienie jej słów zagłuszył miarowy, jednostajny szum morza. Na to miłosne wezwanie nie odpowiedział jej nikt....

Wówczas

zrozumiała, że Paola już nie było na świecie i znów to jedno słowo: »umarł«,

wyrwało się z jej ust spalonych gorączką.

Kiedy w Belmonte ukończyły się ceremonie pogrzebowe, nastąpiła chwila

najstraszniejsza w tym całym dramacie śmierci. Chwila, w której dopiero prawdziwie tracimy

osobę umarłą, w której ona już nic od nas nie potrzebuje i minuta każda, każda

sekunda, oddala nas jeszcze od niej. Dopóki się widzi trumnę, umarły jest

jeszcze naszym, będąc nas bliskim. Śmierć.... to jest wieczne rozstanie,

pojmujemy dopiero, gdy i tej trumny zabraknie i nic nam już nie zostaje tylko

pewność, że ten, co poszedł nigdy, nigdy już nie wróci. Jest to chwila prawdziwego początku żałoby, a.... często jest początkiem zapomnienia także.

Obawiając się tego momentu dla Dory, księżna, której głucha rozpacz synowej dodawała odwagi i poddania, zaledwie wróciły z kaplicy, wyniosła jej syna, którego dotąd widzieć nie chciała. Dora spojrzała na świeżą uśmiechniętą twarz dziecka i odwróciła się od niej, dając znak, by go zabrano. Dnie mijały ciche, jednostajne w swej boleści. Pałac mógłby się zdawać niezamieszkanym, gdyby nie czarna postać kobieca, która dniami całymi chodziła po wszystkich pokojach, niema, blada, niby cień dawnej Dory lub posąg rozpaczny. Wieczorami chodziła nad morze i słyszano ją mówiącą głośno do siebie samej. Słowa: niesprawiedliwość, śmierć — umarł, powracały ciągle w tym niezrozumiałym monologu. Jak anioł opiekuńczy czuwała nad nią

księżna. Dora zdawała się jej nie widzieć, tak zatopioną była w myślach swoich. Pewnego dnia, w parę tygodni po śmierci Paola, młoda księżna wyjawiała po raz pierwszy życzenie zejścia do grobowca. Wręczono jej klucze kaplicy pałacowej, do której udała się bezzwłocznie. Z kaplicy po kilku schodach schodziło się do grobowca. Był to sklepiony obszerny pokój, w którego framugi wsunięte były trumny. U samej góry było okno o kolorowych szybach, przez które słońce różnobarwnymi promieniami spływało do wnętrza. Na ołtarzu, po nad którym unosił się wielki, biały krucyfiks, pełno było świeżych kwiatów, na każdej niemal

trumnie leżało kilka wieńców. Grobowiec ten nie miał tego ponurego wyrazu, jakimi zazwyczaj tchną grobowce. Żadna woń wilgoci nie unosiła się z niego, przeciwnie wonią kwiatów przesiąknięte było powietrze. Na samym wstępie uderzyło to Dorę. Stanęła chwilę, rozglądając się dokoła. Potem zbliżyła się do framugi najbliższej ołtarza, w którą, pamiętała, że wsunięto trumnę Paola, tę samą trumnę, którą miała ciągle przed oczyma, od dnia, w którym ją po raz pierwszy ujrzała w willi Marino. Willa Marino ! to imię było dalekiem echem przebrzmiałego już szczęścia. Jakże to nie dawne, a już dawne czasy! Umarł! Dlaczegoż on umarł? Dlaczegoż

to niesprawiedliwość okropna zabrała go a zostawiła tych, co zawinili? Paolo umarł! Cóż to jest umrzeć? Czemże śmierć w ogóle? Patrzył na nią, rękę jej trzymał, potem zamknął oczy, opuścił rękę i... nigdy, już nigdy me spotka się z jego wejrzeniem, nigdy już ręki jej nie uściśnie! Umarł, to jest zamilkł, znikł, zginął, i ta trumna jest wszystkim co zostało po nim, wszystkim co miał na tej ziemi jeszcze. Podniosła głowę, ociążała myślami plątajacemi się po niej w nieładzie, i oczy jej zatrzymały się na krucyfiksie. Tam był Bóg! Wszechmocny — wszechdobry... wszechsprawiedliwy! Więc to z Jego woli on poszedł a ona została, kiedy był Wszechmocnym? Ale gdzie Jego dobroć... gdzie sprawiedliwość? Wszak to ona chyba na karę śmierci zasłużyła? a dla czegoż

to nie ona, lecz on umarł?
Znów spojrziała w koło siebie. W grobowcu było tak cicho,
spokojnie...
uroczyście. Nic snu długiego umarłych nie mąciło tutaj... spoczęli i na
wieki
spoczywać będą.
Już nie żyją... nie myślą... nie czują... nie cierpią...
Zaledwie myśl jej wypowiedziała to ostatnie słowo, zdawało jej się, że
jakaś
gruba zasłona spada jej z oczu i nagle śmierć wy-

dała jej się tem, czem jest rzeczywiście, czemś słodkiem, ostatecznym,
kończącym
wszystkie boleści i znoje. Znów oczy wzniosła ku ołtarzowi a
zwieszona głowa
konającego Chrystusa zdawała się jej mówić:
»Ja umieram za winy całego świata, a odtąd śmierć będzie nagrodą
waszą, życie
karą tej ziemi«.
Oparła głowę o ołtarz i słuchała głosu nowych uczuć budzących się w
sercu. Tu...
niedaleko od niej, była matka, która przez nią syna pozbawioną
została, było
dziecko, któremu ona ojca zachować nie umiała... Droga przyszłego
życia zdawała
się jej jasno wytkniętą i myśląc o tem, jakim to życie nadal będzie
dla niej,
młoda kobieta zrozumiała niezrównaną, dobroczynną słodycz
śmierci!
— Paolo! — szepnęła zwracając się do trumny jego i wyciągając rękę
ku niej;
upadła na kolana, pierwszemi od jego śmierci zalewając się łzami.

* * *

Może niejednen z czytelników naszych ciekawy by był wiedzieć , co się stało z Licińskimi? Dla tych powiemy, że zaraz po owym nieszczęśliwym pojedynku, opuścił Niceę. Ukryli się na wsi, tam, gdzie przed paru laty wspólne rozpoczęli życie i zapewne dotąd żyją jeszcze nędzną, nędzniejszą

niż kiedykolwiek egzystencją. Wiadomość o śmierci księcia Murgano wstrząsnęła gwałtownie umysłem Leona. Ten nieszczęśliwy w żyłach swoich, płynących krwią zakażoną i zepsutą, nie miał jednej kropli krwi zbrodniarza. Ta śmierć, którą zadał według wszelkich szalonych, niedorzecznych a istniejących przecież i koniecznych praw honoru, wydawała mu się zbrodnią. Ukrył się z nią przed światem i ludźmi i sam na sam z tą, która mu była współniczką, a która dzisiaj niezbędną mu się stała, bo przy niej pół winy czuje tylko na sobie, pędzi dni pełne trwogi i obawy. Doszedł do tego, że własnego boi się cienia, zdaje mu się, że widzi wszędzie powstające zwłoki Paola i przed temi widmami chorego umysłu chroni się do Ewy, bez której chwili obejść się nie może. Robi wrażenie tropionego zwierza, który w przerażeniu rzuca się naprzeciw tego, od którego uciec pragnie. Więc pani Ewa posiadła nareszcie, to przywiązanie, o które tak długo, tak zacięcie walczyła; tylko że w tem przywiązaniu nic ludzkiego już nie ma!

STRACONA MIŁOŚĆ.

Algier, . stycznia ..

Moja Cesi droga!

Po latach, tak po trzech latach milczenia, które może i zapomnieniem nazwałaś —

odzywam się znowu do Ciebie. Że przyjaźń jest jednym, jedynym może trwałym

uczuciem w sercu ludzkim list mój jest tego dowodem. Szczęście to mrzonka

niedościgniona, miłość to marzenie lub bańka mydlana, życie? życie nawet to

najsilniej zakorzenione uczucie ludzkie, często bywa l' en attendant — tylko

obojętnym, jeśli już nie bolesnym przededniem śmierci. Przyjaźń, jeżeli jest

prawdziwą, głęboką szczerą, przetrwa wszystko i uspiona okolicznościami zbudzi

się na nowo.

Zbudziła się u mnie, — drzemała ona tylko, a jeżeli usnęła silniej u Ciebie,

zbudzi się także od razu, o tem nie wątpię, skoro posłyszysz głos dobrze Ci

znany, którym listownie odzywam się do Ciebie.

Winnam Ci wytłómaczenie, winnam odpowiedzieć na pytanie zadane przed laty, na

które nie odpowiedziałam wtedy, a które ciągle mam w pamięci:

Reniu — co Tobie?

Jakże już dawno zadałaś mi to pytanie — jak dawno!

Ile rzeczy odtąd zmieniło się i przeszło — ile się przeboleło, któż to zliczyć

potrafi?... A ile zapomniało!! Ja nie zapomniałam o Twojem pytaniu,
a Ty nie
zapomniałaś o mnie. Więcej niczego pewną nie jestem.
Czas tutaj prześliczny — i świat dokoła mnie również piękny. Biurko,
na którym
piszę do Ciebie, stoi przy otwartem oknie i kiedy oczy podnoszę,
widzę
najcudowniejszy krajobraz. Tam wąwozy gęsto obrośnięte, ziemia
czerwona, masy
zieleni o kolorycie niewidzianym, ukąpane w słońcu; tu i ówdzie
domy europejskie
lub maurytańskie, białe, rzucają plamy a w oddali Algier się piętrzy.
Zewsząd woń migdałów w pełnym kwiecie dochodzi mnie, a taka
roskosz niezrównana
rozlana dokoła! Niebo takie niebieskie, takie promienne, morze takie
srebrne,
słońce takie złote, a wszystko razem podobne do jakiegoś
olbrzymiego jeziora bez
fali, zamkniętego trzema rzędami wysokich i dalekich gór. Pierwsze
toną w mgle
niebieskiej, drugie rysują się wzorem koronki na tle jaśniejszem, a
śnieg
pokrywa trzecie. Patrząc, myślę, że jesteśmy

na początku zimy i czy uwierzysz, że widok tej wiecznej wiosny,
cieplej, jak
lato, łagodnej jak jesień, napęlnia mi serce uczuciem tak przykrem, tak
smutnem,
że pióro odkładam i płaczę!
A po przez łyzy, oczy widzą moje dalekie strony rodzinne,
najżałośniejszy
krajobraz zimy naszej. Stają przedemną długie, z liści ogołoczone
lipowe aleje
ogrodu, równiny śniegiem zasłane, niebo niskie, ciemne i słyszę łomot
uschłych
gałęzi, skargę wiatru, całą rozpacz zimowej przyrody i.... płaczę!

Czy tylko dlatego, że już nie zobaczę ich może nigdy, nigdy już nie posłyszę?

Nie wiem sama. Tęsknota moja wylewająca się łzami, tęskni zarówno za śniegiem

białym, jak liściem umarłym, za....

Ale kiedy postanowiłam opowiedzieć Ci życie moje, czemuż przed przyczyną, mówię

Ci o skutkach?

Posłuchaj.... W tej krótkiej opowieści odnajdziesz mnie z tem wszystkim co we

mnie znałaś — lubiłaś — potępiałaś — przebaczałaś — z tem wszystkim, czego nie

wiedziałaś a domyślałaś się może i z tem wszystkim nareszcie, czego nie

wiedziałaś zupełnie, co było moją częścią tajemną, tą treścią, bądź uczuć, bądź

szczęścia, bądź cierpienia, najprawdziwszą częścią człowieka czy

to złą, czy dobrą, tem »ja,« o którym się nie mówi nigdy, z którym rzadko się

zdradza, a którym się najwięcej żyje, czuje, raduje i cierpi.

To ja większą stosunkowo u mnie odgrywało rolę, większe zajmowało miejsce.

Urodziłam się zapewno z charakterem bardziej w sobie zamkniętym aniżeli są nim

zazwyczaj charaktery kobiece. Wychowana bez matki, przez ciotkę, która

przywiązanie uważała za obowiązek nie za uczucie, nic i nikt nie wpłynął na

wytryśnięcie tego źródła zaufania, które potrzebuje ciepła i serca, by się na

jaw wydobyć mogło.

Szczerą i otwartą nie miałam już być nigdy. Jeżeli brak tych rysów charakteru

jest Wadą — a wiem z doświadczenia, że go za taką uważasz, największą ona ujmę

przynosi dotkniętej nią osobie, jednak nie jest ona za nią
odpowiedzialną; wada
ta bowiem, staje się jej drugą naturą. Z konieczności przywykłam za
młodu nie
dzielić się z nikim doznaniem wrażeń, nie miałam serca, przed
którym wylać
mogłam, co się w moim gorzku czy żalu zbierało — później —
choć napotkałam
takie na drodze życia, przełamać już siebie nie mogłam. Każda boleść,
każde
wrażenie głębiej odczute, a więc to właśnie, które potrzebuje dwóch
serc — dwóch

głów, dwóch par oczu, by mogło być jasno osądzone i widziane,
zamykało mi usta.
Byłam zawsze samą czy to ze szczęściem czy z boleścią moją i widzę
dzisiaj, że
jeżeli ta samotność jednemu ujmowała szczęścia, podwajała cierpienia
drugiej.
Miałam chwile w życiu, w których byłabym wiele, wiele dała, by
mieć jedną istotę
na świecie, którejbym powiedzieć umiała:
Cierpię, a Ty cierp ze mną, płacz ze mną.
Nieumiałam....
Może z czasem Tybyś się była stała tą istotą, ale okoliczności
rozdzieliły nas
za wcześnie, dzisiaj nią jesteś — ale zapóźno — cierpię cierpieniem,
którego Ty
nawet ukoić nie jesteś w stanie.
Poznałaś mnie w kilka lat po ślubie — wiem, że zrobiłam na Tobie
wrażenie
kobiety młodej — szczęśliwej, patrzącej wesoło w życie, które tysiące
jeszcze
miało dla niej złudzeń.
Sąd Twój zabawił mnie wtenczas, dzisiaj żałują, że tak nie było
rzeczywiście, że

młoda niedoświadczoną, pełną ufności, wtedy nie byłam, kiedy czas był po temu,
bo zdaje mi się, że to stadium w życiu jest jedną z tych chorób, którą przejść
trzeba, a najlepiej przejść za młodu, gdyż później groźniej występuje
w
przebiegu i w skutkach. Że ja, niestety, tej nieuniknionej choroby

w właściwym czasie nie przeżyłam, przekona Cię dalsza spowiedź
mego serca.
Miałam lat , kiedy mnie wydano za męża. Inaczej jak temi słowy —
wydano mnie —
zamażpójścia mojego określić nie mogę, chociaż się wcale temu
postanowieniu nie
opierałam.
Zgodziłam się nań, jakobym się zresztą na każdy inny projekt była
zgodziła — bez
radości, ale bez wstrętu; nie są to w ogóle uczucia, których się doznaje
w
latach siedemnastu, gdyż w tym wieku rzadko się jest czym innym, jak
dzieckiem, a
ja choć pod niejednym względem nad wiek byłam rozwiniętą, na
kwestyę małżeństwa
najzupełniej po dziecinnemu się zapatrywałam.
Nie rozumiałam, nie pojmowałam nawet wcale doniosłości
nierozzerwalnego związku
dwojga ludzi, byłam zbyt młodą, by się nad tem kiedykolwiek
zastanowić, a za
mnie nikt się także nad tem nie zastanowił.
Partya była względnie dobrą, więc mnie wydano.
Mój narzeczony był człowiekiem uprzejmym , wesołym, łatwym,
kochającym, mój mąż
był zakochanym, ale za to mniej uprzejmym, nie wesołym wcale i
trudnym w
pożyciu.

Metamorfozy podobne są na porządku dziennym, co nie przeszkadza wcale, że boleśnie one dotyczą interesowane osoby i zmuszają do zastanawiania się nad niemi. Zastanowił i mnie także cały problemat pożycia małżeńskiego, zastanawiał mnie niepoślednio przez lat dwa. Po dwóch latach doszłam do przekonania, że małżeństwo, jeżeli nie miało szansy oprzeć się na miłości, powinno oprzeć się na filozofii. Filozofia u kobiety to rzecz najsmutniejsza, jest to droga, prowadząca wprost do obojętności, a obojętność to już prawie nieszczęście. Małżeństwo moje było pod każdym względem niefortunnym związkiem, bo i jakże może być innem połączenie dwóch istot, przeznaczonych żyć zawsze razem, między którymi nie ma nic wspólnego, których inteligencje, zapatrywania, pragnienia, gusta, serca, nawet zmysły różnią się najzupełniej i zrozumieć się nie są w stanie. Pożycie dwóch tak niedobrych charakterów jest stokroć gorsze od pożycia z najmniej sympatyczną osobą; w takim małżeństwie bowiem może się z czasem wytworzyć pewien rodzaj co raz to wybitniejszego wstępu który konieczność zasady, czy wychowania przełamują codziennie, nie złamią nigdy.

Jak Ci już wyżej powiedziałam, z mężem moim nie mieliśmy nic wspólnego, nawet

wspomnień, ja bowiem nie kochałam się w nim nigdy, a on kochać się przestał,
pomny był jednak tej zgasłej miłości, bo prawdziwego, choćby
najmniej idealnego
uczucia, niepodobna całkowicie z serca wymazać.
Fałszywem jest mniemanie, że skoro pierwszy zapal miłości w
małżeństwie mija, to
i wspomnienie jej już niepotrzebne, przeciwnie, ma ono wtedy
największą i
najprawdziwszą wartość, bo stanowi jedyną, trwałą spójnię między
tymi dwojgiem
złączonymi nierozzerwalnym węzłem.
W braku tego wspomnienia oprócz nierozzerwalności sakramentu nic
mnie do mojego
męża nie wiązało, to aż zanadto, aby zapobiedz separacyi lub
rozwodowi — zgoła
nic, aby zapobiedz nieszczęściu.
Ze czułam się nieszczęśliwą, o tem oprócz mnie nikt absolutnie nie
wiedział,
miałam bowiem dziwną, dziecinną niemal wstydlivość nieszczęścia,
ukrywałam je,
jak się ukrywa hańbę.
Może to dowodem, że człowiek właściwie do szczęścia stworzony, a
niedolę swoją
uważa za rodzaj kalectwa lub ułomności, do której mu nie miło
przyznać się przed
ludźmi?

zułam się nieszczęśliwą, choć dzisiaj już temu cierpieniu miana dać
nie umiem,
pomimo, że je tak dobrze pamiętam.
Była to jakaś burza wewnętrzna, w której wszystkie uczucia domagały
się swobody,
wolności, życia, buntowały się przeciw rzeczywistości, okrutnej i
nieubłaganej,

targać chciały pęta, aż poznały, że to są łańcuchy i.... uległy im do czasu....

W dniu, w którym jasno zrozumiałam, że szczęście było gmachem stojącym tuż

przedemną, a przecież żadne doń wejście nie stało już dla mnie otworem, burza w

sercu ucichła nagle i już nie tak prędko zerwać się miała na nowo.

Lata mijały. Spędzaliśmy je częścią na wsi, częścią w mieście, żyjąc, jak tyłu

żyje — bez celu i zajęcia, ot, bo żyć trzeba.

Niemieliśmy dzieci, nie pragnęłam ich wówczas, później, a może dopiero dzisiaj

dobrze rozumiem, że trzeba było o nie Boga na klęczkach błagać, dziecko dla

kobiety, to kotwica dla okrętu — bez niego jest ona łodzią?, bez steru

,
narażoną na wszystkie niebezpieczeństwa żeglugi, wśród rozhukanej fali.

Czy ty wiesz Cesi, czym jest dom bez: dziecka? — czym ta cisza wśród gwaru

nawet, ta próżnia wśród tłumu? To rok bez wiosny, lato bez kwiatów, niebo bez

słońca!

Czy ty wiesz, czym ta tęsknota za tą istotką, małą, za jej płaczem, krzykliwym,

despotyzmem, za tą bezgraniczną miłością, która przepęłnia serce młodej kobiety,

gotowa spłynąć na jasnowłosą główkę, a która w braku tego przedmiotu do

ukochania, coraz to się ulatnia, aż w końcu serce wyziębnie.

Mówiłam Ci, że nie pragnęłam dzieci, a przecież były chwile, w których siedząc

samotna w moim zawsze pustym domu — bo nie osoby, ale uczucia dom zapełniają,

wsluchiwałam się z rozpaczą w otaczającą mnie ciszę i z twarzą ukrytą w dłonie,
patrzyłam w obraz, którego nigdy widzieć nie miałam i słuchałam głosów, których nigdy słyszeć nie miałam!...
Po pięciu latach takiego życia, byłam tą Renią, którą poznałaś. Bardzo przystojną dwudziestodwuletnią kobietą — dostatecznie pogodzoną z życiem,
aby je brać z lekkiej i wesołej strony, z dość sporą dozą filozofii, obojętności, sceptycyzmu w duszy, z pewnym zapasem wrodzonej zalotności, którą okoliczności, to jest wielka próżnia serca, rozwijać tylko mogła. Byłaś świadkiem trzech lat następnych, tego istnego szału — jak go nazywałaś u mnie kokieteryi i życia światowego.

Tobie, która znałaś mnie z lepszej a przyznać muszę i prawdziwszej strony, która wiedziałaś, że lekkomyślność nie była właściwym tłem mego charakteru, że przeciwnie górowała w nim ogromna potrzeba uczciwości, pewien wstręt, wrodzony do tych eleganckich i strojnych występków kobiet światowych, nadto sądziłaś mnie przez pryzmat wielkiego przywiązania — ta nowa droga, którą iść poczytałam, wydawała się tylko chwilową rozrywką, czy też wybrykiem kaprysu. I ja ją za taką początkowo uważałam a przecież miała mnie ona daleko zaprowadzić.
Życie światowe moja droga, mimo wielkiego nic, jakim jest rzeczywiście, gdy się nad niem głębiej zastanawia, ma swój urok, swój wpływ, „sa griserie” kiedy się niem żyje.
Bezmyślność tej egzystencji, pewna bezwiednie często nabywająca się

lekkomyślność, najprzód słów, potem myśli i czynów — odmładza człowieka.

Jestto życie, które nie daje ani szczęścia ani wolności, ale daje złudzenie tych
uczuć odbierając czas do zastanowienia się nad sobą. Nadto — jest ona tą wielką,
świetlaną sceną, na której najnaturalniej, bez pozoru złego nawet, odgrywa się
ta wieczna i jedynie inte-

resująca kobietę komedia — miłości. Odbierzmy ludziom możliwość podobań lub
interesowania się wzajemnie sobą a życie światowe istnieć przestanie. Świat to

jest salon, jest le cabinet particulier flirtów światowych a flirt ścieżką prowadzącą do drogi, którą on już pójść nie pozwala, choć doń przystęp ułatwia.

Futilité ton nom est femme.

Mało jest kobiet, do których by się to powiedzenie zastosować nie mogło, do mnie

przez tych lat trzy zastosowywało się najzupełniej.

Przez lat trzy, żyłam w formalnem znarkotyzowaniu temi drobnostkami, z których

się wówczas egzystencja moja składała, zabawy, toalety zapełniały dni i

miesiące. Powodzenie światowe upajało mnie, literalnie bawiło mnie patrzeć na

budzące się dla mnie u mężczyzn uczucia, czy coś na kształt tego, bawiła potęga

mojego uśmiechu; nie szczędziłam go nikomu, miłość w koło mnie zapalała się —

płoneła, gasła, by innej miejsca ustąpić, zaznałam podziwu — kaprysów —

pragnień i zachwyty ludzkich — robiły one wprawdzie na mnie wrażenie

dziecinnych fraszek i to nie wiele wartych, które się łamie i wyrzuca
po
krótkiej chwili zabawy, ale mimo to dbałam o nie, potrzebne mi one
były

do uzupełnienia dekoracji życia światowego a raczej te dekoracje w
postaci
strojów, kwiatów, muzyki i świateł o tyle mi były potrzebne o ile
tym
błyskotkom serca — czy wyobraźni, czy nerwów, przyświecały.
Było to przy końcu zimy r. ... wciągu której kaprys świata złożył w
moje ręce
berło królowej salonów.
Dziecinnie mnie bawiła ta najnieatrważsza z koron tej ziemi. Chwilami
kaprys
wieńczył ją czoło, chwila i kaprys ze skroni ją zdziera.
Byłabym niebawem innego zapewne dożyła panowania, gdyby nie to,
ze nagle
wycofałam się dobrowolnie z areny światowej.
Opuszczałam ją w całej pełni moich tryumfów, zostawiając po sobie
niby smugę
światłą — wspomnienie mojego przejścia, i rzecz dziwna, a taka
zwykła — taka
codzienna, nie żałowałam niczego, co zostawiałam po za sobą, bo w
obec tego, co
miałam teraz, czego teraz doznawałam, tamto zdawało mi się niczem.
A doznawałam nieopisanego wrażenia.
Lat na nowo zakwitało mi w sercu, świat cały mi był drogim, każdy
człowiek
kochanym, niewyczerpane źródło życzliwości płynęło mi z duszy i
zdawało mi się,
że wszystkie skarby świata, wszystkie najgorętsze a urzeczywistnione
ludzkie
pragnienia, cała potęga szczęścia u stóp moich spoczęły.

Kochałam — po raz pierwszy, jedyny — ostatni.
Jakże Ci wypowiedzieć to uczucie? Czyż się ono w ogóle
wypowiada? czyż wiem,
jakiemi Ci je słowami określić? Kochałam i nic więcej — nic więcej
nadto jedno
słowo powiedzieć bym Ci i wówczas nie umiała, bo żaden wyraz nie
ma w sercu
ludzkiem głębszego znaczenia. To jedno słowo takie krótkie, w danej
chwili staje
się duszą, życiem, istotą całą człowieka. Słowo to, płynęło krwią w
moich
żyłach, niem oddychałam, niem myślałam, bo stało się jedyną moją
myślą, jedynym
uczuciem.
Znałam Artura już od kilku miesięcy, ale tego wieczora, w którym
spojrzawszy na
niego, doznałam uczucia, jak gdyby jakiś prąd elektryczny serce
przeszył, oczy
otworzył, i z błyskawiczną szybkością i jasnością dał odczuć —
widzieć,
zrozumieć, że kocham, nie zapomnę nigdy. Czy wtedy dopiero
obudziła się moja
miłość? — nie wiem. — Wiem tylko, że gdyby się lata na to uczucie
składały, nie
byłoby ono silniej wybuchło, jak w tej krótkiej chwili, w której samo
przed sobą
zdradziło się moje serce.
Był on w rzędzie wielu innych, na liście moich wielbicieli, ale był
jedynym
między

nimi, którego za takiego nie uważałam zapewne, lub bezwiednie
uważałam za coś
więcej, bo w obec niego jednego, moja szablonowa kokieterya,
zamieniła się na

nieśmiałość. Pewną jestem, że inaczej na niego patrzyłam, inaczej z nim rozmawiałam, aniżeli z resztą ludzi. Znałaś hr. Artura Z., wiesz ile uroku było w tej smukłej postaci, w tych męskich rysach; ile zadumy w szafirowych oczach, jaki uśmiech na ustach! Czy mi się wydawał pięknym, dla tego że go kochałam, czy nim był rzeczywiście? Wiem tylko, że był dla mnie uosobieniem najszlachetniejszej pięknej postaci, że wyraz niczyich oczu nie był wyraźniejszym, nad wyraz oczu jego, niczyj uśmiech weselszym, niczyj głos łagodniej, sympatyczniej brzmiącym. Interesował mnie zawsze, zaciekał niezwykle, jak gdybym wiedziała, że kiedyś go pokochać muszę. Znałam dokładnie jego życie, bądź przez niego samego, bądź z opowiadania innych. O ile ja nią nie byłam, o tyle on, czy ze mną, czy w ogóle, umiał i potrzebował być szczerym. Opowiedział mi swoje życie w kilku słowach, nie kryjąc, że je zmarnował, że egzy-

stencya jego jest pełną wielkich nic, że miał lat, a nic dodatniego nie zrobił, a kiedy umrze, nic po sobie nie zostawi, nawet żalu, bo go nikt naprawdę nie kocha, on zaś sam roztrwoniał serce na miłości, w które nie wierzył a którymi przecież zappełnił życie. Mi a czarne chwile w życiu, jakie zawsze mają natury wrażliwe, charaktery słabe; przed paru miesiącami myślał, czy nie

najlepiej byłoby tę farsę życia, kiedy już bawić przestaje, zakończyć
wystrzałem
z rewolweru. Mnie poznał — mnie pokochał — żył, pragnął żyć i być
szczęśliwym!
Nastąpiły cztery tygodnie niczem nie zamąconego szczęścia. Były one
moją
młodością, wiosną, czarem mojego życia.
Snem tak pięknym, tak idealnym, że nie przypuszczałam, że się z
niego kiedyś
zbudzić będzie można i będzie trzeba!
W skutek nadmiaru zmęczenia zapewne, nie byłam bardzo zdrową tej
wiosny, mój
lekarz polecił mi stanowczo pilną na siebie zwrócić bacność, a już
bezw warunkowo
nie narażać się na najłżejsze zaziębienie. Zamknęłam się zatem u
siebie i między
czterema ścianami mojego salonu przeżyłam najlepsze, najśłodsze
godziny mojego
życia.
Rzeczywisty dzień dla mnie zaczynał się o . wieczór. Była to godzina,
o której

zazwyczaj przychodził Artur, cały wieczór spędzaliśmy razem,
najczęściej sam na
sam.
Świat się bawił i zapomniał o nas. A my? My, niewiedzieliśmy nawet,
że on
istnieje, zdawało nam się, że na całym świecie istnieje tylko nas
dwoje; mąż mój
nigdy mną bardzo się nie opiekował, używałam w ogóle wielkiej
wolności, większej
tej zimy jeszcze, w obec nowo rozwiniętej u niego pasyi gry, której
namiętnie
się oddawał.
Przepędzając tyle czasu z Arturem, nie mówiliśmy nawet nigdy o
miłości. Miłość

ta, jak atmosfera otaczała nas dookoła, każde słowo, każde wejrzenie,
ruch każdy
był nią przepełniony bez naszej, a przynajmniej bez mojej wiedzy i
woli.
Rozmawialiśmy o wszystkim i o wszystkich tylko nie o sobie, a
często długimi
chwilami nie mówiliśmy wcale, a ta cisza przerywana jedynie
monotonnym,
dyskretnym chodem zegara, lub syczeniem gasnącego ognia na
kominku, była tak
wymowną, tak niesłychanie wymowną, że teraz jeszcze, gdy posłyszę
idący zegar,
lub zobaczę dopalające się na kominku drzewo, staje mi w oczach
obszerny salon,
przysłonięty makatami, widzę każdy sprzęt, który go zapełniał,
ogromnym żółtym
parasolem osłoniętą lampę, a pod jej światłem profil Artura, zwrócony
do kominka
— oczy zapatrzzone w ogień.

Widzę całą drogą przeszłość... i dochodzi mnie woń fiołków —
naszych kwiatów
ulubionych... i widzę, słyszę siebie... uczucia własne na nowo
odczuwam i pytam,
czy wolno, czy można być tak szczęśliwą na ziemi?
Kiedy po raz pierwszy słowami określiliśmy sobie błogi stan serc
naszych, ubyło
nam tej błogości od razu, jak gdyby ten kwiat delikatny, tak cudnie
kwitnący w
sercu, za pierwszym dotknięciem go słowami, zamknął listki swojego
kielicha.
Przez kilka dni byliśmy, jak gdyby przestraszeni naszym
nierozważnym dziełem.
Chwile milczenia stawały się coraz dłuższe, to milczenie było ciężkie
—
przygnębiające, jak cisza przyrody przed burzą...

Sen się skończył...

Zbudziłam się zeń zupełnie pewnego wieczora, w objęciach Artura, z głową na jego

ramieniu, z ustami jego na moich ustach...

Pierwszy pocałunek miłosny, to grzech, występki, zbrodnia. Jest on czym chcesz —

czym go napiętnowały sądy ludzkie — ale jest zarazem pierwszym, najprawdziwszym,

najgłębszym, najwznioślejszym, wyrazem miłości.

Trzeba umrzeć po nim zaraz, by mózgi powiedzieć, że się kochało i było kochaną.

Nie umarłam, tylko wyswobodziwszy się z objęć Artura, skryłam twarz w dłonie i

rzewnie się rozplakałam. Mój piękny sen znikł, jak widzenie, rozpadł się, jak

gmach karciany dziecinną wystawiony ręką, na jego świetlanym grobie wznosił się

z przerażającą szybkością wyobraźni jakiś budynek przyszłości...

U stóp moich klęczał Artur i łagodnie mówił o tej miłości, której słowa inaczej

już pojmowałam teraz.

Mówił długo a ja go słuchałam — rozumiałam, wierzyłam mu wtedy — miał

słuszność!

Nie było nic trudnego, nic niemożliwego — nic złego w takiej miłości, jaką nasza

była.

Słuchałam tej uroczej piosnki serca, której nuta wszystkie głosy tej ziemi

zagłusza — wszystkie władze ludzkie przełamuje, która jest największą potęgą

człowieka nad człowiekiem a... jeżeli czasami jest kłamstwem, to jeszcze na

klęczkach jej słuchać trzeba w uczuciu wdzięczności za szczęście które nam daje.

Dzwonek, zwiastujący przybycie gościa oddalił nas w jednej chwili od siebie,
zmienił wyraz naszych twarzy, uśmiechem okraślił usta.

Zaczynaliśmy smutną komedię miłości.
Zamiast oczekiwanego gościa, wszedł do salonu mój mąż. Wydał mi się tak
niezwykle zmieszanym, że na jego widok moje zmieszanie się
podwoiło, chociaż
nabytą w jednej chwili rutyną, tą matką wszechwiedzy, tą
koniecznością życia
światowego starałam się, je ukryć.
Artur opuścił mnie wcześniej, niż to czynił zazwyczaj, a po jego
odejściu
zostaliśmy sam na sam z moim mężem. Spojrzałam na niego, tak
dziwnie na mnie
patrzył, że mi serce zadrzało i pomyślałam, że lada chwila,
natychmiast może,
zada mi pytanie, na które czułam, że inaczej, jak prawdą
odpowiedzieć nie
zdołam. W jakim sensie będzie mi ono zadane, wyobrazić sobie nie
mogłam, ale
zdawało mi się, że już mam nań gotową odpowiedź na ustach, że
słyszę głos
własny, rozbrzmiewający w słowach — tak — prawda — kocham go!
Milczeliśmy oboje. Mąż mój przechadzał się po pokoju, ja siedząc w
fotelu
stojącym w półcieniu — czekałam. Nagle mój mąż stanął koło mnie.
Serce mi biło
tak silnie, że z początku zagłuszało niemal jego słowa.
— Moja Reniu — rozpoczął i zauważyłam, że głos jego brzmiał
niespokojnie.

Moja Reniu, — powtórzył, — przechodzę do Ciebie po radę i pomoc.

— Radę i pomoc! — Zerwałam się na równe nogi, nie było słów na świecie, któreby mnie z ust jego równie zdziwić mogły.

— Tak, moja droga, — rzekł, mówiąc już prędko jakby mu pilno było wyrzec to co miał do powiedzenia, — dziwią cię te słowa. Widzę, niespodziewałaś się ich, i ja niespodziewałem się również, by podobna chwila między nami przyjść mogła, przyszła jednak niestety i ja twojej pomocy potrzebuję.

— Zgrałem się. Cały kapitał, jakim rozporządzam nie wystarcza na pokrycie długów honorowych, — przyszedłem cię prosić — dodał spuszczać głowę a tak widocznem było, ile go te słowa kosztowały, że nie dając mu ich dokończyć... Ależ — zawołałam, wszak mój kapitał, leży w banku — bierz go — płać — czyż trzeba było na to zupełnie naturalne żądanie tak zawikłanego wstępu? — Myślałem — rzekł — że nie zechcesz.

— Dlaczego?

Chwilka milczenia zaległa po tem słowie. Było ono najwymowniejszą odpowiedzią.

Ten brak słów, dowodził o braku uczuć między nami a próżni dzielącej nas, której rzeczywistą głębokość zmierzyliśmy dopiero dzisiaj.

— Mon cher ami, — zaczęłam, znajdując tylko we francuskim języku, tę niby serdeczną a w rzeczywistości tak banalną nazwę — nie miałeś prawa tego myśleć, i zdaje mi się, że na przypuszczenie iż mogę ci odmówić tak naturalnej pomocy — nie zasłużyłam niczem.

— O nie, — rzekł z pewną żywością — przeciwnie — ale zdawało mi się, że może ja nie zasłużyłem...

— Nie mamy sobie — przerwałam mu — żadnych wymówek do robienia. Jeżeli nie byłeś dla mnie wymarzonym mężem, nie byłam stanowczo stosowną żoną dla ciebie. Omyliliśmy się oboje w swoim wyborze — to nam zapewne nie dało szczęścia, ale dzisiaj po ośmiu latach wspólnego pożycia i przyzwyczajenia nie jesteśmy znowu tak bardzo nieszczęśliwi. Miłości, — dodałam rumieniąc się gwałtownie, — nie żądasz zapewne odemnie, bo tego uczucia nakazać sobie nie można; zresztą nigdy o nie niedbałeś prawdziwie, ale na życzliwą przyjaźń moją zawsze liczyć możesz i dziwię się, że mogłeś wątpić o niej dzisiaj. Za całą odpowiedź silnie moją rękę uścisnął i rzekł przytłumionym głosem: — Dziękuję ci.

Zostawszy samą, zadumałam się głęboko, i rzecz dziwna, zanim myśl moja odbiegła za Arturem, pozostała długo uwięziona przy tym człowieku, który co tylko opuścił ten salon, którego pospiesznie oddalające się jego kroki słyszałam, który był moim mężem... Cóż nas łączyło dzisiaj ? Nic — jakaś fikcja, jakieś przyzwyczajenie, w każdym razie coś tak bardzo zimnego — bardzo obojętnego. Wspomniałam tę już oddaloną chwilę ślubu naszego — wszak on mnie kochał, wtedy przynajmniej wierzyłam temu. Wszak ja miałam serce pełne możliwości kochania, dla czegoż go nie pokochałam, dla czegoż on mnie kochać przestał — cóż wytworzyło tę straszną próżnię między nami... co?... Oto miłość jego była czysto fizycznym

pragnieniem posiadania mnie które zbyt prędko nasyconem zostało a
mojej, ten
rodzaj namiętności obudzić nie zdołał.
Gdybym ja była kochała, byłoby się to wszystko zapewne inaczej
obróciło, ale jak
Ci mówię, uczucie to nie zbudziło się we mnie, a byłam zbyt młodą i
niedoświadczoną, by móc i umieć udawać miłość.
Z osoby mojego męża , myśl moja przeszła na krótkie z nim przejście
tego
wieczora. Byłam dziwnie szczęśliwą ze sposobności, która mi
dozwoliła oddać mu
tę przysługę.

Oprócz tego, że mi go żal było rzeczywiście, zdawało mi się, że tem
poświęceniem
znaczniejszej części mojego majątku , poświęceniem chętnie i bez
najmniejszego
wyrachowania zrobionem, okupię winy moje względem niego.
To przekonanie o popełnionej winie, wskrzesiło i czar jej na nowo.
Jak ogień
zręcznie podłożony, od razu płomieniem się zapala, tak uczucie moje,
od którego
na chwilę się oderwałam, opanowało mnie napowrót, obejmując już
wszechwładnie
myśli i serce.
Tylko nie tonęłam w niem z taką bezgraniczną lubością , jak dawniej,
jak wczoraj
jeszcze... na dnie tego morza rozkoszy były kamyczki — obawy,
trwogi, boleść
odmowy, niemożebność przystania, które teraz raniły — bolały, łzy
wyciskały...
Jakże dziwnem jest serce ludzkie!
Wszakże on był mi najdroższą istotą na całym świecie — tak, był
moim jedynym
ukochanym... a na samą myśl, że chciałby, że mógł zostać moim
kochankiem, zimne

przechodziły mnie dreszcze. Kochankiem ? to samo słowo wstrętnem
wydawało mi się
zawsze, a to, co ono oznaczało, robiło na mnie wrażenie brudnego
łachmana,
zarzuconego na nagie moje ramiona. Takie wrażenie, wyraz ten
sprawiał na mnie
dotychczas... dzisiaj, z prze-

strachem spostrzegłam, że gdy się kocha, o niczem się nie sądzi tak,
jak się

sądziło, zanim się pokochało.... dzisiaj to nienawistne słowo :

kochanek, jego

przybierało postać — jego głos — usta jego i było mi drogiem. Ten
łachman brudny

przemieniał się w jego pieśczęotę i był i zdawał mi się barwnym,
świetlanym,

uroczym!!

Ależ to być nie może! — niemal głośno zawołałam.

Te słowa były protestem duszy przeciw słabości serca.

Miałam lat , byłam religijną, uczciwą dotąd, to jest, że nigdy nie
skłamałam,

że się brzydziłam tem wszystkim, z czem się kryć potrzeba, obłudą i
fałszem;

złamanie przysięgi wydawało mi się występem w obec Boga,
wstrętnem w obec

ludzi.... ale miałam lat i kochałam prawdziwie i gorąco ; to też
wołając : To

być nie może, szlochałam, ja dziecko!

La seule victoire en amour c' est la fuite — powiedział Napoleon.

Według mnie

ucieczka jest równym dowodem miłości, jak i uczciwości kobiety.

Przyznanie się

bowiem do tak olbrzymiej słabości w obec ukochanego, że tylko
nieobecność i

przestrzenie zwalczyć ją mogą., jest szczytem miłości.

Nie rozmyślałam o tem wszystkim wówczas, czułam tylko, że uciekać mi trzeba, że

uciekać muszę i to zaraz, jak najprędzej bez pożegnania, bez tłumaczenia.

Jedno tylko wiedziałam, ale wiedziałam to dobrze, że jeżeli go zobaczę to

zostanę a jeżeli zostanę....

Byłaś wtedy w Wiedniu. W jednej chwili postanowiłam pod pozorem Twojego

nagłego wezwania natychmiast tam pojechać, a potem dalej gdzieś daleko na

południe podążyć, gdzie? było mi to obojętnem, byle daleko i prędko.

Dowiedzionym to faktem, że wielkie i bardzo bolesne postanowienia robi się i

wykonywa w stanie anormalnym, prawie niepoczytalnym, inaczej nie urzeczywistniło

by się ich nigdy.

Działalam, jak w gorączce, nie dając sobie chwili wytchnienia, by ono nie było

chwilą, rozmysłu, pakowałam, urządzałam, zamykałam, a każde skrzypnięcie drzwi,

każdy obrót klucza sprawiał mi wrażenie bolących ruchów w mem sercu, bo tam coś

skrzypiało przeraźliwie, zamykało się kurczowo i wstrzymywaną skargą wybiegało

na usta. Boleść moja wydawała mi się czysto fizyczną, czułam się złamaną,

rozbitą. Do północy przygotowania moje były ukończone; mój mąż uwiadomiony o

moim projekcie, zgodził się nań najzupełniej i około trzeciej z rana czekając na

piątą, która była godziną wyjazdu,

stałam w stroju podróżnym, oparta o płytę kominka, na którym na
nowo rozpalony
wesoly trzaskał ogień.
Dokoła było cicho. Obejrzałam się nieśmiało.... Wszystko w tym
samym, jak przed
godzinami porządku... oczy moje zatrzymały się dłużej na miejscu, w
którym po
raz pierwszy, spoczęłam w jego objęciach i pożegnały je takim
wejrzeniem, że
promień ono chyba długo tam jeszcze musiało.
Źrenice moje z chciwością skapca chwytały w siebie każdy szczegół
tego pokoju,
by to wspomnienie zabrać z sobą.
Kto nie miał wspomnień w życiu, kto ich nie żywił, kto nie żył niemi
niechaj
mnie potępi za to, że w ślad za wzrokiem prześlizgującym się ze
sprzętu na
sprzęt — z książki na kwiatek duże ciężkie łzy spływały mi z wolna z
oczu a w
sercu głos jakiś szeptał cicho gorące słowa, których ono już więcej
słyszeć nie
miało!
Po długiej chwili takich oględzin i po żegnań nie osób, lecz
przedmiotów,
usiadłam z postanowieniem pożegnania Artura. Z piórem w rękę, z
głową, wspartą
na dłoni, patrzyłam na ćwiartkę białego papieru leżącą przedemną i po
sekundzie
zadumy to wszystko, czem serce było przepelnionem wylało się na
nią. Listu tego
nie mam, ale mam w pamięci

ten jęk rozpacz, którego on był początkiem, treścią i końcem.
Kocham cię, więc
uciekam, żegnam cię i cierpię, ach cierpię nad wszelką moc wyrazu,
bo nad moc

wyrazu cię kocham!..

Przy świetle bielejącego już dnia list ten zamknęłam, i zatrzymałam przy sobie,

chcąc własną ręką wrzucić go do skrzynki pocztowej.

Kiedy mi dano znać, że powóz zajechał zesłam spieszenie i zrobiwszy kilka kroków

ulicą, list dotąd w ręku trzymany wrzuciłam do puszeki. Uderzył on żałością o

puste dno skrzynki i to uderzenie zdawało mi się szeptać: »Wszystko skończone«.

Pawtarzam sobie te dwa słowa przez cały przeciąg czasu jazdy na kolej, przez

cały czas podróży do Wiednia, a mimo to, zdaje mi się, że zajechawszy na

miejsce, sensu tych słów niezrozumiałam, a raczej wierzyć im jeszcze nie mogłam.

Zajechawszy do hotelu, nie miałam siły dać ci znać o moim przyjeździe, jak

śmiertelnie znużony, łaknie odpoczynku, tak ja łaknęłam wytchnienia i

samotności. Położyłam się do łóżka, ukryłam twarz w poduszki i łzom dławiającym

mnie od tak dawna, dozwoliłam swobodnie płynąć. Robiłam sobie wrażenie istoty,

powracającej z cmentarza, na którym pochowała swoje ostatnie kochanie i została

samą na szerokim świecie!

W tym stanie umysłu spędziłam godzin i byłabym zapewne spędziła ich więcej,

gdyby nie gwałtowne przebudzenie moralno-fizycznego uśpienia, spowodowane

odebraniem listu od Artura.

Była to odpowiedź na moje pożegnanie, ale nie zawierała wzajemnego pożegnania.

Przeciwnie, był to tylko krzyk oburzenia na moją siłę, dowodzącą mu,
jedynie
słabości moich uczuć. Pełno było niesprawiedliwości w tym liście, ale
było i
pełno miłości, więc darowywałam pierwsze, płacząc za drugą. List się
kończył
błagalną prośbą o przywołanie go do siebie, zagrażając, że, jeżeli tego
nie
uczynię, odnajdzie mnie, odszuka i to dumne tylko dumne serce
miłością zwalczyć
potrafi!
Dumne serce! jakże ono mało zasługiwało na to miano w chwili,
kiedy jego list
czytałam.... Klęcząco niemal pochłaniałam oddźwięk głosu
ukochanego,
przeniesionego listownie, jak dziecko zgłodniałe, karmiłam się tą
słodką... tą
drogą trucizną.
Od tej chwili rozpoczęła się walka całego mego jestestwa, tysiąca
rozumowań i
uczuć z jednym przeciwnikiem tylko.... obowiązkiem!
Jak się to biedne serce upokarzało, prosiło, szlochało! Jak wołało w
stronę, w
którą ręka wzbraniała się przesłać te słowa:

Przyjeżdżaj, bierz mnie, wiedz, że Cię kocham, nie wąż, nie cierp,
bądź
szczęśliwym.
Że wszechwładną potęgą jest sumienie, przekonałam się wówczas;
podrzucało ono
wszystko koło siebie i pozostało na razie panem sytuacji.
Kiedy wieczorem dnia tego opowiedziałam Ci o moim projekcie
wyjazdu nazajutrz do
Algieru, kiedy szczegółowo mówiłam Ci o moim zdrowiu, o
konieczności tej

podróży, słuchałaś mnie uważnie, patrząc mi tak dziwnie w oczy, że
spojrzenia
Twego znieść nie mogłam, a gdy umilkłam i zmęczona tą. całą
skłamaną po części
historią, odetchnęłam, siadając koło Ciebie — wzięłaś mnie za rękę
pytając:
— Reniu — co Tobie?
Przez mgnienie oka powstała we mnie myśl powiedzenia Ci
wszystkiego. Wydawałaś
mi się jedynym moim ratunkiem a przecież nie powiedziałam Ci nic!
Czego się
domyślałaś, nie wiem, dlaczego odrzuciłam z taką energią Twoją
propozycję
towarzyszenia mi do Algieru — nie wiem także.... zapewne dla tego,
żeby się w
całej swej grozie spełniło nademną przeznaczenie moje!
Rozstałyśmy się zmrożone wzajemnie do siebie i.... czy to być może?
nie
widziałyśmy się więcej! Moja droga, kochana — czego-

kolwiek się z tej spowiedzi dowiesz o mojej przeszłości — wierzaj
jednemu, w co
może sądząc z pozorów uwierzyć Ci będzie trudno — wierzaj w to
jednak, że
wyjeżdżając i żegnając Ciebie, jedno miałam tylko na celu i myśli, a
tem była
ucieczka przed sobą samą!...
W Algierze zamieszkałam w tej samej willi, w której przed laty, będąc
panną,
niemal dzieckiem jeszcze, spędziłam jedną zimę.
Willi ta maleńka, położona już dobrze za miastem, zaciszna, kwiatów,
zieleni i
słońca pełna.
Niesłychanie pustym był Algier tej zimy; ze znajomych nie było
nikogo i w
zupełnej żyjąc samotności, zdawało mi się, że odradzam się na nowo.

Słońce i samotność są to dwa balsamy, które zawsze najlepiej koją serce moje.

Myślałam i rozumowałam wiele, a co w tych myślach i rozumowaniach było zbyt gorzkim i boleśnym, koło słońce takie złote, wspaniałe , spływające ku ziemi niby nadzieja... obietnicą, pieśczętą.
Co do uczynku zdaje mi się, że spełniłam moją powinność, co do myśli nigdy niestety nie spełniałam jej zupełnie. Może słowo: niestety, odnoszące się do tych dawnych czasów wyda ci się obłudnym w moich ustach; myśli bowiem, były wówczas moją

najwyższą jedyną rozkoszą. Myśli? to za wiele powiedziane — myśl jedna ciągle ustawiczna zawsze ta sama...

On ! było to błędne zaczarowane koło, w którym obracałam się dniami, śniłam nocami, myśl ta uporczywością swoją stawiała się poniekąd bolesną, graniczącą z nużącym obłędem, zwanym idée fixe. Minęło dwa tygodnie, wraz z nimi gasnąc poczynała egzaltacja mojego, bądź co bądź heroicznego czynu. Pewnego poranku obudziłam się , jakby nagle wytrzeźwiona po dłuższym odurzeniu i cóż powiesz na to? przez dni kilka bałam się samej siebie. Przeraziła mnie otchłań złego jaką odkrywałam w sobie. Całe moje postępowanie ostatnich czasów wydało mi się głupim, dziecinnym; pytałam siebie w imię czego i jakim prawem zamykałam do trumny serce, które żyć i kochać chciało?

Jakiem prawem, niebo, czy ziemia, Bóg czy ludzie mogli żądać odemnie, tak wielkich poświęceń ? — Wszak człowiek rodzi się wolnym i od kolebki kształci się w nim mrzonka o szczęściu. Dlaczegoż ja dzisiaj dobrowolnie nakładam na siebie, pęta niewolnicy, dlaczegoż, kiedy przy ustach miałam, odtrącałam od siebie kielich szczęścia!

Ach! szczęście i miłość! W tych słonecznych krajach promień tej pochodni wzmaga się i ze wszystkim, co go otacza, zdaje się wołać: szczęścia i miłości! Nie jestem pewną, czy w tych dniach wewnętrznego buntu, głos mój nie byłby przez morza i kraje przeleciał, by przywołać do siebie tego, od którego dobrowolnie przecież uciekłam... Stało się inaczej! Dla czego? Nie pojmuję, skoro przyszłość taka, jaką być miała, była mi widocznie już wtenczas przeznaczona. Jednego wieczora przypadkowa przechadzka zaprowadziła mnie do klasztoru C. Góruje on nad okolicą, powagą swych szarych murów. Było gorąco, a ja czułam się zmęczoną; otwarte drzwi kościoła zachęcały mnie do wejścia i usiadłam w ławce. Przed wielkim ołtarzem paliła się lampa, a w jednej z bocznych ławek, dwóch zakonników odmawiało wieczorne pacierze. Część modlitw mówili półgłosem, część śpiewali przyciszonym śpiewem, powtarzając jedno i te same słowa po trzykroć, najprzód powoli, spokojnie, potem z jakąś rzewnie błagalną intonacją w głosie. Śpiewu tego słuchałam machinalnie, dziwnie kojąco działał on na mnie, spływał

po mojem moralnem jestestwie, jak spływa chłód wieczorny po
skwarze dnia na
spieczoną ziemię.
Z głową wspartą o rękę, patrzyłam na zakonników, pytając siebie, o
co też oni
modlić się mogą?
Zaledwo myśl moja to pytanie sformułowała, przypomniałam sobie,
że kiedyś, przed
laty wykładano mi regułę tego zakonu. Zapomniałam o niej, jeden
tylko szczegół
utkwiał w mej pamięci, a tym był obowiązek regułą nałożony na
zakonników, by co
dnia, dwie przedwieczorne godziny poświęcali na modlitwę, za tych ,
a raczej w
zastępstwie tych, którzy sami się nie modlą. Nazwać by można te
modły
zakonników: zadośćuczynieniem za zaniedbujących modlitwę.
Przypomniałam sobie, jak mnie wówczas oburzyło samo
przypuszczenie, że mogą
istnieć ludzie, którzy się nie modlą ; dzisiaj to wspomnienie wywołało
dziwny
uśmiech na moje usta. Iluż ludzi napotkałam odtąd, którzy się nie
modlili!
Czyż ja sama?
Wejrzałam w siebie, szukając w sercu tego cichego zakątka, z kąd
prośba do Boga
wyływa? Nieznalazłam go. Inne uczucie zaprzątnęło całkowicie
moje serce i odtąd
niem zawładnęło; nie modliłam się wcale.

Ty, której życie dotychczas było i pozostanie szczęśliwym, uczciwym
i czystym,
nie zaznałaś nigdy zapewne tych czarnych chwil chłodu i oschłości
duszy, tych

powątpiewań o wszystkim, co ci było świętem — tego wykolejenia
moralnego, w
którym niby w błędnym obracasz się kole, czując, że tylko krok jeden
dzieli cię
od przepaści...

Takie usposobienie odnalazłam w sobie... i słuchałam, coraz to
uważniej
modlących się za mnie zakonników.
Bezwiednie usta moje poczęły powtarzać ich słowa, oczy idąc za ich
wejrzeniem,
wzniosły się ku wizerunkowi umieszczonemu w ołtarzu, a kiedy
ukończywszy
pacierze zakonnicy uklękli, ja klęczałam już dawno modląc się
cichym, rzewnym
płaczem.

Dnia następnego pogodziłam się z Bogiem i rzecz zwykłą,
pogodziłam się zarazem z
ludźmi, z życiem z sobą i losem moim.
Prawdziwie szczęśliwą, czułam się przez następny tydzień, zaznałam
wówczas
takiego spokoju duszy, serca i myśli, że podobnych teraz, chyba
śmierć tylko
udzielić by mi mogła. Rozweseliłam się nawet, zdawało mi się, że
powracam do
życia po śmiertelnej chorobie i cieszyłam się wewnątrznie tem,
oddanem mi
życiem. Robiłam różne projekta na przyszłość; w Algierze, chciałam
pozostać

jeszcze tygodnie, potem wrócić do kraju i podążyć wprost do ciebie,
byś ty
dokończyła dzieła mojego odrodzenia.
I o nim nie zapomniałam, o nie! ale pogodzona a raczej poddana
rozstaniu, jakoś
inaczej o nim myślałam...

Jednego dnia... w pięć tygodni po moim przyjeździe wyszłam na spacer w stronę miasta. Czas był cudowny, rozglądałam się w około po tym przestworze lazuru i słońca myśląc, że takiego poranku nie było chyba jeszcze w tym kraju i zdawało mi się, że taki sam poranek zeszedł w moim sercu. Wzbierało w niem, jakieś dziwne uczucie, takie szczęścia bezmierne, że zatrzymałam się i kładąc rękę na tym zegarku uczuć ludzkich, które u mnie przyspieszonym było tętnem — jak ty mnie kiedyś, zapytałam go — co tobie? Zamiast odpowiedzi, ogarnęło mnie uczucie pełne rozkoszy, ale i przestachu pełne. I jak tu przeczuciom nie wierzyć? Nie wiem dla czego, poco, w jakiej myśli i w jakim celu, ale usiadłam na pierwszej napotkanej ławeczce i czekałam. Na kogo? na co? nie wiem. Wiem tylko, że nigdy jeszcze i nigdy już odtąd, nie doznałam tak wyraźnego uczucia oczekiwania.

Oczy miałam zwrócone w stronę miasta, a kiedy po chwili zawidniał powóz na białej drodze, usta moje szepnęły: To on... I rzeczywiście był to on! Kiedy ujrzawszy mnie, z daleka jeszcze wyskoczył z powozu i przybliżył się do mnie, podniosłam głowę, spojrzałam na niego, chciałam się uśmiechnąć i rozplakałam się. Trzymał moje ręce przy swoich ustach i nagle, uczułam spadające na nie dwie łzy jego. Takie było nasze powitanie. W chwilę później siedzieliśmy oboje w moim

saloniku o parę kroków od siebie zaledwie — ale było między nami sześć tygodni rozstania, wiele cierpień — łez, postanowień z mojej strony a to nas, jak sądziłam dzieliło lepiej, pewniej od każdej innej zapory. Mówił do mnie cicho i łagodnie o tem wszystkim, co przecierpiał, przebolewał przez ten wiek niewidzenia, jak się szamotał z siłą wypędzającą go za mną — gdy już myślał, że ją zwalczył, aż dnia pewnego ona go opanowała zupełnie i przywiodła tutaj... Przepraszał mnie za ten przyjazd, opowiadał ostrożności, jakie przedsięwziął by to szaleństwo jego nigdy nikomu wiadomem nie było... Przyjechał, bo przyjechać musiał, bo musiał raz mnie jeszcze zobaczyć, raz jeden jeszcze powiedzieć, że mnie kocha, głos mój

posłyszeć, rękę uścisnąć a potem, jeżeli każę na zawsze dla mnie zaginać! Umilkł nareszcie i szafirowe jego oczy spoczęły na mnie. Wtenczas ja wypowiedziałam się przed nim, niepotrzebnie może, bo w tej spowiedzi, tak pełnej szczerych postanowień rozstania, tyle musiało być miłością że ona przyćmiła resztę. Słuchał mnie uważnie i stanęło na tem, że nazajutrz parowcem w dalszą puści się podróż. Tak być musiało.... i oboje poddani tej konieczności poczęliśmy wspominając o nich, wskrzeszać dawne, błogie chwile, dzień pierwszy poznania i dzień pierwszy miłości zarazem. — Widzę panią jeszcze, mówił, ręką przysłaniając oczy, wchodzącą do salonu pani

B.; miałaś białą suknię i brylantową gwiazdkę we włosach. Stałaś
chwilczkę na
progu, rozglądając się dokoła i zdawało mi się, że nigdy jeszcze
czarnych nie
widziałem oczu, nigdy gwiazdy brylantowej, wpiętej w czarne włosy.
Cały wieczór
oczy moje tę gwiazdę ścigały, wytryskiwać z niej musiały jakieś
prądy
magnetyczne, które serce moje do niej przykuły od razu i na zawsze....
— A pamiętasz pani te chwile, w których bezwiednie szukaliśmy się
wzajemnie z tą
pozorną obojętnością, tak brzemionną miłością, której słowa nie
zdradzały
jeszcze

a każde wejrzenie, ruch każdy zdradzał co chwila! A później.... te
czasy
błogosławione, w których mogłem być sam z tobą.... Jakże byłem
szczęśliwy, jaki
dobry wówczas! Przy pani, pod dziwnym wpływem, jaki wywierałaś
na mnie stawałem
się innym człowiekiem.... a nareszcie.... tu zerwał się z siedzenia i
nerwowym
ruchem gładząc czoło. — Ach! — zawołał — pani mnie nigdy nie
kochałaś, jeżeli
pamiętasz o tej ostatniej chwili i mimo to mówisz mi: jedź.... na
zawsze....
daleko odemnie !
Chwilę tę pamiętam, aż nadto dobrze, bo uczułam nagle, że
szaleństwo było
rozgrzebywać i rozniecać te popioły jeszcze iskier pełne. Wstałam i
żywym ruchem
otworzywszy drzwi szklane, wyszłam na werandę.
Za chwilę i on wyszedł za mną, wziął moją rękę, do ust ją podniósł i
szepnął:
— Przepraszam....

W obec obietnicy wyjazdu nazajutrz nie mogłam mu odmówić
pozwolenia spędzenia
zemną reszty dnia. Oboje byliśmy posepnie usposobieni, a jeżeli
czasami rozmowa
nasza się ożywiła, to przerywało ją odrazu nagłe przypomnienie, czem
ona
rzeczywiście była.... niby godziną przedśmiertną tylko. Mnie te chwile
wydawały
się podobnymi do tych, jakie się spędza czuwając nad konającym.

Konającym było moje serce, ale czuwałam nad niem spokojna....
poddana i silna!
O, tak czułam się silną!
Nazajutrz przyszedł się pożegnać.... nie śmieliśmy sobie w oczy
spojrzeć,
mówiliśmy o najbanalniejszych i najobojętniejszych rzeczach, jak
mówią ludzie
obojętni i obcy sobie.
Po herbacie przeszliśmy do salonu; mieliśmy jeszcze godzinę przed
sobą — każde z
nas ukradkiem śledziło uchodzące minuty na zegarze, one mijały, a
my milczeliśmy
ciągle.
Przez otwarte drzwi na werandę wpływała do pokoju mleczno-
srebrzysta światłość
algierskiego wieczora. Dnia już nie było, nocy nie było jeszcze, była
to chwila
krótka i dziwna w naturze, którą tutaj zauważyłam tylko, chwila
ogromnego
spokoju w przyrodzie, jak żeby jej wszystkie władze zastanowione
zostały, a ona
sama przykuta do czasu tej chwili, zadumała się nad nią.
Uczułam po tęsknocie i żalu, jakim nagle ścisnęło się moje serce, że
chwila
rozstania nadchodzi, że się zbliża, że staje przedemną i bezwiednym
ruchem, jak

żebym się bała ją ujrzeć, przysłoniłam oczy, zachodziły one łzami....
— A więc żegnam cię....
Zerwałam się z miejsca i oboje staliśmy naprzeciwko siebie.

On wziął moje ręce a mnie się zdawało, że za niemi cała moja osoba
usuwa się ku
niemu, odwróciłam lekko głowę, siły mnie opuszczały, omdlewałam,
ale mimo to
usta moje dość wyraźnie odpowiedziały:
— Żegnam....
— Czy ani jednego lepszego słowa nie powiesz mi w tej chwili? —
szepnął Artur —
Reniu moja, kochanie moje, najdroższa, powiedz, czy ty mnie
kochałaś?
Czy go kochałam?
Oczy moje zwróciły się żywo ku niemu; co w nich wyczytał? Prawdę
zapewne; to
czego usta wypowiedzieć nie mogły, czy nie chciały, że go kocham
całym sercem,
całą duszą, każdą myślą moją, że mi serce pęka, rozdziera się, zamiera
w
piersi.... tak oczy moje to chyba wyraziły — bo objął mnie nagle, ale
zwolna,
delikatnie, tak delikatnie, że przytuliłam się do niego, jak dziecko
niebezpieczeństwem wystraszone, tuli się do łona matki i z głową na
jego
ramieniu nie wiedziałam już, czy słucham rzeczywiście słów, które
szepem niby
słodką kołysanka, z ust jego do uszu moich dochodziły, czy tylko śnię
o nich. Ja
cię żegnać nie mogę, moja miłości jedyna. — Nie bądź okrutną,
pozwól, daj mi raz
jeszcze usta moje do twoich ust

przycisnąć, raz jeden.. jedyny... ach Reniu. Reniu, ty musisz być
moją...
Te same usta, których samo wspomnienie paliło jeszcze wargi moje
— spoczęły na
nich... i w tem pożegnaniu powitaliśmy się...
Największą, najprawdziwszą winą mojej winy było to, że żadnych
wyrzutów po niej
nie czułam, i nie wierzę, słyszysz — nie wierzę by jakakolwiek
kobieta, która
kochała tak gorąco, jak ja kochałam, oddawszy się ukochanemu,
wiedziała odrazu,
co wyrzuty znaczą — by jakiegokolwiek doznała żalu — za czyn
popelniony.
Są to czeze frazesa romansopisarzy... Wyrzuty i żale towarzyszą może
lekkomyślnym, z kaprysu zrodzonym stosunkom, ale nie prawdziwej
miłości. Ona
jest, tak wielką, tak świętą, że przestaje być występkiem — jest
zawsze
nieszczęściem, zbrodnią nigdy ! Czy zbrodni może być danem
uczuwać ten, niczem
niezamacony zachwyt, jakim były dla mnie trzy następujące tygodnie!
Żyłam w
jakimś rozkosznem udurzeniu bez nazwy i kiedy z dzisiejszego
piekła spojrzę
jeszcze w te czasy, na samo ich wspomnienie zdaje mi się, że niebo
przedemną się
otwiera.
O pozwól mi mówić o tem minionem szczęściu, jak najobszerniej i jak
najdłużej.
Ono trwało tak bardzo krótko! Była to życia

mojego promienna zorza, ale zorza tylko, nie miało ono zaznać
poranku, ani dnia,
jeno jutrzenkę i... i zachód!
Nazajutrz rozpoczęło się nasze wspólne życie i spłynęło w tak
zupełnej

tajemnicy, że nikt nigdy, prócz Ciebie dzisiaj o tym pobycie Artura w Algierze nie wiedział. Opuścił hotel, wynajął willę, położoną na tem samym przedmieściu, chociaż w znacznym oddaleniu od mojej. Dla tych, których to interesować mogło, opuścił Algier, ja jedna wiedziałam o jego tu pobycie i jeżeli nie osobiście, to myślą, sercem i duszą byliśmy ciągle razem. Domownicy moi, tak byli przyzwyczajeni do tego, że dnię całe spędzałam za domem na wycieczkach i dalekich spacerach, że to nowe życie poniekąd żadnej zmiany w zwykłym trybie mojej dotychczasowej egzystencji nie przyniosło, żadnego też zdziwienia, ani komentarzy wywołać nie mogło! O różnych godzinach, pewna, że o każdej oczekiwana jestem, zakradałam się do willi i zdarzało się czasami, że wchodziłam doń niepostrzeżona nawet przez niego. Były to wielkie moje rozkosze. Podchodziłam na palcach pod drzwi jego pokoju i otwierając je szybko, wołałam: to ja — to ja ! Zanim zdołał przybieść do mnie i objąć mnie w ramiona, z radością widziałam, to

nagle rozpromienienie jego twarzy i gorące wejrzenie, którem mnie obrzucał.

Te chwile robiły na mnie wrażenie słońca, wydobywającego się gwałtownie z poza ciemnej chmury.

Mówił mi wtenczas, że niepodobna mu słowami określić wrażenia, jakie na nim

robiły te słowa: »To ja, to ja!«

Za każdym razem zdawało mu się, że one po raz pierwszy rzucają mnie w jego

objęcia i ja także wierzyć mogłam, że mnie po raz pierwszy do siebie tuli.
Byłam bardzo szczęśliwą... tak szczęśliwą, że życiem całym to krótkie szczęście okupić wypadło!
Pierwszą chmurką na tym jasnym horyzoncie była konieczność rozstania. Chociaż miało być ono chwilowe tylko, nie mniej było bolesnym ; dla mnie szczególnie graniczyła ta boleść z jakimś rozpaczliwym uczuciem czy przeczuciem, że to rozstanie jest poniekąd zerwaniem. Nie zdradzałam się z temi wrażeniami, zdaje mi się, że Artur nie byłby ich zrozumiał, patrzył ufnie w przyszłość tę ufność jego chciałam w siebie wpoić.
Opuściłam Algier pierwsza, aby — jak żartobliwie mówił Artur — »powiedzianem być mogło, że nie ja ciebie, ale ty mnie odjechałaś « — On miał nazajutrz inną powra-

cać do kraju drogą. Po tysiącu obietnicach częstego pisania do siebie, — tyłuż — spotykania się w lecie u morza, rozstaliśmy się. Mieliśmy się spotkać za kilka miesięcy i spotkaliśmy się rzeczywiście, tylko... nie odnaleźliśmy się już nigdy.
Ale słuchaj dalej...
Wróciwszy do kraju wprost podążyłam do siebie na wieś. Treścią tych kilku następujących miesięcy, były codzienne listy od niego i do niego i nimi jedynie żyłam... Doszły Cię zapewne wówczas głosy zdziwienia nad zmianą zaszłą we mnie.

Świat jej nie pojmował. Klimat południa podziałał znakomicie, bo
powracałam
zdrowsza i piękniejsza niż kiedykolwiek, jak mówiono a przecież
wydawałam się inną
osobą, i byłam nią rzeczywiście. Wielkie uczucie i wielkie szczęście,
wszak
zmieniają do niepoznania. Wesoła... lekka, światowa kobieta, jaką
mnie dotąd
znano, znikła na zawsze, pozostała po niej jakaś istota skupiona,
zadumana,
zapatrzona w obraz w sercu tkwiący, żyjąca przeszłością i
przyszłością ;
teraźniejszość nie istniała dla mnie poniekąd. Wszystko, co z nim nie
miało
styczności, stało mi się obojętnym, żyłam z dnia na dzień, z dniem
każdym
kochając go głębiej, z dniem każdym uczuć jego pewniejsza

Im okowy tego uczucia silniej opasywały j mi serce, tem silniej
wierzyłam w jego
miłość.
Tak naturalnych w podobnych okolicznościach, obaw czy trwogi, czy
niepewności,
czy widma możliwego zapomnienia, nie zaznałam nigdy.
Nie byłam przecież ani zbyt młoda, ani zbyt niedoświadczoną, aby nie
wiedzieć,
jaką czas jest siłą i potęgą destrukcyjną w sercach ludzi.
Sądziłam o tem wszystkim bardzo logicznie i jasno zazwyczaj, tylko
wtedy sędzić
zupełnie przestałam, bo się przeszłość pomścić musiała.
Stawałam się młodą tą młodością, której nie miałam nawet za lat
dziewiczych i
wszystkie szalone ufności dziecięcego serca, których nie znałam
dotąd, miały doń
wolny przystęp... ach... i tak niem zawładnęły, że do walki życia,
stanęłam

zupełnie bezbronna. Wszystko składało się na to, aby mnie jak
najdłużej utrzymać
w tem odurzeniu miłości.
W domu dawną zastałam pustkę, mąż mój był nieobecny, podążył do
Londynu za jakąś
śpiewaczką — dzieci nie miałam, własne sumienie ucichło
najzupełniej, zatem głos
żaden, żadne wejrzenie nie budziło, mnie z tego snu miłości.

Podług z góry ułożonego programu, spotkaliśmy się w Odessie, gdzie
zazwyczaj
koniec lata spędzałam. Odnalazłam Artura takim, jakim go
pożegnałam w Algierze,
a przynajmniej jakim go być sądziłam.
Dziś bowiem, gdy te czasy biorę pod surową rozważę, to już w nich
widzę zarodek
tej śmiertelnej choroby miłości, którą nie wiem czy raczej
przyzwyczajeniem, czy
zobojętnieniem nazwać wypada.
Jest to coś strasznego, niewiadomo z kąd przychodzi, a dokąd
prowadzi... wiem aż
nadto dobrze... powtarzam Ci, że najłżejszego przypuszczenia o czymś
podobnym
nie miałam wówczas... Początek zimy pamiętnego dla mnie roku ..
znalazł nas
wszystkich mniej więcej tak, jak ubiegłego karnawału w L.
I tak, jak wtenczas świat się bawił, a ja z konieczności należałam do
tych
zabaw, które już nawet rozrywką dla mnie nie były, patrzyłam na
flirtujące pary
z uczuciem, jakie Bourget porównał u osoby, która miłości zaznała,
do uczucia
matki patrzącej na dzieci bawiące się lalkami. Wszystko mi się
wydawało takie
małe dziecinne, lalkowate w obec ogromu zapełniającego mi serce.
Stosunki nasze

naturalnie nie były już takie same, jak w Algierze lub w Odessie
nawet, wkładało
się w nie z konieczności coraz to więcej banal-

ności, obłudy, tajemnicy i kłamstwa. Przed rokiem wstrętną mi była
myśl
podobnych kompromisów, teraz bezwiednie zapewne powtarzałam z
Musset'em:

On n'a pas le temps d'y penser quand on aime!...

Miałam tylko czas, siłę, możliwość kochania.

Czy uważałaś podczas burzy, że zanim piorun uderzy, grom ten
poprzedzają

grzmoty, coraz częstsze, bliższe, przygotowujące, że tak powiem
przyrodę na ten

grom wielki i ostatni?

Nie dziwi mnie to, że przyroda tych ostrzegających ją głosów nie
rozumie, ale

pytam siebie, dlaczego ja, będąc istotą rozumną i myślącą, nie
zwróciłam nigdy

uwagi na zachodzące zmiany w świecie mojej miłości ? Czy

przygotowana na grom

ostatni byłabym go mniej odczuła? Czy byłabym mogła ustrzedz się
przed nim??

Wątpię.

A więc lepiej się stało, że nie przeczuwałam nic, nie domyślałam się
niczego!

Jednego wieczora przyszło do pierwszego nieporozumienia między
nami. Żartami

począł mi Artur robić wymówki, że widocznie uczucia moje dla niego
słabną, kiedy

pozwalam innym o moje względy się ubiegać. Bardzo poważnie
odrzekłam na to, że

nawet żartami nie powinien robić takich przypuszczeń.

Nie wiedziałam zupełnie, kogo ma na myśli, odkąd bowiem jego
pokochałam, oczy
moje zatrzymywały się na twarzach ludzkich, nie widząc ich wcale, o
tem przecież
wiedzieć musiał. Ale czy był zirytowany — może ubytkiem u siebie
tego właśnie,
co mnie chciał zarzucać, dosyć, że w trochę żywych słowach, począł
mi opowiadać,
jak i gdzie zauważał żywsze zajęcie się moje Zygmuntem R. Odkąd
go poznałam,
inaczej, jak obojętnie nie pomyślałam o tym człowieku, nie
zauważyłam nawet, że
mu obojętną nie jestem, to też treść słów Artura nie dotknęła mnie,
dotknęły
mnie tylko słowa — głos — wejrzenie jego. Słuchałam w milczeniu
— kiedy umilkł —
przybliżyłam się do niego.
Uklękłam przed nim i opierając ręce o jego kolana: Co tobie?
zapytałam, bo Ty
nie wierzysz w to, co mówisz, ty wiesz, że wszystkim, ludźmi i
światem, ty
jedynie jesteś dla mnie.
Przypominam sobie teraz, że zawahał się chwilę zanim mnie podniósł,
przycisnął
do siebie i powiedział:
Jestem niegodny twojej miłości, Reniu.
Odkąd? zapytałam z uśmiechem niemal tryumfującym, nie wiedząc
wcale, jak na
czasie było moje pytanie. To krótkie słowo dziwne na nim zrobiło
wrażenie, bo
się wzdry-

gnął, bystro spojrzał mi w oczy i odrzekł po chwili: Od początku. —
Dzisiaj, mam to silne przekonanie, żel już tego wieczora zmierzył
ubytek uczuć

swoich dla mnie, że już był na tej drodze, z której żadna wola, ni siła
zawrócić
nie są wstanie... na drodze zapomnienia!
Poczęliśmy się odtąd, z różnych, z dniem każdym zda się
wyrastających powodów
widywać coraz rzadziej u siebie sam na sam, spotykaliśmy się
najczęściej w
towarzystwie. Tak przywykłam, znajdować zawsze dobrem,
rozsądnem i koniecznym,
każde postanowienie Artura, że choć cierpiałam nad tą jego decyzją,
sprzeciwić
się jej nie odważałam. — Dni i tygodnie mijały i nadszedł nareszcie
zimny
poranek marca ... r.!

Wstałam dnia tego pod przykrem wrażeniem udzielonych mi
dyskretnie wiadomości o
moim mężu.

Od owej wyżej Ci opisanej rozmowy naszej, zakończonej oddaniem
mu do dyspozycji
znaczniejszej części mego majątku, stosunki nasze oziębły się jeszcze
— pobyt
jego w Londynie się przedłużył, powrócił w fatalnem usposobieniu i
odtąd grał
podobno jak szalony, zgrywając się regularnie.

Dnia poprzedniego widziałam go bardzo przygnębionym, udzielone
mi równocześnie

wiadomości o niezmiennem jego nieszczęściu w karty, kazały mi
przypuszczać, że
może znowu potrzebuje pomocy pieniężnej i już nie śmie udać się o
nią do mnie.

Postanowiłam zatem uprzedzić go w tym względzie, rozmówić się z
nim i pomódz mu
powtórnie, jeżeli tego okaże się potrzeba. Nie przeceniaj proszę,
mojego

postanowienia, było w niem więcej egoizmu, niż wspaniałomyślności i serca. Byłam szczęśliwą i potrzebowałam nie wiedzieć, że ktoś nim nie jest koło mnie.

Brak szczęścia stawał się dla mnie widmem okropnem, jakby instynktowną trwogą, że i na mnie chwila podobna przyjść może. Może, nie zastanawiając się nad tem, myślałam, że w miarę jak cudze szczęście zapewnię, swoje tem samem utrwale.

Ale powróćmy do toku mojego opowiadania.

Otóż, wstawszy, przechadzałam się po pokoju pod przykrem wrażeniem tej przyszej rozmowy, bądź co bądź niemiłej dla nas obojga. Wyczekiwałam stosownej chwili, w którejbym mogła widzieć się z moim mężem, a sądząc, że już nadeszła, posłałam służącego z poleceniem, by pana hrabiego do mnie prosił. Lokaj wrócił niebawem mocno zmięszany, meldując, że wbrew zwyczajowi zastał drzwi

od środka zamknięte, i że pan hrabia gniewnym głosem zakazał sobie przeszkadzać.

Zmieszanie i zdziwienie służącego i mnie zaniepokoiło, poszłam zatem sama, a

zapukawszy do drzwi, zapytałam, czy nie jest chory, że o tak niezwykle późnej godzinie nie opuszcza swego pokoju. Nie — odpowiedział, jestem zdrów zupełnie.

— Czy rzeczywiście jest ci niemożebnem widzieć się teraz ze mną?

— zapytałam. —

Mam z tobą, pomówić o ważnych interesach.

— I owszem — odrzekł — proszę cię przyjdź za dziesięć minut, będę gotów.

Kiedy już odchodziłam, zawołał jeszcze:

— Dziękuję ci, bardzo dziękuję. Stałam, jak, wryta. Cóż miało
znaczyć to
podziękowanie — za co? ten wyraz zadziwił mnie w jego ustach i
zadziwił głos,
jakim go wyrzekł.
Zdawało mi się, że drga w nim jakaś rozrzewniona struna.
Postanowiłam tych
dziesięć minut poczekać tuż w przyległym pokoju i usiadłszy w oknie,
zapatrzona
w mglisty i smutny krajobraz marcowy, czekałam.
Minuty mijały — musiało ich upłynąć więcej niż dziesięć. Kiedy
usłyszałam
nareszcie, że mój mąż zbliża się do drzwi, i że je otwiera, wstałam
równocześnie, zmierzając ku nim, ale zanim przeszłam kilka kroków,

które mnie od drzwi dzieliły — dom cały zatrzęsł się od
rewolwerowego wystrzału.
Wpadłam do pokoju, a niemal równocześnie ze mną każdymi
drzwiami ukazał się ktoś
z domowników. Na dywanie, pod drzwiami niemal, leżał mój mąż z
roztrzaskaną
głową!
Oszczędzę Ci szczegółowego opisu godzin i dni następnych. Śmierć
tak straszna, i
poważna sama przez się, skupia przecież w koło siebie wszystkie
małostki i
trywialności życia, uwydatnia więcej jeszcze tę monstrualną dozę
obojętności, a
zarazem ciekawości ludzkiej. Nie odgrywałam żadnej komedyi, nie
opuszczając
pokoju w którym spoczywało ciało zmarłego, śmierć jego bowiem
wstrząsnęła mną do
głębi, i łzy, które spływały po mej twarzy, były to łzy szczerego żalu.
W obec
pośmiertnych szczątków tego człowieka, serce moje napępniało się
gorzkim

wyrzutem za to wszystko, czego mu za życia dać nie umiałam,
napełniało się żalem
za każdą przykrą chwilą, którą miał w tem życiu, za każdą radością,
która go na
tej ziemi ominęła.
Serce mi się ścisnęło na myśl strasznej walki, jaką ten biedak o parę
kroków
odemnie staczał, zanim zbrodniczą na siebie podniósł rękę: byłabym
w tej chwili
wszystko, nawet własne życie oddała, byle go wskrzesić. Ani

chwili żalu do niego nie miałam za powód jego śmierci, którym była
kompletna
majątkowa ruina. Stracił wszystko, co miał i większą część mego
posagu.

Dowiedziałam się o tem z pozostawionego na stole listu, który
widocznie był
pisany podczas tych dziesięciu ostatnich minut, bo atrament nie
wysechł jeszcze
zupełnie na papierze, kiedy on już nie żył. List pozostawiony był
następującej
treści:

»Umieram, bo żyć mi trudno w obec tego, co z tego życia zrobiłem.

Nie tylko, że
cały mój majątek straciłem, ale także i twój, to jest oprócz części,
którą mnie

poratowałaś przed rokiem i tę także, o której może myślałaś, że jest
zabezpieczoną przed moją lekkomyślnością.

Zostawiam ci ciężki obowiązek uregulowania moich interesów, a sam
nie wiem, czy

ci zostawiam jakie środki do życia.

Haniebnie postąpiłem sobie względem ciebie Reniu!

Wziąłem cię młodą, bogatą i szczęśliwą! Zostawiam, rozczarowaną i
zrujnowaną.

Ale winy moje względem ciebie życiem przepłacam ; wiem, że mi
przebaczysz, bo w

sercu twojem, w braku głębszego uczucia, tliło zawsze trochę litości i dzisiaj,
kiedy odchodzę od ciebie. Wdzięczny ci za nią jestem. Jedna rzecz mnie pociesza
w tem rozpaczliwym po-

łożeniu, w jakim cię opuszczam, a tą jest, że cię zostawiam młodą, piękną, i że
nowe lepsze życie rozpocząć jeszcze możesz ; pragnę byś w niem znalazła to
wszystko czego, ja ci dać nie umiałem«...
Zaraz po pogrzebie, a raczej po tym strasznym obchodzie, w którym kościół
odmawia samobójcom swego uczestnictwa, a który z tego pogrzebu robi coś tak
rozpaczliwie smutnego, że lata całe nie wymażą mi z pamięci tego milczącego
pochodu, zdążającego tam, gdzie po śmierci przynajmniej znajdzie się miejsce dla
tego nędzarza, który go sobie nie mógł znaleźć w życiu... Po pogrzebie, spadła
na mnie część druga tej tragedji domowej — część finansowa. — Była ona dosyć
jasną. Spłaciwszy resztkami kapitałów nagłące długi, pozostawała jeszcze do
spłacenia w rok po śmierci znaczniesza suma, którą pokryć trzeba było sprzedażą
majątku ziemskiego, reszta z osiągniętej za te dobra sumy, przedstawiała dopiero
mój obecny majątek. W najlepszym razie, mogłam więc mieć do tysięcy rocznego
dochodu; nie było to wiele, w obec zbytku, do którego byłam przyzwyczajoną, ale
nie spodziewałam się, by się tyle uratowało. Byłabym połowę tej sumy odstąpiła jeszcze, byle on mógł wiedzieć,
że ją

posiadam, że straty swoje i winę swoją przesadził!

Urządziwszy interesa, mieszkanie w mieście, zostające mi jeszcze na półtora roku do użycia, zamknęłam, i wyjechałam na wieś. W trzy miesiące po śmierci mojego męża, stanęło mi po raz pierwszy w myśli, że jestem wolną! Czyż potrzebuję ci mówić, ile innych myśli ta jedna myśl zrodziła? Jaką nadzieją, a raczej jaką pewnością zabiło serce?? Kochałam Artura zawsze tak samo, bodaj czy nie więcej, odkąd to uczucie należało do rzędu uczuć dozwolonych, odkąd bądź co bądź, przecierpiawszy wiele, znalazłszy się samą, oceniłam więcej jeszcze tę słodką pewność, że gdzieś daleko odemnie wprawdzie, ale biło serce mnie pełne, mnie oddane, że jeżeli mnie wszystko zawiodło w życiu, nawet majątek, — ono mnie nie zawiedzie nigdy! Postępowanie Artura w tych smutnych czasach było takim, jakim być powinno, bardzo oględne, za co mu wdzięczną byłam. Uniknął zřęcznie obowiązku złożenia mi kondolencyi, i za nim przybyłam do L., on już był ztamtąd wyjechał. Na wsi odebrałam od niego list, którego treść czysto przyjacielską, oceniłam także. — Doniósł mi, że wyjeżdża w dalszą podróż, i prosił, bym w każdej okoliczności nie zapominała, że mam w nim oddanego sobie przyjaciela. Nieobecność jego trwała sześć miesięcy, i w tym czasie listy jego

były krótkie i rzadkie, coraz krótsze i coraz rzadsze.
Razu jednego nawet, z jednym z takich listów w ręku, zapytałam
siebie: Czy on
mnie jeszcze kocha?
Śmiać mi się chce prawie, na wspomnienie oburzenia, z jakim sama
własne
przyjęłam pytanie. Tę chwilę zwątpienia o nim, okupiłam wzrastającą
siłą wiary w
niego, i silna tem uczuciem, tą wiarą w niego, gdy przed ostatecznym
zakończeniem interesów, to jest sprzedaży majątku i uregulowania
wypłat,
potrzebowałam doświadczonego i prawdziwego przyjaciela,
napisałam do niego,
prosząc o przyjazd.
Odpowiedział w tej chwili, oznaczając dzień swego przybycia.
Było to w ośm miesięcy po śmierci mojego męża. Listopad się
kończył.
Listopad ciemny, smutny i drżysty, jakiego nie pamiętałam jeszcze.
Zdawało mi
się, że naprawdę przyroda przechodzi jakąś namiętnie rozpaczliwą
walkę.
Niepamiętane szalały wichry, unosząc tumany liści umarłych, łamiąc
gałęzie i
drzewa, a kiedy ucichły na chwilę, to następujący po tych burzach
spokój miał w
sobie coś tak żałośnego, że deszcz wydawał mi się płaczem a nie
deszczem!

Rozstrojona tem wszystkim w dziwnie nerwowem, do łez skłonny
usposobieniu,
wyglądałam przyjazdu Artura. Gdy mi doniósł, że przyjedzie za
tydzień, zdawało
mi się, że nigdy się końca tego tygodnia nie doczekam ; tych dni ośm
wydawało mi
się wiekiem, a jednak w miarę jak mijały, chciałam je była
zatrzymać i

przyszłość poczęła mnie przerażać, serce mi przed nią drżało a myśli się mąciły...

Są to często symptomata poprzedzające wielkie uczucie radości i szczęścia —

brałam je za takie, kładłam je na karb tego rzeczywiście wielkiego szczęścia,

jakiem było dla mnie widzenie się z nim — a jeżeli nigdy jeszcze w takim

usposobieniu nie wyglądałam jego przybycia, cóż w tem dziwnego ?
wszak między

nami tak wiele zmienionem było — tak wiele zmienić się mogło i nie wątpiałam, że

się zmieni.

Byliśmy oboje wolni... kochaliśmy się wzajemnie... Serce wzbierało mi głęboko

radością a raczej uczuciem bez nazwy na tę myśl błogą, która mi przyszłością

świeciła!

Nadszedł nareszcie dzień jego przyjazdu. Szarzało już, kiedy powóz przywożący go

z kolei stanął przed domem. Z poza firanek mojego okna śledziłam ten przyjazd i

wraz z powozem, stojącym przed domem, zdawało

mi się, że serce przestaje mi bić w piersiach. Nie byłam w stanie wyjść

naprzeciw niego, tylko go oczekiwałam u siebie, rozglądając się machinalnie

dokoła z tą wrodzoną potrzebą dokładnego wiedzenia, co i jak przedstawi się

oczom kochanym! Pokój, w którym się znajdowałam był moim prywatnym salonikiem,

przepełnionym tem wszystkim, co miałam miłego, przyjemnego... drogiego.

Ogień kominkowy z jednej strony a resztki dnia oświecały go z drugiej. Te różnorodne oświetlenia różowo płomieniste od ognia, szaro blade wpadające z ogrodu, pełzały po meblach, stołach, błyszcząły na złożonych okładkach książek, zabarwiały kwiaty w żardinierce. Ten mój ulubiony kącik tchnący ciepłem zamieszkania, wydawał mi się w tej chwili dziwnie pustym i zimnym. Brakło mi czasu zastanowić się bliżej nad tem wrażeniem, poprzedzony bowiem anonsującym go służącym, wszedł Artur. Zrobiłam krok naprzód i ręka moja spoczęła w jego dłoni. Uścisnął ją i do ust podniósł, a ja zelektryzowana tem dotknięciem po raz pierwszy podniosłam oczy na niego. Jak drutem rozpalonym przeszło mnie uczucie, że ten człowiek, który przed ósmioma miesiącami tak namiętnie przy rozstaniu

tulił mnie w swych objęciach i ten, który obecnie rękę moją całował, był jednym i tym samym, a jednak tak bardzo odmiennym, czy też odmienionym. Było to uczucie tak piorunujące, że otrzeźwiło mnie w jednej chwili i działając już pod jego wpływem z nagle odszukaną przytomnością i zimną krwią powitałam hrabiego. Zdaje mi się, że nie przyjechał w zbyt spokojnem usposobieniu i czerpał je widocznie dopiero w moim spokoju i w mojej swobodzie. Czy mógł je wziąć za dobrą monetę? czy mógł nie widzieć po za tą, wysileniem woli udaną obojętnością

strasznej agonii mojej duszy i serca oczekujących na jedno słowo, na jedno spojrzenie na jedno nic, któreby w rozkosz zamieniło tę straszną masę goryczy, wzbierającej w mem sercu i myślach. Rozmawialiśmy długo. Artur niewyczerpany był w dobrych radach, w słowach uznania dla mnie, a kiedy przypadkiem po wyczerpaniu tematu, rozmowa groziła urwaniem, z nadzwyczajną zrećnością podejmował ją na nowo z tak widoczną obawą możliwej chwili milczenia, że i ja poczytałam się tej chwili obawiać. Ściemniało się coraz bardziej, on mówił jeszcze, rachował, obliczał, opowiadał, ja milczałam, i... nie słuchałam go już od chwili.

Ukrywając twarz w rękach, przez palce patrzyłam na niego... bezmyślnie, bo myślą nazwać mi niepodobna tego kotłowania, wirowania szalonego wspomnień, pytań, pragnień i zwątpień... Patrzyłam na niego, słuchałam jego głosu, ale nadaremnie w tych rysach i w tym głosie pragnęłam odnaleźć dawnego mojego Artura. Kiedy po chwili wszedł służący, wnosząc lampy, a Artur wstał, chcąc pójść się przed obiadem przebrać, ja, zostawszy samą, szybkim krokiem przebiegłam salonik. Dziwnego doznawałam uczucia. Nie wiedziałam, czy mi zimno, czy czegoś szukam, czy lampy mnie oślepiają, bo dreszcze przebiegały mnie od stóp do głowy, ręce co chwila ruchem, odpychającym rozpaczliwe jakieś widzenie, wyciągały się naprzód,

a oczy nie śmiejąc spojrzeć przed siebie, zamykały się machinalnie
przed jakąś
imaginacyjną światłością...
Nielada siły potrzebowałam, by wkrótce potem spotkać się z Arturem.
Obiad
przeszedł nie najgorzej; on opowiedział mi podróż swoją, ja od czasu
do czasu
rzucałam jakieś pytanie, i dziwię się, że nie uderzyły go
niedorzecznością
swoją, bo takimi chyba być musiały, gdyż uwaga i myśli moje,
dalekie były od
nich. Zwróciła je zupełnie ku

sobie umiejętność, z jaką on mówił ze mną i do mnie, jak umiał
zręcznie wymazać
przeszłość między nami, postawić nas na jakimś stanowisku,
zupełnie niby
wyczekującym.
Kiedy po obiedzie znaleźliśmy się znowu sami, wydało mi się, że
struna jest już
tak naciągnięta, iż pęknąć musi. Sądziłam po sobie, sił mi już nie
starczyło,
zdawało mi się co chwila, że upadnę powalona, zgnieciona
rzeczywistością. I
rzecz dziwna, dodawał mi siły, odwagi — on sam, jego głos, słowa
jego. Zimno,
jakie z nich wiało, mroziło mnie wprawdzie, ale podtrzymywało
zarazem.
Unikane dotąd milczenie nastąpiło nareszcie. Wytrzymałam je chwilę,
dłużej nie
mogłam. Wstałam, i zrobiwszy parę kroków, przybliżyłam się do
kominka, wsparłam
rękę na wystającej płycie, i zwrócona ku Arturowi, czekałam. Coś
teraz nastąpić
musiało, ale co?

Chciałam to coś odgadnąć z jego twarzy, i oczy moje z półcienia, w jakim pozostawiało mnie pewne oddalenie od lampy, pożerały każdy rys jego twarzy.

Wydawała mi się ona być maską, z której nic wyczytać nie mogłam. Artur z cygarem w ręku, siedział przy stole, od którego odeszłam, i wydał mi się trochę zamyślony, a raczej zakłopotany.

Nagle, nie podnosząc na mnie oczu:

— Jakie są na przyszłość projekta pani? — zapytał.

Dotychczas rozmawialiśmy po francusku, teraz dopiero przemówił po polsku, i to

słowo »Pani«, po raz pierwszy przechodzące przez jego usta, zwiłało od razu

resztki złudzeń, nadziei, czy mrzonek moich.

— O, — odrzekłam z dziwnym spokojem i głosem tak zimno obojętnym, że ledwo w nim

własny głos poznałam — o sobie nie myślałam jeszcze, na to będzie jeszcze dość

czasu. Zresztą, — dodałam — myśl o przyszłości jest mi wstrętną; żyję chętnie z

dnia na dzień; nie przyspieszaj pan ich biegu, każąc mi o tej przyszłości

myśleć.

— Przecież, — ciągnął dalej, bez żadnego cieplejszego dźwięku w głosie,

widocznie z poczucia obowiązku jedynie — przecież powinnaś pani, dążyć do tego,

by ją sobie najswobodniejszą i najszcześniejszą zgotować.

Zaśmiałam się lekko i po chwili wahania, głosem powolnym, dobitnym, czując, że

ostatnim dowodem miłości, jaki mu dać będę mogła w życiu... było ułatwienie mu w

obecnej chwili przykrew sytuacji, biorąc, jeżeli już nie całą, to przynajmniej

część winy na siebie odpowiedziałam:

— Jakże dziwnie pan mówisz! Jakbyś nie wiedział, że jeżeli człowiek może sobie zgotować niedolę, szczęścia stworzyć sobie nie potrafi. Przychodzi ono i odchodzi bez woli naszej, bez naszej wiedzy i bez naszej winy, tak, jak miłość

— dodałam...

Serce mi zadrżało, bo zdawało mi się, że wyrok mojej śmierci, daję mu do

podpisania...

Po chwili rozmyśłu, powtórzył zwolna moje słowa »tak, jak miłość«

— prawda dodał

— prawda! I nagle ożywiony, odkładając trzymane dotąd w rękę cygaro, zbliżył się

do mnie i głosem, w którym zdawało mi się dostrzedz lekki odcień ironii:

— Nie potrzebowałaś mnie pani tak dobitnie o tem zapewniać. O tem, że miłość

mija wiedziałem, że u pani minęła, przekonałem się w pierwszym wejrzeniu,

rzuconem na panią. Ale — ciągnął dalej — a ja słuchałam skupiona, milcząca, nie

patrząc na niego, tylko pytając siebie, do czego dochodzi i dojść może przewrotność serca, które kochać przestało a zapomnieć nie może, że kiedyś

kochało.

— Ale — powtórzył — daleką jest odemnie myśl robienia pani jakichkolwiek

wymówek. Powiedziałaś sama, że miłość przechodzi bez naszej wiedzy i bez naszej

winy

i powiedziałaś prawdę. Nie mamy sobie nic do wyrzucenia dzisiaj.
Kochaliśmy się
prawdziwie, dopóki to słońce świeciło w naszych sercach , dzisiaj,
kiedy zgasło,
mówimy sobie to otwarcie i uczciwie. Komedya miłości nie byłaby
godna ani pani,
ani mnie, spotkaliśmy się, aby się pokochać... dzisiaj rozstajemy się
bez żalu
do siebie... nieprawdaż?
Przybliżył się jeszcze, stanął tuż przy mnie wyciągając rękę po moją
rękę.
Słuchałam go bez ruchu, bez tchu prawie... kiedy umilkł, łzy spływały
mi po
twarzy i wstrzymać ich nie mogłam, ani rąk spazmatycznie
ściskających kamienną
płytę oderwać.
Dostrzegł moje łzy i po raz pierwszy z jakimś odcieniem litości czy
żalu w
głosie:
— Pani płaczesz ? — powiedział. Czułam, że łzy spokojne, choć
przez ten spokój
nie mniej bolesne, zamieniają się lada chwila w głośne szlochanie.
Błagalne
wejrzenie zwracając na niego:
— Odejdź pan proszę — szepnęłam. .. I odszedł... na zawsze... na
zawsze...
Upadłam na kolana i przed gasnącym na kominie ogniem, niby zgasłą
w jego sercu
miłością zapłakałam tak gorzko, jak już nigdy, nigdy nad niczem
płakać bym nie
umiała.

Wylałam tego wieczora wszystkie łzy moje, te wszystkie, które na
prawdziwe miano
łez zasługują, piekące, jak ogień, a zanim do oczu przyjdą, targające
na krwawe

strzępy duszę i serce ludzkie!

Wylałam je, więcej nie miałam chwil szczęścia w życiu, a kiedy płynąć przestały, bo ich zabrakło na dnie tego morza rozpaczony mojej, ociążałe oczy obejrzały się dokoła.

Owionęło mnie, jakby mroźne tchnienie bezbrzeżnej obojętności jego dla mnie, i mimo stanu, w jakim się znajdowałam, zdałam sobie z niej należycie i dokładnie sprawę. Zdawało mi się, że gdybym ja go była kochać przestała, to przecież w uczuciach moich odnalazłoby się zawsze uczucie, przynajmniej wspomnieniem graniczące z miłością. A u niego nic, choćby coś drobnuchnego — ciepłego — czy litości. czy zrozumienia — czy współczucia — nic — nic! tylko obojętność, to jest lód — skała — kamień — coś gorszego od nienawiści, od antypatii, coś, co się nie przekształca, nie zmienia, z czego się nic nie budzi, nic nie odżyje!

Zobojętnienie, to nie letarg, to śmierć miłości w sercu, które niegdyś dla ubóstwionej tylko istoty żyło. Tę śmierć powoduje zwykle gwałtowność uczucia, przepaliwszy,

zniweczywszy zdolność kochania w sercu i sama też ginie bezpowrotnie.

On mnie już nie kochał! Tych słów kilka w swej nieubłaganej jasności przekształcało przeszłość, niweczyło przyszłość i młode, miłości pełne serce w zimny grób zakopywało! Gdyby Artur był wszedł w tej chwili, byłabym poprostu zawołała: Litości! litości!

Nie będę, bo nie potrafię opisać Ci tej nocy... była ona piekłem mojem na ziemi.

Wszystko, co odczuć może kobieta kochająca i opuszczona tem najbrutalniejszym, a

tak zupełnem opuszczeniem serca, odczułam.

W ciągu tej kilkogodzinnej samotności, ciszy i ciemności, przeżyłam po raz wtóry

życie ubiegłe, a raczej te w niem czasy, które były dla mnie życiem.

Przeżyłam cierpienia i rozkosze, które gorszą od cierpień samych, stawały się

torturą, a nad ranem, jakby upojona łzami i boleścią, usnęłam. W tym śnie,

nieprzerwanie plątała mi się skarga poety:

Temps jaloux; se peut-il que ces instans d'ivresse,

Ou l'amour a longs flots, nous verse le bonheur,

S'envolent loin de nous de la nieme vitesse,

Que les jours de malheur?

Eh! quoi! n'en pourrons nous fixer au moins la trace?

Quoi! passés pour jamais, quoi, tout entiers perdus!

Ce temps qui les donna, ce temps qui les efface,

Ne nous les rendra plus!

Zadzwoiłam późno tego rana. Brakowało mi potrzebnej energii do rozpoczęcia

dnia, brakowało odwagi do każdego słowa, czynu, do każdej niemal myśli.

Panna służąca otwierając okiennice, powiedziała mi, że gość mój wyjechał, przed

godziną, zostawiając list dla mnie.

Uczucie żalu, że go już nie zobaczę, bodaj czy w tej chwili nie było silniejszym

od uczucia wdzięczności, że mi tego widzenia oszczędził.

Z głową opartą o poduszki, patrzyłam na list jego, leżący przedemną!

List był od niego, jego pismem skreślony... więc to było wszystko, co mi po nim

zostało?

Długo, długo patrzyłam na to, tak dobrze znane mi pismo, zdziwiona
niemal, że
widok jego sprawiał mi jeszcze wspomnienie tej rozkoszy, którą mnie
dawniej
napełniał.

Dawniej! To jest wczoraj, przedwczoraj! Czyż to być mogło?
Zdawało mi się, że
mnie od chwili szczęścia już wieki dzielą!
Patrzyłam na to wyraźne, drobne pismo i migotały mi w oczach,
przedzierały się
do serca całe zdania, jakimi to pismo niegdyś odzywało się do mnie.
Czyż to być
może, by w tym liście, leżącym przedemną, już nie było śladu, nie
było iskierki
z płomieni gorącego uczucia, z jakim tamte pisane były? Czyż to
być może?
Przypomniałam sobie dawne spotkania... dawne uściski... wejrzenia,
te wejrzenia
tak wymowne, gorące, tak przepelniające oczy, że zdawało mi się, iż
one nigdy z
nich zniknąć nie mogą, a przecież...
Tu stanął przed oczyma mej duszy człowiek wczorajszego wieczora,
ten sam na
pozór, taki inny w rzeczywistości... to zimne spotkanie, ten uścisk ręki
podobniejszy do odepchnięcia niż do uścisku, i to wejrzenie takie
blade, takie
chłodne, tak patrzące bez widzenia!
Ach! wszystko być mogło, wszystko, kiedy po tem, co było, było to
co jest!
Nerwowym ruchem rozdarłam kopertę i wypadły zeń list, przepisuję
dosłownie dla
ciebie. Leży on przedemną, jak wówczas, jak wówczas pytam: Czyż
to być może?

»Zdaje mi się, że gdybyś pani była miała sposobność wyrazić swoje
życzenie,
byłoby ono zgodnem, z tem , które mi się wydaje, że odgadłem,
wyjeżdżając jutro
rano, bez widzenia się z panią. Wyjeżdżam dla pani, ale i dla siebie.
Spotkanie
dzisiaj nasze , musiałyby nam obojgu być przykrem, wolno mi go nam
oszczędzić,
ale wolno mi powiedzieć pani, że odkąd widziałem łzy w jej oczach,
czuję się
winnym, a odkąd się winnym uznaję, czuję się zarazem tak bardzo
nieszczęśliwym,
że potrzebuję wypowiadać się przed panią tak z moich win , jak i z
mego
nieszczęścia.
Błagam panią o przebaczenie. Jeżeli moja szczerość, czemkolwiek cię
urazi,
pragnę, byś pani zarzucając i mając prawo zarzucić mi wiele,
przynajmniej nie
mogła mi nigdy zarzucić kłamstwa lub fałszu.
Nie skłamałem pani nigdy, kochałem cię głęboko, prawdziwie i
szczerze, jak tylko
kochać umiałem i mogłem. Wierzyłem, że ta miłość była pierwszą, że
będzie
ostatnią w mojem życiu, nie przypuszczałem, by cokolwiek mogło
wydrzeć ją z mego
serca. Kochałem cię za to uczucie, które wzbudziłaś we mnie, za to,
które w
twojem sercu dla mnie zakwitło , kochałem cię broniącą się i
uciekającą
przedemną, kochałem oddającą się, nareszcie kochałem moją tylko i
zupełnie moją

Renie! Zawdzięczam ci najlepsze, najpromienniejsze dni mojego
życia, wiem, że

podobnych nie dożyję nigdy ale wiem także, że podobnymi już
żyłbym nie
potrafił..
Co się stało? — czytałam w liście dalej — mój Boże, czyż ja wiem !
Dnie,
tygodnie, miesiące, mijały, i dnia jednego, jak widzenie w oczach
własnych ,
miłość zgasła we mnie. Nie potępiaj mnie, na Boga, bo nie wiesz ,
przez co serce
człowieka przechodzi, zanim się pogodzi, oswoi i przywyknie do
swojej próżni.
Zużyłem wszystkie siły, by pochwycić jeszcze i uwięzić na wieki tego
złotego
ptaka, wzbijającego się do odlotu.
Ale miłość jest niewolnicę, nakładającą sama na siebie swoje jarzma i
pęta,
odtrąciła, je, odrzuciła, i... odeszła. Wtenczas rozpaczy bliski,
patrzyłem na
ciebie, taką piękną, młodą, tak ufną i kochającą, patrzyłem również na
siebie
szalonego i niegodziwego , i sto razy będąc przy tobie, chciałem upaść
do nóg
twoich, sercu twemu opowiedzieć, co się w moim działo.
Nie uczyniłem tego, bo człowiek jest słaby i podły, nie ma odwagi
przyznać się,
że już nie kocha, przeciwnie działa on inaczej, o tę potworność
posądza drugie
serce,

pragnie ją w nim wykryć, jego wiarołomstwem swoje pokryć. W
oczach twoich
szukałem próżni własnego serca, w słowach twych niewierności
moich myśli; nie
znalazłem ich... Pozostawałem przy tobie i w tem moja wina.
Jednakowoż przez

wspomnienie minionej miłości, odkąd jej w sercu nie czułem, nie mówiłem ci o niej, a ty byłaś nadto niewinną, nadto uczciwą, byś się poznać mogła na tej taktyce obznajomionych z życiem. Powiedziałem ci raz, że nie byłem ciebie godnym, rzeczywiście nie byłem nim nigdy. Czułem to dobrze, i w tym poczuciu najgłębszy ci hołd składałem. Kimże byłem ostatecznie, kiedy mnie twoje oczy przykuły do siebie? Przeżyłem na fałszywych uciechach i fałszywych uczuciach człowiekiem. Znając siebie, powinienem był wiedzieć, że niestałe moje serce do żadnego portu zawinąć nie potrafi. Ależ, czyż się o tem myśli i sądzi, gdy się kocha? W powyżej opisanem stadyum były moje uczucia, kiedy nas rozdzieliły tragiczne przejścia twego życia. Byłem szczęśliwy, że cię opuścić mogę, nieraniać tem opuszczeniem twojego serca. Musiałem wyjechać w tej chwili, czułem, że ta nasza rozłąka jest ci potrzebna,

a marzyłem, pragnąłem, wierzyłem jeszcze, że nieobecność, oddalenie, czas, wskrzeszą moją umierającą miłość. Tymczasem nieobecność, oddalenie, czas dokonały tylko dzieła destrukcyi, rozpoczętego w mem sercu! Łudziłem się nadzieją, że to przekształcenie uczuć i u ciebie się odbyło, a że się wierzy w to, czego się pragnie, uwierzyłem temu. Powróciwszy z mojej podróży, wyglądałem spokojnie chwili zejścia się z tobą,

wyobrażnia moja robiła z tej chwili spotkanie dwóch istot, które sobie
wspólnie
zawdzięczają wiele chwil szczęśliwych i wspólnie zgodzić się potrafią
z myślą,
że one minęły bezpowrotnie.
Kiedy ci nie taję najskrytszych uczuć mojego serca, nie zataję ci i
tego, że
jadąc tu, jeszcze mówiłem sobie: Kto wie, może na jej widok to zgasłe
światelko
zapali się na nowo!
Zobaczyłem cię, po długim niewidzeniu, stanąłem przed tobą... i
rzecz straszna,
okropna! W oczach twoich, tych samych oczach, które ją zapaliły
kiedyś, ujrzałem
tylko zgasłą pochodnię mojej miłości, zgasłą na zawsze.
Wbrew zdaniu, które powiedziałem ci wczoraj, a którego się wstydzę
teraz,
jakobym był pewien, że miłość minęła u ciebie, pewności tej nie
miałem zupełnie,
i to było po-

wodem, że nie powiedziałem ci nic z tego wszystkiego, co powiedzieć
ci
zamierzałem, co ci piszę teraz.
Zobojętniałemu sercu była ta spowiedź przeznaczoną; przed
kochającym jeszcze
mogłem tylko uklęknąć i już nie o miłości, ale o małżeństwie z tobą
mówić.
Dlaczego tego nie uczyniłem? Dlaczego ranie cię, przedstawiając ci
ranę własną?
Sam nie wiem. Potrzebuję wyspowiadać się przed tobą, zapytać cię,
co mi czynić
wypada, powiedzieć ci, że spełnię każde twoje życzenie, i że każde
będzie mi
łatwym, słodkim, na samo wspomnienie, czem mi byłaś w życiu, a
które kto wie —

może stać się początkiem przyszłego szczęścia. Przyszłość tę moją w
twoje ręce
składałam, wiesz, kim jestem, zrób zemnie, kogo chcesz.

.....

Ile godzin spędziłam z tym listem w ręku. Nie wiem. Poczta
wieczorna poniosła
pod jego adresem tych kilka słów tylko:
Byłeś mi wszystkim kiedyś, dzisiaj chcę byś był szczęśliwym i o
jedno mogę cię
tylko prosić: zapomnij, że ja zapomnieć nie mogę...
Nazajutrz z gorączkowym pospiechem zabrałam się do interesów.
Sprzedaże i spłaty
postępowały po sobie z piorunującą szybkością; a kiedy już wszystko
było
skończonym, a dom mój własny już przestał być moim, w ucieczce

równie spiesznej, jak przed dwoma laty podążyłam tutaj. Ówczesnie
zamieszkała
willa była już wynajętą, nie znalazłam jej już dla siebie i nie
znalazłam nic z
tego wszystkiego, z czym przed dwoma laty tutaj przybyłam.
O usposobieniu mojem nie mogę ci nic jasnego powiedzieć. Chaos we
mnie ogromny.
Serce moje robi mi wrażenie okrętu, miotanego burzą, o który
uderzają w szalonej
nawałnicy różnorodnych, do fal rozhukanych podobnych, uczucia i myśli.
Czy wichry ucichną, za nim się ta łódź skołatana rozbije? Czy utonie
w tej
burzy? Zdaje mi się, że wszystko przetrwa, przeboleje i samo siebie
jeszcze
przeżyje!
Zwykłym biegiem rzeczy mam dni boleśniejsze, w tych mi się zdaje,
że do mojego

łona zakradł się ów sęp mytu o potworze Tyfonie, który krzywym
swym dzióbem,
nieśmiertelne, bo zawsze odradzające się pożera uczucia i sercu
wytchnienia nie
daje...

To znów myślę spokojnie, patrzę jasno, snują mi się po przed oczyma
uczucia

szczęścia, winy, błędy i kłamstwa przeszłości, wtenczas... coś mi w
sercu

topnieje i wołam do siebie:

Nie diem — jak mówił cesarz Tytus — lecz vitam perdidit!

PIĘKNA HALKA.

Po skończonem nabożeństwie w pierwszy dzień świąt

Wielkanocnych, tłumy

zapełniające kościół, wylały się na rynek miasteczka Lityny i
spiesznie w różne

rozpierzchły się strony. Po ostrym poście, jakim lud nasz zwykł się
przygotowywać do tych świąt, każdemu pilno było zasiąść do
święconego. Wielkanoc

w tym roku wypadła późno, a wiosna przeciwnie, nadzwyczaj
wczesnie zawitała i

była niezwykle piękną. Śliczne, ciemnobłękitne niebo rozpięło swój
słoneczny

namiot po nad budzącą się przyrodą, która zewsząd młodą śmiała się
zielenią.

Pięknie, jasno, ciepło było na dworze; lud świątecznie ubrany, gwarno
powracał

do domów, a weselny, rozrzewniający, radośny śpiew Alleluja!
jakoby brzmiał w
powietrzu.

W kilka minut po wyjściu z kościoła, rynek miasteczka przed chwilą
jeszcze
zalany ludem, wypróżnił się niemal zupełnie; oddalające się tylko
bielały
płótnianki wiejskie, jaskrawe stroje mieszczanek migwały niby
różnobarwne kwiaty,
a ogromne słomiane ka-

pelusze, z którymi nasz wieśniak na bardzo krótko się rozstaje,
olbrzymie
przypominały słoneczniki.
Łąkami, które po obu stronach gościńca zielonym rozłożyły się
kobiercem, młoda
dziewczyna spiesznym krokiem dążyła ku lasom, które, hen, daleko
jeszcze ciemną
odbijały ścianą. — Była to córka gajowego, zwana we wsi i w
miasteczku pod
mianem »pięknej Halki«.

I piękną była rzeczywiście młoda wieśniaczka. Wyrośla, smukła jak
topola, świeża
jak poranek wiosenny, o niebieskich oczach, które kawałek lazuru
nieba uwięziły
chyba w sobie, o ustach czerwonych jak jagody, a włosach
ozłoconych słońcem,
przed którym Halka osłaniać ich nie zwykła. Jej siedmnastoletnia
główka pełną
była pustej wesołości, oczy i usta zawsze pełne śmiechu, a serce pełne
szczęścia.

Rodzice jej mieli się dobrze, niczego też nie żałowali jedynaczce,
która była
ich pociechą, radością i dumą. Ona jedna w rodzinie czytała dosyć
biegle i

pisala wielkimi literami, ktore w zachwyty wprowadzaly matke i ojca;
ona
zimowymi wieczorami, kiedy na dworze szalala snieznica, opowiadala
zdumionym
rodzicom o krajach, w ktorych sniegi nigdy nie taja, ktorych lody
uragaja

wiosnie i latu. Obdarzona niezwykla pamiecia i ciekawoscia,
pamietala dobrze
poslyszane w szkole opowiadania i czytania, proszac nieraz
nauczycielke o
blizsze objaśnienia. To, o czym nie wiedziala, lub nie slyszala,
uzupelniala jej
bujna wyobraznia, wyrosla w glowie tej prostej dziewczeczki, jak swiat
cieplarniany na dzikim stepie.
Nikt jej wyobrazni nie budzil i nie ksztalcil, ani ksiazki, ani zycie nie
rozwijaly u niej sklonnosci do marzycielstwa, a przeciez ona mysla
odlatywala
czesto po za lasy, w posrodku ktorych stala chata, odlatywala gdzieś
daleko, w
strone, w ktora jej duze spogladyly oczy, w jakis swiat nieznan i
piekny i
serce jej nieraz bylo jakims uczuciem, ktoremu w okolo niej nic nie
odpowiadalo.
Byla szczesliwa! szczesliwa spokojnem, pracowitem zyciem, ktorem
zyla!
szczesliwa temi krótkimi chwilami odbiegu myśli! Kochala kazde
drzewo lasu,
kazdy strumyk plynacy jasnà wstazeczka u stop drzew, kazdy
kwiatek, ptaka
kazdego, ktory jej swa piosnke nucil. Byla szczesliwa, bo zyla
nieświadoma
zycia, swem przedluzonem, bogoslawnionem dzieciinstwem, z ktorego
byloby zbrodnią
przebudzac te wielkie, wiejskie dzieci, ktorych jedynem szczesciem
moze, jest

właśnie to ich dzieciństwo.

Halka od kilku miesięcy, zaręczoną, a raczej przyrzeczoną była
Janowi Maludze,
młodemu strażnikowi, pełniącemu swą służbę przy posterunku w
Litynie. Maluga
zaledwo ujrzał dziewczynę, zakochał się w niej na zabój, miłością
gorącą,
namiętną, lecz czystą jak jego zamiary. Ujrzał ją po raz pierwszy,
wychodzącą z
kościółka. On stał u progu, a Halka przechodząc, podniosła na niego
swe śliczne,
ogromne oczy. Oczy te zajrzały mu od razu aż w głąb serca i odtąd
ścigały
bezustannie; wszędzie migotał przed nim blask tych dwóch gwiazdek.
Oczy rwały
się do nich i serce poszło za nimi, a poszło tak prędko, że oczy nie
napatrzyły
się jeszcze, a serce już kochało. Nie namyślając się długo, żeby nie
powiedzieć
— zupełnie, nie zważając że ona była prosta, wieśniaczką, a on synem
zamożnego
mieszczanina z większego miasteczka, pewnego wieczora udał się
Maluga do chaty
gajowego i powiedziawszy rodzicom, że kocha ich córkę, prosił, by
mu ją dali za
żonę. Szczęście i zdziwienie rodziców nie miało granic, ubóstwiali oni
córkę,
marzyli dla niej o świetnym losie, ale marzenia ich nie śmiały nigdy
sięgnąć tak
wysoko.
Matka prawie nieprzytomna z radości wybiegła po córkę, a ta,
posłyszawszy o co
chodzi, spłonęła cała i ze spuszczonej oczyma

żywo zwijając rąbek fartuszka w palcach, z uśmiechem, od którego rozjaśniła się twarz młodego strażnika, odpowiedziała, że i ona się zgadza. Z powodu różnych służbowych formalności, ślub miał się odbyć dopiero w jesieni. Maluga dnia tego wyglądał z upragnieniem, a tymczasem żył szczęśliwy nad wyraz spędzając każdą wolną od służby chwilę przy ukochanej dziewczynie, każdą, z daleka go od niej trzymając, zapełniając jej wspomnieniem. Wszystkie pieniądze strażnika zamieniały się w rozliczne podarunki dla Halki, byłby chciał świat zakupić cały, by go złożyć u stóp tej dziewczyny, która go oczarowała, całą duszą jego zawładnęła, zapełniła całe serce swym wdzięcznym obrazem. Czemże mu ona odpłacała za tyle miłości?... Tem, czym serce czy to wielkich, czy małych tego świata odpłacać się chce i może, bo ono jedno nie zna praw i różnicy na tym świecie, który z praw i różnic się składa; ono jedno, jak prawdziwe cygańskie dziecko, nie ulega żadnej sile, żadnej woli, ulega tylko swemu przeznaczeniu, ucieknie z drogi prawdziwego szczęścia, a w przepaść się dobrowolnie pograży. Więc i Halka za tyle miłości odpłacała tem, czym jej serduszko odpłacać było w stanie: przywiązaniem wywołanem pewną wdzięcznością; pewną dziecięco-kobiecą.

dumą, którą zazdrość całej wsi w niej obudziła. Lubiła serdecznie tego

łagodnego, dobrego, przystojnego człowieka ; w dni, w które miał
przyjść do
chaty, wyglądała go uśmiechnięta, bez niepokoju i niecierpliwości,
żegnała bez
żału; o przyszłym wspólnym życiu myślała i mówiła wesoło, bo czuła
się bardzo
kochaną, a jej własne przywiązanie było tylko odbiciem gorącej
miłości
narzeczonego.
Serce jej było podobnym do przejrzystej szyby lodu pierwszym
mrozem ściętej,
której powiew wiatru nawet nie musnął. Ale właściwa miłość, to
złudzenie, to
kłamstwo, a przecież to wszystko życia kobiety, nie stało się jeszcze
tętnem
życia dziewczynki ; ona jeszcze nie tęskni do niej, ani o niej nie marzy;
nie wie
nawet że serce, które nie zna miłości, to niby morze bez wody, słońce
bez
światła, ciało bez duszy. Brak wyrafinowanego wykształcenia nie
rozbudza
przedwcześnie serca w wiejskim dziewczęciu, a przez to samo
zostawia je
najskłonniejszym do odczucia w danym razie prawdziwej, głębokiej
miłości.
Halka miała pójść za Jana, przyrzekła go uważać za swego przyszłego
męża; gdyby
go nagle straciła, byłoby to dla niej pewnie wielką boleścią, ale nie
wiedząc co
to jest miłość, w ścisłym tego słowa pojęciu, nie pytała też siebie czy,
i jak
go kocha? Wszystkie

rówieśnice zazdrościły jej losu, mówiono jej nieraz: Jaka ty
szczęśliwa! Nieraz

sobie te słowa powtarzała, nie mogąc sobie zdać sprawy, czemu odkąd jej

szczęścia zazdroścza, ona go więcej nie czuje w sercu.

Nasza młoda wieśniaczka wyśpiewawszy się głosem i sercem całym w kościele,

dążyła spiesznie ku domowi. Idąc drogą, prowadzącą po pod dwór do lasu, spotkała

na niej właściciela Lityny, pana U., przechadzającego się w towarzystwie swej

żony i Stefana B., syna bogatego włościanina z Lityny Małej (tak się nazywała

wiejska, że tak powiemy, część miasteczka, przy samym dworze położona), który

ukończywszy świetnie szkołę i uniwersytet, otrzymał posadę adjunkta w odległym

prowincjonalnym miasteczku i jechał odwiedzić rodziców i pana U., z którym

łączyły go stosunki koleżeństwa i przyjaźni. Halka poznała w nim owego

»Stefanka«, o którym wspominał jej nieraz ojciec, a którego cała wieś, dumna że

z jej łona wyszedł taki »uczony człowiek, z którym nawet dziedzic »się brata«,

jeszcze za czasów praktyki sądowej, nie nazywała inaczej, tylko »panem

komisarzem«. Dziewczyna zbliżyła się do państwa i powitawszy zwykłym : Niech

będzie pochwalony Jezus Chrystus, ucałowała rękę pani

i pana, a wreszcie i do ręki »pana komisarza« się nachyliła.

— Co robisz, moja mała? — zawołał młody człowiek, usuwając żywo swą rękę —

powitanie twoje mi wystarcza.

— A... — dodał, wpatrując się ciekawie, pożądliwie niemal w oczy, które

zakłopotana Halka wzniosła ku niemu — cóż to za śliczna dziewczyna!

Pan U. uśmiechnął się i żartobliwie pogroził Stefanowi.

— Na wieki wieków! — odpowiedziała pani U. — To córka naszego gajowego — dodała

— ale nie zatrzymujemy jej dłużej. Tobie jeszcze daleko do domu, a i głodną być

musisz... Panu najlepiej wiadomo, jak ostro pości nasz lud przez ostatnie dni

Wielkiego Tygodnia?

Stefan spuścił głowę z nieukontentowaniem, bo wszelkie

przypomnienie, że on z

tego »ludu« pochodzi, było mu bardzo niemiłym. Chciał, by drudzy tak o tem

zapomnieli, jak on to sam z pamięci swojej wymazał, jak zatarł w sercu i umyśle

naukę wiary i zasady moralności, które nieoświecona lecz głęboko pobożna matka,

prostemi słowy w duszę chłopięcia wszczepiała.

— Jak ci na imię? — zapytał pan U., który słuchając słów żony, z oka nie

spuszczał Stefana.

— Halka, proszę wielmożnego pana — odrzekło dziewczę.

Bądź zdrowa, piękna Halko! — zawołał, a Stefan z galanterią niemal uchylił przed

nią kapelusza.

Zaśmiała się do niego wszystkimi perłami swych ust czerwonych, całym blaskiem

swych szafirowych oczu, a na ten uśmiech i on uśmiechem i powtórnem skinieniem

głowy odpowiedział. Kiedy zawidniała przed nią świeżo na święta pobielona

rodzicielska chata, dziewczyna zatrzymała się zdumiona, że już stoi u kresu swej

drogi, nigdy bowiem, nie wydała jej się tak krótką. U progu powitała ją matka, wiadomością, że Jan dał znać iż dopiero z końcem tygodnia będzie u nich, gdyż dla względów służbowych, nie może do Lityny powrócić. Z końcem tygodnia — powtórzyła bezmyślnie Halka i było to jedyne słowo, jakim dnia tego wspomniała całym sercem do niej tęskniącego narzeczonego. Po południu rodzice poszli na nieszpory i do miasta, Halka zaś została przy domu. Zamiast pójść do lasu, jak to zwykła była czynić w podobnym razie, usiadła w chacie, na skrzyni pod oknem i z twarzą wspartą na rękę, z oczyma utkwionemi w drożynę, która z lasu prowadziła do chaty, siedziała nieruchoma

i zadumana, o niczem właściwie nie myśląc. Zbierało jej się na sen, oczy kleiły się mimowolnie, nareszcie zamknęły zupełnie, a głowa osunęła się na rękę wspartą o krawędź okna. Dziwne jej się sny plotły. Była niby to z Jasiem, tylko on, zamiast być sobą, był »panem komisarzem«, widzianym z rana. Miał jego oczy czarne jak węgiel, jego twarz bladą, jego uśmiechnięte usta i miękkim głosem powtarzał przez pana U. wymówione słowa . »bądź zdrowa, piękna Halko !
— Hop! hop! czy tam nie ma nikogo?
Tem nawoływaniem przebudzona dziewczyna, zerwała się na równe nogi, popatrzyła w okienko i jakby nie dowierzała swym oczom, przetarła je raz i drugi, powtórnie przez okno spojrzała, cała krew zbiegła jej do twarzy, a serce biło w piersi jak

młotem. Przed chatą, na pańskim, wierzchowcu, stał »pan komisarz«, ten sam,

którego głosu tylko co we śnie słuchała.

— Czy tam nie ma nikogo ? — głośniej zawołał jeździec.

Halka otworzyła drzwi od chaty i stanęła w progu.

— A!... jesteś moja piękna Halko! myślałem, że dom pusty — zawołał młodzieniec.

— Rodzice poszli do miasta — odrzekła dziewczyna.

— A ty zostałeś sama?

— Sama.

— Cóż robiłaś?

— Spałam — odparła z uśmiechem.

— A dałabyś mi szklanek wody, moja śliczna dziewczeczko ?

— Zaraz.

Znikła na chwilę i niebawem powróciła z szklanką świeżej, jak łąca czystej wody.

Wychylił ją do dna, a oddając dziewczęciu: — Na twoje szczęście i zdrowie —

rzekł. — A za mąż cię rodzice nie wydają?

— Wydają w jesieni.

— A... i za kogóż ?

— Za strażnika Jana Malugę.

— A kochasz ty go?

Spojrzała na Stefana, a w oczach jej zabłysła jakby iskierka zdziwienia i namysłu.

— Ta pewno że kocham — odrzekła zwolna — albo ja sama wiem?

— A przystojny chłopiec?

— Ja nie wiem.

— Jakto nie wiesz? — Wszak wiedzieć musisz co ładne, a co brzydkie. Halko, czy

ty widziałaś kiedy swoje oczy?

Zaśmiała się widocznie ubawiona tem Pytaniem. — Widziałam.

— A gdzie?

— Ot, tam — rzekła, śmiejąc się ciągle i wyciągając rękę w kierunku lasu, — tam,

w stawie. Ile razy idę czerpać wodę, to je widzę.

— A jakie one są?

— Ta niebieskie — odrzekła, śmiejąc się całym wyrazem twarzy.

— Ładne czy brzydkie?

— Ludzie mówią, że niebrzydkie — odparła dziewczyna, rzucając na Stefana

bezwiednie zalotne spojrzenie.

— A twój strażnik co mówi?

— On mówi, co mu się takie podobają.

— Spodziewam się, bo i mnie się podobają. A gdzie ten staw, w którym oczy swoje widzisz?

Ot, tu, zaraz. — Obie ręce wyciągnęła w kierunku raz już wskazanym. Zaprowadź mnie tam. Dobrze?

— Dobrze.

Stefan skrzył konia, Halka szła naprzód, uchylając się popod gałęzie drzew i

torując mu drogę. W ten sposób doszli do części lasu, w której nie wielki

rozciągał się stawek, wąską okolony łączką. Dokoła gęste zapusty, przez które

nie przekradała się nawet białość chaty gajowego. Tylko woda czysta, uśpiona

niby, taka spokojna tylko las gęsty i cichy, tylko niebo błękitne ciemniejszym o

tej godzinie

zachodu szafirem, a w pośrodku tej ciszy, ich dwoje, pięknych i młodych.

Jakby ośmielony tą samotnością, młody człowiek zeskoczył z konia, rozglądając się dokoła:

— Ależ tu bardzo ładnie! — zawołał. Potem oczy jego spoczęły na dziewczęciu

stojącym o parę kroków od niego, takiej smukłej, takiej ślicznej, w swej białej

bogato wyszywanej koszuli, z swą piękną twarzyczką okoloną złotawymi włosami.

— Ale ty najładniejsza ze wszystkiego, moja Halko — dodał. Postąpił ku niej i

jedną ręką przytrzymując konia, który żarłocznie chwycił młodą trawkę, drugą

gładził włosy, dziewczęcia. Ona oczy spuściła i jak wiśnia spłoniona, stała

naciągając palce swych czerwonych ale kształtnych rączek. Oburzała ją poniekąd

ta poufałość »pana komisarza«, a zabrakło jej odwagi czy chęci, by się od niej

uwolnić. Młody człowiek zbliżał się coraz więcej, ręka jego zsunęła się z włosów

na twarz Halki, której serce biło tak silnie, że w otaczającej ich ciszy słyszał

głośne jego uderzenia. Uśmiechnął się, objął nagle w pól i przyciągając do

siebie, na jej świeżych, resztką uśmiechu na wpół rozwartych ustach, namiętny,

gorący, wycisnął pocałunek.

Wcale się dotąd nie broniąca dziewczyna, z pod tego pocałunku wyrwała się

gwałtownie, cofnęła się o kilka kroków i odwracając się od niego, zaczęła iść w

stronę chaty tą samą drogą, którą tutaj przyszli oboje. On postępował za nią

powtarzając jej miodowemi słowy, że ją kocha, że jutro wieczór znowu tu

przyjdzie i przyniesie jej piękne do czytania książki, które ją lepiej zabawią

niż książka do nabożeństwa i tyle już razy odczytywane szkolne czytanki.

— Czy przyjdiesz Halko?

Żadnej odpowiedzi. Dziewczyna słów jego prawie nie słyszała, tylko pieścił jej ucho ton ich miękki i pieszczotliwy jak nuta piosnki nieznanej, a lubej, a drogiej, jakby budzącej każdą strunę duszy. Ta piosnka dolatywała aż do serca, które drżało zbudzone i jak kwiat z pod śniegu wydobywało się z piersi dziewczęcia swym najpiękniejszym kwiatem — miłością.

— Czy przyjdiesz Halko? Moja piękna Halko, czy przyjdiesz jutro wieczór?...

Znowu żadnej odpowiedzi, tylko dziewczę zwalniało kroku, nachylając głowę, jakby pomiędzy drzewami była coś dojrzała. Naraz zatrzymała się, odwróciła do niego, i głosem trochę niepewnym, jakby drżącym:

— Niech pan komisarz już jedzie — rzekła — rodzice już są w domu. Tędy.... —

dodała, wskazując mu drogę w przeciwnym kierunku chaty. Zniecierpliwiony trochę milczeniem dziewczyny, a potem jej słowami, już miał

Stefan na ustach ironicznie uśmiechniętych odpowiedź, że z nieokrzesanymi ludźmi

nigdy się wdawać nie warto, gdy naraz namyślił się inaczej:

— Nie bój się moja mała — rzekł półgłosem — ja już jadę...

Błada jej twarz zarumieniła się nagle i gwałtownym, niespodziewanym ruchem,

ujmując w obie dłonie rękę młodzieńca, do ust ją przycisnęła. Ten uśmiechnął się

protekcjonalnie, dosiadł konia i znikł pomiędzy drzewami.

— Gdzie byłaś Halko? — zapytała matka powracającej dziewczyny.

— W lesie.

— Sama?

— Sama. — Zarumieniła się, wymawiając to słowo. Było to jej pierwsze kłamstwo względem matki; dotychczas żadne słowo nieprawdy ust jej nie skalało.

Matka krzątająca się koło wieczerzy, nie zauważyła niezwykłego usposobienia dziewczyny. Była to ponura i zamyślona, to śmiała

się i szczebiotała jak ptaszek, a kiedy w chacie już się wszyscy do snu ułożyli,

a Halka słyszała głęboki oddech uspionych rodziców, wstała z łóżka, podeszła

cichutko po pod okno i z czołem rozpalonem, wspartem o szybę, patrzyła w ciemną

noc, która się rozwidniała dla niej wspomnieniem spienionego rumaka,

dźwigającego wyniosłą postać »pana komisarza«. Całą noc patrzyła na tę twarz,

której obraz tkwił głęboko w jej myśli, całą noc płonęły jej usta gorączką

odebranego pocałunku, całą noc spędziła gdzieś daleko od chaty. Nie wiedzieć

gdzie ją senne odniosły marzenia, z których świtanie dnia rozbudziło ją dopiero.

Cichutko powróciła do łóżka i tam skulona, zziębnięta, znużona jakby daleką

podróżą, posmutniała nagle, nim sen o smutku zapomnieć pozwolił.

Nazajutrz rodzice wybrali się na sumę, Halka zaś miała pójść na nieszpory.

Wiedziona długim przyzwyczajeniem, usiadła na ławce, wzięła książkę do

nabożeństwa i zaczęła czytać z niej modlitwy. Ale niebawem myśli jej odbiegły od

słów litanii, usta przestały je wymawiać... książka osunęła się na kolana Halki,

a ona z wejrzeniem utkwionem w kąt izby, siedziała tak nieruchoma.
Któż opowie,
czarowne złudzenia, jakie w tym ciemnym

kącie chaty gajowego, snuły się przed oczyma wyobraźni młodego
dziewczęcia?...

Przypomniła sobie pełne pochlebstw słowa młodzieńca, tak miłe
łechcące wrodzoną
każdej kobiecie próżność ; jego pełne obietnic i czułości wejrzenie,
jego
pieszczoty oburzające ją z razu, lecz tak miłe potem zostawiające
wrażenie...

Myślała jakiego on jej piękne książki do czytania przyniesie, stokroć
piękniejsze i ciekawsze od Złotego Ołtarzyka, na którym od tylu lat
się modliła
i od książek szkolnych tylokrotnie odczytywanych. A już chyba
najpiękniejsze ze
wszystkiego, to, jak on tak rzewnie, tak słodko jak wczoraj mówić jej
będzie o
kochaniu, że tych słów i nasłuchać się nie można i zapomnieć o nich
ciężko.

O tem wszystkim marzyło prostoduszne dziewczę, nie wiedząc
nawet, że marzy. O
jednym tylko nie myślała, bo przewidzieć tego nie mogła nieboga, że
te piękne
słowa, te słodkie pieszczoty, te ciekawe książki, to tylko krople
trucizny
wsączanej w jej niewinny umysł i serce przez tego, naukowo
wykształconego,
ogładzonego, lecz moralnie zgangrenowanego człowieka, który,
pyszny zdobytą
wiedzą i stanowiskiem, gardził tem wszystkim co serce uszlachetnia,
dla którego
wiara, moralność, czczemi tylko były wyrazami. Nie myślała, że za te
najczystsze
skarby dziewiczego serca,

które mu w ofierze niosła, jedyną jej nagrodą będą łzy, hańba i rozpacz.

W tych mgłach marzenia zatopiona, siedziała Halka bez ruchu. Myśli jej jakby

narkotykiem przesiąknięte a przyciągane magnesem, skupiły się i krążyły tylko w

koło tej jednej postaci, która wszelkimi władzami jej duszy i ciała zawładnęła.

W ten sam sposób w jaki spędziła poranek, przeszło i południe. Nie chciała wyjść

do miasteczka, a że zwykle czyniła co chciała, została w domu i nie wzbudziło to

uwagi rodziców. Matka poszła na wieś odwiedzić krewnych, ojciec położył się i

usnął, a Halka usiadła na progu chaty i siedziała tak cicho, tak nieruchomie, iż

sądzić można było że śpi. Byłoto prawdziwie świąteczne popołudnie; przyroda

jakby przejęta uroczystością dnia tego, ułożyła się niby do solennego czuwania

nad tym pięknym, bożym światem, po którym z nieba na ziemię dzień spływał w

zupłej cichości, przerywanej tylko świegotem skowronków i jaskółek i szelestem

lotu poważnego bociana. Kura majestatycznie wyszła na podwórze, stanęła

rozglądając się ciekawie dokoła wznosząc przytem wysoko, to na prawo to na lewo,

swą opierzoną głowę i jakby ją ta cisza przestraszyła, wróciła spieszenie do swej

gwarniejszej zagrody.

I tak powoli — powoli, dzień się kończył, słońce się ku zachodowi skłaniało;
ostatnie jego promienia czerwonym blaskiem musnęły wierzchołki drzew i tak, jak
w życiu czasami, gdy to, co było światłem jego zgaśnie, wieczór się nagle zrobił
i świat posmutniał, las pociemniał, tylko dziewczę siedzące na progu chaty,
podniosło głowę, rozglądnęło się dokoła, zdawało się nasłuchiwać a uśmiech
rozpromieniający twarz Halki niewymowną radością, rozchylił nagle jej usta.
Jakiś wewnętrzny, miękki głos jej szeptał: — Moja piękna Halko, czy przyjdiesz
jutro wieczór?... Wspomnienia, jak iskierka, którą się długo a wolno rozdmuchuje, buchnęły nagle żywym płomieniem i te płomienia objęły dziewczynę,
podniosły z miejsca i siłą, której się nie opierała, poprowadziły lasem, drogą
ku stawowi. Szła powoli, ze spuszczoną głową, z której grube warkocze spływały
jakby złotymi strugami po białej koszuli, rzucając dokoła trwożliwe spojrzenia i
rozchylając gałęzie przed sobą. Naraz pomiędzy drzewami ujrzała postać Stefana,
przechadzającego się zwolna i na widok jego gwałtownym ruchem rzuciła się
wstecz. Serce jej, jak strwożone ptaszę poczęło tłuc się w piersi, tchu jej
brakło, myśl jedna tylko kołatała się po głowie: Uciekać! — uciekać!

Na szelest kroków odwrócił się młody człowiek, spostrzegł Halkę i w mgnieniu oka
był przy niej.
Przestraszona jej, postanowienie ucieczki utonęły w jego objęciach.
Pocałunki i

pieszczoty odurzyły dziewczynę; główkę wsparła na ramieniu
młodzieńca,
przymknęła oczy i upojona miłością, przebudziła się.... jego
kochanką!
Przebudziła się bez łez, bez wymówek, bez wyrzutów, — o jakże
często są one
tylko jedną fazą więcej, tej komedyi miłości, którą brak właśnie tego
uczucia
odgrywa po świecie! Ona nie знаła tych rozlicznych wybiegów
fałszywej miłości,
kochała całą duszą, całym sercem, istotą całą i siedząc teraz koło
Stefana,
prawie u jego stóp, przyciskała usta do ręki młodzieńca, patrząc nań
swemi
pięknymi oczyma, w których wyraźnie przebijało ślepe, bezgraniczne
przywiązanie.
Śledziła każdy rys jego twarzy, słuchała z wyteżoną uwagą słowa
każdego. On
przemawiał do niej miękko i pieszczotliwie, upojony swem łatwym
zwydęztwem,
słuchał z tkliwym niemal uśmiechem naiwnych zwierzeń dziewczęcia,
które mu ze
zwruszającą prostotą wyznawało, jak od pierwszego spotkania, innej
myśli, jak o
nim nie miała, jak oczy jego wlały w nią niby czary, niby urok jakiś!
Słowa

dziewczyny, od których twarz jej pałała, zdradzały gwałtowne
rozbudzenie jej
duszy, a jego słuchającego tego szczebiotania, ogarnął jakiś niepokój,
jakiś
pragnienie oddalenia się coprędzej.
Zwrócił jej uwagę na późną godzinę, która wieczór w noc zamieniała,
podniósł ją
z ziemi, uściskał, szepnął; »jutro wieczór« — i kazał iść do domu,
oddalając się

sam spiesznie. Dopóki widzieć go mogła, Halka jak wryta, stała na miejscu, z głową zwróconą w stronę, w którą odchodził. Gdy znikł jej zupełnie z oczu, a w lesie nawet szelest jego kroków zamilkł, splotła ręce jakby do modlitwy, a przyciskając je do serca, które jak potok nagłą roztoką wezbrany na wiosnę, gwałtownym napływem uczuć wezbrało: — Stefanie mój — szepnęła. »Pan komisarz« tymczasem, przyspieszał coraz bardziej kroku, bo mu pilno było wyjść z lasu, w którym każde stąpienie dziwne na pędzało mu myśli, przypominające niby wyrzuty sumienia, w którego istnienie tak dawno wierzyć przestał. Przychodząc na pierwszą schadzkę, wyglądał młodej wieśniaczki z upragnieniem, bo nie był pewien czy przyjdzie i ta niepewność wzmagala jego pragnienie. Ujrzawszy ją, mimowoli się uśmiechnął, myśląc, że kobieta jest wszędzie tą samą i powta-

rzając znany aksyomat, że cnota jej rzadko jest czem innym, jak kwestyą czasu. — Teraz, po tej krótkiej chwili, która mu Halkę za kochankę dała, po przeminięciu pierwszego uczucia rozkoszy, doznanego przy tej ślicznej dziewczynie, miał niejako wrażenie, jak gdyby świeży, tylko co rozkwitły kwiatek, zbłoconym butem podeptał i pytał siebie, jakim to prawem uczynił? Jakim prawem zabrał jej uczciwość, zamaścił jej spokój, zakłócił szczęście całego życia może? — Cóż za głupstwo! — mówił cynizm XIX wieku. — Czy ty, czy inny, czyż to nie

wszystko jedno? Ta dziewczyna wyrosła jak kwiatek, lub piękny owoc koło drogi i przeznaczona była na to, by ją nie dziś, to jutro, pierwszy lepszy przechodzień zerwał!...

Stefan miał lat . Życie dotychczas swobodnie i bez troski mu płynęło; ojciec jego, Łukasz Przydworski, zamożny ale zupełnie niewykształcony włościanin z Lityny Małej, zdecydowawszy się raz oddać syna do szkół i na »urzędnika« go kierować, nie szczędził kosztów na dostatnie utrzymanie jedynaka w mieście. A choć chłopak przyjeżdżający na wakacje, z każdym rokiem bardziej uciekał z chaty, w której mu duszno i nudno było, pod rozmaitemi pozorami wykrywał się od pomagania ojcu w czasie najgorętszej podczas

źniwa pracy, a nawet i matkę lekceważyć począł, wyśmiewając i »babskimi przesądami« nazywając jej prostoduszne ale z prawdziwej pobożności płynące praktyki religijne, zaślepieni w synu rodzice, dumni z tego, że ich Stefanek po imieniu mówi paniczowi, z którym w jednej był klasie, że często do dworu bywał zapraszany, a wreszcie, marnując krwawo przez rodziców zapracowany grosz na stroje i błyskotki, sam jak »pan« wygląda, bez szemrania znosili od dziecka pochodzące upokorzenia, nieświadomi tego, że dając mu wykształcenie bez odpowiedniego wychowania, tworzą zeń najstraszniejszego kalekę, bo kalekę

moralnego. Gdy po ukończeniu studyów prawniczych i paroletniej sądowej praktyce, Stefan dzięki protekcji p. U. swego dawnego kolegi a obecnie właściciela Lityny, został adjunktem w R., nieposiadali się z radości i z dumą opowiadali swym kumom i sąsiadom, że ich syn »komisarz« do nich na Wielkanoc przyjedzie. Jakież było rozczarowanie biedaków, gdy »p. komisarza zajechał wprost do dworu i dopiero nazajutrz raczył na chwilę odwiedzić rodziców, a na robione przez tychże o to wymówki, z protekcyjnym uśmiechem odpowiedział, że oni jako ludzie nieoświeceni tego naturalnie nie rozumieją, ale jemu, jako urzędnikowi, ży-

jącemu z panami, nie wypada mieścić się w chacie i spotykać z chłopami, z którymi nawet rozmawiać nie umie, bo przywykł do innych rozmów i do innych ludzi. Na to powiedzenie rozplakała się poczciwa matka, ojciec z niezadowoleniem i zakłopotaniem tarł łysinę, ale starzy jak zazwyczaj przyjęli w milczeniu zdanie »uczonego« syna i uwierzyli, że tak być musi i powinno, choć się to w ich prostej głowie pomieścić nie mogło, by dziecko miało się wstydzić rodziców, by mu za ciasno było w tej chacie, w której na świat przyszedł. Stefan pokręcił się przez chwilę po chacie i wyperswadował ojcu, że mu jeszcze koniecznie potrzeba zł. na kupienie munduru ; stary gospodarz wyjął z westchnieniem pięćdziesiątkę ze skrzyni, gdzie w wzorzystą chustkę owinięta, na samym dnie

spoczywała, a syn skinieniem głowy pożegnał rodziców i ku dworowi podążył.

— Cóż za szaleństwo — zawołał prawie głośno — ona? kochać?...

Podniósł głowę; każda gwiazdka, któremi zasiane było niebo, zdawała się oczyma

dziewczyny patrzeć na niego, a w oczach tych czytał to wzniosłe, to rozkoszne,

to tak często szalone słowo: »kocham«.

Postanowił że nazajutrz... nie wiedział właściwie co ma postanowić — ale sama

myśl

jakiegokolwiek postanowienia uspokoiła go, i nim doszedł do dworu myśli jego

odbiegły w inną, daleką od Halki stronę.

Ona tymczasem wróciła do chaty, wśliznęła się do izby, w której matka na kominie

ogień rozpaliała; ta ujrzawszy córkę, zapomniała, że jej szuka od chwili i

poczęła jej opowiadać, że ekonom z Lityny przysłał po ojca, i że ten sam

poślaniec mówił, iż Jaś powrócił.

Ściany, okna, komin, matka przy nim stojąca, wszystko zaczęło się kręcić w

oczach dziewczyny, zrobiło jej się gorąco, potem zimno, i nie mogąc się utrzymać

na nogach, usiadła na ławie, a usta jej drżącym głosem, jakby zziębniętymi

wargami, szepnęły:

— Jaś wrócił...

— Pewnie z ojcem przyjdzie — dodała matka, dokładając drzewa do ognia.

— Pewnie z ojcem przyjdzie — bezmyślnie powtórzyła Halka.

— Pilnuj tu ognia — odezwała się matka — ja pójdę po mleko i wyjrzę, czy idą.

Dziewczyna zbliżyła się do komina, chwyciła obu rękami za żelazną sztabę, która klapę podtrzymywała, oparła głowę o ręce, i stała tak bez ruchu, nie zważając, że ogień twarz jej przypieka. Ona nie czuła pieczenia ognia, jej było zimno, strasznie zimno, nic nie

czuła, tylko wicher jakiś zerwał się w jej głowie, i jak rozpalone żelazo wierceły w jej mózgu słowa: — Jaś wrócił -- Jaś idzie! Na każdy ruch w domu wzdrygała się, wtenczas j serce jej biło silniej, i spływała po niej jakby struga kipiącej wody.

Po chwili powróciła matka, mówiąc:

— Ojciec wraca, ale sam.

— Sam? — zapytała Halka głosem tak dziwnym, że aż matka spojrzała na nią, ale

gajowy wszedł w tej chwili do chaty i od wrócił jej uwagę od córki.

— A cóż tam ? — zapytała żona.

— Cóżby? — odrzekł gajowy — rzucając kapelusz i siadając ciężko na ławie. —

Nieszczęście, i kwita! — Nie czekając na dalsze pytania, począł im opowiadać co

się stało. Jeden ze strażników złapał przemytnika, który chcąc się usprawiedliwić, wyznał, że za wiedzą Jana Malugi, od dłuższego już czasu

swobodnie mógł z zagranicy przekradać naftę, byle dla niego za każdym razem

przekradł trochę cukierków i paczkę tytoniu. Przemytnik zeznał także, że

strażnik dawał cukierki Halce a tytoń jej ojcu i ekonomowi z Lityny.

Przywołali

go więc po to do kancelaryi, by przemytnik wobec niego i Malugi, który się

niczego nie wypierał, zeznał, iż rzeczywiście strażnik dawał cukierki jego córce, a tytoń jemu.

— I cóż będzie? — załamując ręce, zapytała matka.

— Co będzie? — powtórzył gajowy — zawiozą go dzisiaj do Z., parę tygodni

posiedzie w kozie, a potem go przeniosą na inny posterunek. — Ale, słuchaj Halka

— dodał stary gajowy, zwracając się do córki — nie desperuj. Kazał ci Jan

powiedzieć, że chyba by go usiekli, to tu za parę dni choćby na godzinę

przyjdzie, a jak to złe minie, to poda o pozwolenie, i ożeni się z tobą. Żal mi

chłopca, bo to przez miłość do naszej dziewczyny w taką popadł biedę ! Jam nigdy

nie wiedział z kąd on te cukierki i ten tytoń bierze ; dawał, ta dawał, nie

pytałem o nic ! Biedne chłopczysko! Łzy jak groch toczyły się mu po twarzy, gdy

mu powiedzieli, że musi jechać zaraz. Prosił się, że strach, by mu choć na

godzinę pozwolili pójść ze mną — nie dali! Ale nie desperuj Halka, on taki

napewno powróci!

Halka nie desperowała wcale, a przynajmniej nie okazywała swej rozpacz w

sposób, w jaki lud nasz zwykł ją okazywać. Dziewczyna nie szlochała, nie

zawodziła; stała ciągle w tej samej pozycji, wsparta głową o żelazną sztabę, bo

czuła, że jej ciało mdleje. Płomienie całą siłą buchającego teraz ognia padały

na jej twarz i oświecały jej trupią

bladość; usta dziewczęcie drżały jak w febrze, a głowa osuwała się coraz niżej.

Spostrzegłszy to matka, podbiegła ku niej, ujęła ją w objęcia, posadziła na ławce przy sobie, a ściskając i całując, zaczęła nad nią zawodzić.

Halka tuliła się do kochającej, matczynej piersi i po chwili rozplakała się rzewnie i cicho.

Długo tak płakała pierwszemi łzami, które zkażdeś głębiej niż z oczu padały. Któż

opowie, ile w nich było żalu, rozpaczy i wstydu lecz zarazem ile miłości i

szczęścia. W pierwszej chwili sama myśl powrotu Jana, o którym tak była

zapomniała, jak gdyby nigdy nie istniał dla niej, napełniła ją przestraczem bez

granic. Przez tę chwilę, przez którą na niego oczekiwała, budziła się w jej

sercu jakby dzika nienawiść ku temu, który swym powrotem stanął pomiędzy nią a

ubóstwianym Stefanem; w obec tych obaw, drugie jej uczucie było pełne radości i

szczęścia niewysłowionego, a teraz, gdy się dowiedziała, że miłość dla niej

spowodowała obecną narzeczonego niedolę, roztkliwiła się nad nim i serdecznemi

łzami boleść swą na zewnątrz wylewała. Z natury prawą była i uczciwą, w obecnej

chwili czuła, że nią być przestała, czuła, że skrzywdziła i zdradziła wiernie ją

kochającego Jana i zdawało jej się, że tonąc we łzach, tonie w jakiejś bezdennej

rozpaczy. Jak

nieraz wśród deszczu ulewnego, błyska niespodzianie słońce na
niebie, tak i
wśród łez Halki błysnęła nagle przed jej oczyma słoneczna postać
ukochanego,
która łzy te osuszyła i westchnienie ulgi wydobyło się z piersi
dziewczyny.
Kochała gorąco, namiętnie, pierwszym zbudzeniem uczucia, całą siłą,
wiarą,
świętością serca swych lat siedmnastu — czuła się wolną do jutra.... a
jutro....
Jutro przyszło i w objęciach kochanka o całym zapomniała świecie,
tak, jak on o
swoich zapomniał postanowieniach. Halka żyła jedynie tą chwilą
spędzoną przy
nim, reszta czasu była szeregiem godzin, podczas których spełniała
swoje zajęcie
mechanicznie jak automat, jak gdyby tylko ciało jej czuwało, a dusza
spoczywała
w głębokim uśpieniu. Rodzice sądząc, że to zgryzota z powodu Jana
tak na nią
działa, żal jej koili jak mogli, budząc ją co ranka nadzieją, że
narzeczony w
ciągu dnia się ukaże, obiecując co wieczór, że niechybnie jutro się
zjawi. Halka
ani słowa nie odpowiadała, tylko słuchając tych pociech, brwi jej
marszczyły się
silnie, a oczy nabierały jakiejś stalowej barwy i stalowego blasku.
Czasami
wychodziła drogą od lasu, mówiąc że idzie na spotkanie Jana i
układała sobie, że
jeżeli go spotka, to mu powie, żeby sobie doszedł i już nigdy nie
wracał, że ona
go

widzieć nie pragnie, mówić z nim nie chce, słuchać nie może, że go
nie kochała,

nie kocha, kochać nie będzie nigdy... nigdy... bo...
Bo... tutaj myśli trudniej układały się w słowa, twarz dziewczyny
okraszał
rumieniec i już nic do powiedzenia nie znajdowała, tylko usta jej
szeptały
głosem pieszczotliwej słodyczy : »Stefan! Stefan!« jakby to słowo,
przed którym
się jej serce uginało, do którego płakały i śmiały się jej oczy, miało
jakieś
nadludzkie, nadziemskie znaczenie.
Dni dziesięć minęło. Późnym wieczorem młody strażnik spiesznym
krokiem zdązał ku
lasowi. Udało mu się za specjalną protekcją uzyskać pozwolenie
wydalenia się z
Z. na trzy dni, i jak ptak wypuszczony z klatki, jak wygnanec
powracający po
latach do ojczyzny za którą duszą całą tęsknił, tak lekko, swobodnie
zdązał
Maluga ku chacie gajowego.
Serce mu rosło, w uszach tętniało na myśl, że za chwilę przycisnie do
piersi
ukochane dziewczę; migąła mu przed oczyma blaskiem ogromnym
niby luna bijąca
wśród nocy najmiłsza postać. Śmiał się, odpowiadając już na uśmiech,
jakim go
powita, oczy mu się wyrywały do jej bławatnych oczek, nigdy jej tak
nie kochał,
nigdy tak jak teraz!... Co ona tam porabia? może tęskni za nim i
przeczuwa, że
zanim cały księżyc wyrzy

na świat Boży, on już przy niej będzie! Westchnął głęboko,
oddychając z rozkoszą
balsamiczną wonią wiosennego wieczora; szczęściem każda żyłka
jego ciała
płynęła!

Chcąc sobie skrócić drogę, porzucił gościniec i przecinając przez łąki i lasy, wszedł na pagórek, z którego zszedłszy ścieżką koło stawu, kilka staj zaledwo dzieliło go od chaty gajowego. Tuż przed sobą widział staw, którego wody srebrzyły się od światła księżyca. Przyspieszył jeszcze kroku, nagle stanął... i jakby piorunem rażony, zachwiał się, cofnął o krok i oparł o najbliższe drzewo. Na łące nad stawem, stała Halka, a przy niej Stefan... Poznał ich od razu, oczy jego szeroko rozwarte, widziały jak w biały dzień każdy ich ruch, niemal każdy rys twarzy. Zdawało mu się, że jakiś głos piskliwy, syczący, szepcze mu do ucha krótką, a dla niego tak strasznie bolesną historię tych dwojga. Krew uderzyła mu do głowy, zakipiała w nim całą wściekłością boleści i zgrozy... rzucił się naprzód z strasznym przekleństwem na ustach z rękoma w górę wzniesionymi, chciał ich oboje zabić, zdruzgotać, podeptać nogami... Ale głos zamarł na otwartych ustach, w głowie mu się zakręciło, ręce opadły obejmując drzewo i całą siłą cisnął je do siebie, gryzł twardą korę, myśląc, że on tego niegodziwca, który

stał przy Halce, trzyma w swoich objęciach, że kurczowo zaciskające się zęby wpija w jego ciało. Szamotał się tak biedaczysko, mocując się z tem nieruchomem drzewem, które swą odporną siłą urągało jego słabości, lecz on nic nie czuł, nic nie wiedział, oszalały bólem i wściekłością.

Oni tymczasem, nie wiedząc, że o kilka kroków od nich serce
człowiecze pęka,
mówili do siebie półgłosem, a raczej on mówił tylko. Ona słuchała ze
spuszczoną
głową z założonemi rękoma, z zaciśniętymi wargami, jakoby na nich
krzyk
powstrzymać chciała.

On mówił tylko... mówił, że wyjeżdża jeszcze dzisiejszej nocy, że
długo, a może
nigdy nie wróci w te strony, że jej życzy szczęścia, że piękną Halkę
często

wspominać będzie, i prosi ją, by na jego pamiątkę kupiła coś do
wyprawy. To

mówiąc, wcisnął jej w rękę zwinięty papier, ale ta ręka rozwarła się,
papier

upadł na ziemię, a Halka patrząc nań, cofnęła się jakby ze wstrętem.

Nic nie

rozumiała, nic nie słyszała, tylko że Stefan wyjeżdża, że nie powróci,
że go

więcej nie zobaczy. Te słowa szumiały jej w głowie, jak szumią
zbliżające się

wody wylewu.

Młody człowiek mówił coraz pieszczotliwiej, pragnąc z ust jej choćby
jedno słowo

usłyszeć, ale te usta się nie rozwarły, oczy

się nie podniosły, stała jak posąg kamienny. Objął ją w pól, całował
namiętnie w

usta i oczy ona pozostała zimna, nieruchoma w jego uścisku, a usta
Stefana

napotkały zimne, jakby umarłe usteczka dziewczęcia. Tymczasem
czas mijał, on już

odjeżdżać musiał, więc rozgniewany i zniecierpliwiony
postępowaniem Halki,

mruknął coś o głupiej romansowości wiejskich gąsek, i nie
odwróciwszy się nawet,

skoczył na konia uwiązanego opodal i oddalił się wyciągniętym kłusem.
Dziewczyna całą postacią zwróciła się za nim, a kiedy tentent kopyt konia już nie dochodził jej Uszu, złożone ręce podniosła do góry i krzyk straszny, okropny, rozdzierający wydarł się z jej piersi, a echo lasu niby łkaniem nań odpowiedziało. Krzyk ten na wskroś, jak mieczem, przeszył serce strażnika obudził go zarazem z szału. Ramiona jego się rozwarły, spojrział przed siebie, zobaczył Halkę samą, przypomniał sobie wszystko, i jednym skokiem był przy niej.
— Halko! — Nie ruszyła się, miała ciągle ręce wzniesione do góry, a oczy, pełne rozpaczliwego wyrazu, zwrócone w stronę, w której znikł jej młody kochanek.
— Halko! — powtórzył strażnik — Halko! Jak gdyby w tej chwili dopiero wołanie jego usłyszała, dziewczyna odwróciła się żywo,

spojrzała na Jana, i rzuciła się w tył. Ruch ten, pełen odrazy, stopił od razu w sercu Malugi uczucie litości, z jakim biegł do niej; z ust jego popłynęły niby bystrym potokiem gorzkie słowa straszego przekleństwa. Przybliżył się do niej i odepchnął ją od siebie; nie chciał jej już ani znać, ani widzieć, jej, zhańbionej miłością tego potwora, któremu ściśnioną odgrzązał się dłonią.
— Precz bezwstydna... niegodziwa... niesumienna, która przyrzekałaś być moją żoną, a tymczasem uściski swoje sprzedawałaś innemu!...

I znowu się do niej zbliżał, znowu ją odtrącał, chodząc koło niej jak dziki zwierz okrążający swoją ofiarę. Ona nie broniła się, nie uniewinniała się ani jednym słowem, oczy jej zdawały się go wcale niewidzieć, a od pewnego czasu, utkwione w papier białą plamą odbijający się na trawie, nie odchodziły od niego. Strażnik idąc za jej okiem ujrzał go także, podniósł z ziemi, rozwinął i dzikim zaśmiał się śmiechem ; był to ów pięćdziesięcioreński banknot. Patrzył to na banknot, to na dziewczynę, i po chwili podając jej pieniądze:
— Masz — rzekł — ta, która miała być moją żoną, tyle warta dla niego..., i tego za dużo.... tyś warta tylko śmierci! W tym sta-

wie cię jak psa utopić wraz z twym przeklętym zarobkiem!... — Rzucił jej pieniądze w twarz, a te po raz drugi osunęły się na ziemię.
— Utopcie mnie. — Zbliżyła się do niego i złożyła ręce. — Utopcie mnie — powtórzyła.
Te słowa, wymówione bezdźwięcznym głosem, rozbroiły od razu Malugę. Spojrzał na nią i zapomniał o wszystkim, oprócz tego że ją kochał i że ona — ona, za którą byłby bez wahania życie oddał, chciała, by on ją życia pozbawił.
— Moja Halko droga, mój skarbie jedyny! jaby cię miał utopić! ja ciebie? Mój klejnocie najdroższy, spójrz tylko na mnie, a zapomnę ci wszystko, boś ty mi miłsza nad życie!...
— Utopcie mnie — głucho powtórzyła Halka.
Jan wziął w swe szerokie dłonie, zimne, drżące rączęta, wyciągnięte ku niemu i

kładąc na nich swe rozpalone czoło, najczulszemi słowy chciał ku
sobie skierować
uwagę dziewczęcia, które wciąż miało twarz zwróconą w stronę, w
którą Stefan
odjechał. Ale ta twarz nie zwróciła się do niego, oczy nań ani razu nie
spojrzały, tylko ręce gwałtownym ruchem wysunęły się z dłoni Jana,
wyciągnęły

raz jeszcze w stronę, w którą patrzyły oczy i po raz drugi ten sam
krzyk okropny

przyszedł jej na usta i jękiem przeszył powietrze.

— Przeklęty! — krzyknął strażnik, widząc, że nawet myśli
dziewczyny nie zdołał

zwrócić ku sobie i jak szalony poleciał w las, w pogoni... za
utraconem

szczęściem może?...

Halkę noc późna zastała jeszcze w lesie, dopiero nawoływania
zaniepokojonej

matki sprowadziły ją do chaty. Na jej pytania odpowiedziała krótko,
wymijająco,

a matka widząc ją tak bladą i znużoną, w przekonaniu, że to tęsknota i
niepokój

za Janem tak ją gryzą, zaniechała dalszych pytań. Tylko ojcu, na
widok tak

ciężko zasmuconej jedynaczki, łzy zakręciły się w oczach ; podszedł
ku niej i

biorąc w swe grube, spracowane dłonie, twarzyczkę dziewczęcia:

— No, zaśmiej się, — rzekł — zaśmiej choć raz jeden do starego ojca,
to pójdę

jutro skoro świt i jak mi Bóg miły, taki ci go tutaj sprowadzę...

Halka swe przymknięte podniosła oczy, i uśmiechnęła się do ojca, tak
bolesnym

uśmiechem, że stokroć smutniej zrobiło się po nim staremu. Chodził
jak struty i

położył się z silnem postanowieniem pójścia nazajutrz szukać
sposobów uwolnienia

Jana.

Światła pogasły w oknach, zrobiło się ciemno, cicho.., chata usnęła.
Cichutko wysliznęła się Halka z izby i przeszła przez sień do kuchni.

Tutaj

zamknąwszy drzwi za sobą, odetchnęła głęboko. Księżyc oświecał
kuchnię; miski i

garnki zielono polewane lśniły się na półce, a na kominie, w kilku
garstkach

popiołu błyskała od czasu do czasu iskierka czerwona i gasła jak
świętojański

robaczek.

Dziewczyna stała tak chwilę nieruchoma, nadśluchując, czy się kto w
domu nie

zbudził. Cicho było dokoła, tylko bicie własnego słyszała serca i tuż
koło okna

odzywający się śpiew słowika. Przybliżyła się słuchając tej piosnki,
która

wydała się jej dawno znaną, oczy jej łzami zaszły a gdy ptaszyna
frunęła i

śpiewkę swą dalej poniosła, Halka pewnym krokiem poszła do stołu,
otworzyła

szufladę i wyjąwszy z niej całe pudełko siarkowych zapalek, poczęła
odłamywać

główki, mówiąc sama do siebie urywane słowa, które objęły się o
ściany

kuchenki:

— Ja sobie także pójde... daleko... pod ziemię... On pojedzie... nie
wróci...

Po chwili, głos jej jakby trochę ochrypli, łagodniał, miękł, by raz
jeszcze

wymówić: Stefan!

Skończyła wreszcie swą czynność, odłamane od zapalek główki
wrzuciła do
garnuszka napelnionego wodą, trzymając go w ręku wróciła do okna i
patrzyła weń
długo. Całe krótkie szczęście swoje ujrzała raz jeszcze, jakby
namalowane na
maleńkich szybach chaty, oczy i usta dziewczęcia smutno się do tego
widzenia
uśmiechnęły i trzymany w ręku garnuszek od razu do dna wychyliła.
Usiadła na ziemi i uśmiechnięta jeszcze czekała śmierci, czekała
rychło główka
jej się osunie, oczy zamkną, rychło przestanie wiedzieć, że on ją
porzucił, że
go już nigdy, nigdy nie zobaczy... W tem oczekiwaniu śmierci, która
się z
przyjściem ociągała, pobladła, usta jej zsiniały i poczęły nią wstrząsać
przykre
dreszcze, które się niebawem w straszne zamieniły boleści, rzucając
nią po całej
kuchence, wykrzywiając twarz, napelniając usta ustawiczną skargą,
rozdzierającym
jękiem.
Kiedy nad ranem, księżyc zgasł na niebie, w kuchence zrobiło się
cicho,
strasznie cicho...
Pierwsze różowe światło jutrzeńki wśliznęło się przez okienko kuchni
i oświeciło
postać zmarłej dziewczyny. Leżała na ziemi, trochę na bok zwrócona,
z twarzą
okoloną swemi złotawemi włosami, z rączkami złożonemi jakby do
modlitwy, z
wyrazem tego

kamienego spokoju na twarzy, jakiego istota żyjąca nigdy przybrać
nie jest w
stanie.

Tak ją z rana zastali rodzice. W pierwszych chwilach zdawało się, że oszaleją z bóleści; widzieli co się stało, a pojąć tego nie mogli, ani uwierzyć nie chcieli że Halka rzeczywiście nie żyje. Położyli ją na łóżku i klęcząc koło niej, rozcierali jej ręce, dmuchali w usta, w oczy, myśląc że swoim ciepłem tchnieniem przywołają ją do życia. Ale ani oczy, ani usta ukochanej jedynaczki nierozwarły się, ręce jej kostniały coraz bardziej i wschodzące słońce tylko im pewność śmierci jedyne go dziecięcia oświeciło. Wtenczas żal matki wylał się łzami i rozdzierającym łkaniem. Łamała ręce nad łóżkiem, na którym niby uśpiona, taka cicha, taka piękna, taka biała, prawie uśmiechnięta, leżała jej pociecha.

— Moje dziecko! moja córko ! moja Halko ! — wołała matka — czemużeś nas odeszła? gdzie poszłaś moja jaskółko kochana, mój kwiatku najmilszy, najśliczniejszy? cóż ja tu pocznę bez ciebie? —

Łzy te padały na umarłą, spływały po jej marmurowej twarzy a z oczu matki wyływały nowe, coraz obfitsze, coraz gorętsze. Straszna wiadomość lotem błyskawicy rozeszła się po wsi; w parę godzin po śmierci Halki, chata gajowego pełną była ludzi. Jedni

półgłosem opowiadali sobie niestworzone rzeczy o tej śmierci, o jej powodach, bo dobrowolne otrucie dziewczyny było wiadomem każdemu, odkąd lekarz z Lityny urzędownie je stwierdził. Drudzy, mniej bujnej wyobraźni mówili, że się ona

otrula z zalu za Janem. bo ten ja porzucil i zeni sie z inna, a kazdy
konczyl
swoje opowiadanie westchnieniem i wejrzeniem na umarla, ktora
zdawala sie
sluchac tych opowieści i usmiechac sie do nich.
Matka tymczasem z pomocą licznych wieśniaczek w najpiękniejsze
szaty przybrała
dziewczyne, splotła jej długie włosy, zlozyła ręce na piersi i kiedy już
nic
koło niej do roboty nie miała, rzuciła się na nią, poczęła ścisnąć i
całować,
wołać że jej nie da śmierci, że ona nie umarła, że się obudzi, ożyje.
Stary
gajowy siedział w kącie, oparty o ścianę, z oczyma wlepionymi w
córkę, bez łez,
bez skargi; boleść go tak przygniotła, że one płynąć nie mogły.
Wtem słowa na ustach, a łzy w oczach matki się zatrzymały, rozmowy
w izbie
ucichły i oczy wszystkich zwróciły się ku drzwiom, w których stanęła
wyniosła
postać strażnika. Wyraz jego twarzy był taki straszny, że obecni w
niej
wyczytali dopiero całą grozę tej cichej śmierci, z którą filozofia ludu
już się
była oswoiła.

— Halko! — jęknął i krokiem niepewnym przeszedłszy przez izbę,
kląkł przy ciele,
ukrył twarz w dłonie i pozostał tak długo, niebacznym na wszystko, co
się w koło
niego działo. Serce biednego człowieka się rozdzierało, dusza szalała,
a usta
szeptały tylko : — Halko! Halko! moja Halko!
Kiedy ją poprzedniego dnia opuścił, biegnąc za tym »przeklętym«,
którego ona

wołała, leciał jak szalony i w tej pogoni, gnany żądzą zemsty, zabiegł aż do

chaty Przydworskiego.

— Gdzie wasz syn? gdzie ten wisielec? — zawołał ochrypłym głosem, a twarz jego

była tak strasznie zmieniona, że na ten widok stary gospodarz porwał się z ławy

i zamiast odpowiedzi, drżącym zapytał głosem:

— Dla Boga! co się stało ? co chcecie od Stefana?

— Odpowiadaj stary! Gdzie ten łotr, któregoś na pana wychował, a serce mu z piersi wydarłeś?...

— Stefan już nie nasz... jak przyjechał, to wciąż siedzi we dworze, od tygodnia

go nie widziałem; zabrał ostatni grosz, który na pogrzeb dla siebie i dla mojej

baby schowałem, to i po cóż miałyby do chaty zaglądać — przez łyżę wyjęknął

Przydworski — ale na

rany Chrystusa! co wara się stało Janie ?... co chcecie od mego chłopca?

Zamiast odpowiedzi, wyleciał z chaty Maluga:

— Popamiętajcie wy mnie tutaj — szepnął przez zaciśnięte zęby, ale słów tych nie słyszał gospodarz.

Niewidzialną jakąś gnany siłą, popędził Jan znowu w las, ku stawowi. Halki już

tam nie było, tylko na trawie leżał znany mu banknot, podniósł go, zmiął w rękę,

szepcząc: Zemszczę się, zemszczę! — schował go do kieszeni, a potem podszedł w

poblizę chaty i długo koło niej krążył, a gdy światło w niej zgasło, odszedł z

postanowieniem, że wróci nazajutrz, rozmówi się z Halką, przebaczy, zapomni,

byle jego być chciała. Z rana doszła go wiadomość o jej otruciu i śmierci. Były to wieści tak straszne, że im zrazu wiary dać nie chciał, tłumacząc sobie, że ludzie przesadzają ; pomimo tego, pobiegł do lasu z taką trwogą, z takim żalem, że jak ujrzał tę białą chatę, uwierzył, iż już tylko grobem jego szczęścia była. Teraz, klęcząc koło zwłok tej jedynie gorąco kochanej, mówił jej po raz ostatni, jak ona jego serce zapełniła, czem jej śmierć była dla niego. Godziny mijały, a on się nie ruszał, dopiero kiedy z dnia robił się wieczór, podniósł

z wolna głowę. Izba była pusta, przez okna zmrok wieczora zaglądał. Nad głową umarłej stał krucyfiks, a dwie zapalone świece rzucały swe żółtawe światło na spokojną twarz dziewczeczki. Patrzył na nią długo... Gdzie jej oczy niebieskie? gdzie jej śmiejące usta? czy ich już nigdy nie zobaczy? czy już nigdy nie zaśmieją się do niego te usteczka takie jeszcze świeże?... Nachylił się i złożył na nich ostatni pocałunek... Wtem doleciało go ciche łkanie... obejrzał się; w kącie izby siedział gajowy i płakał: — Jasiu, — szepnął — ona się struła, cóż my jej zrobili, że pójść od nas chciała?... Strażnik przybliżył się do starego, chciał mówić, zatrzymał się, spojrzął raz jeszcze na zmarłą i jakby w tym widoku zaczerpnął postanowienie: — Chodźcie! — rzekł — coś wam powiem... my ją pomścimy...

Najsmutniejszą chwilą w pośród żałoby jest niezaprzeczenie ta, w której zwłoki drogiej nam zmarłej istoty znikają nam z oczu. Z tą chwilą rozpoczyna się dopiero prawdziwe rozstanie, a śmierć okazuje nam się w całej swej grozie. Dopóki mamy przy sobie, tę cichą, na wieki uszpioną postać, połowę tej grozy poznaliśmy zaledwie.

I w chacie gajowego rozdzierającą była chwila, gdy nazajutrz z południa, w trumienkę wysłaną kwiatami przez Jana, włożono Halkę. Młody strażnik sam jeden, bez niczyjej pomocy, tę drogą, ociążałą postać w jej ostatnim ułożył schronieniu, okrył ją masą białych leśnych kwiatów, tak, że z pod tej śnieżystej, woniejącej osłony, wyglądała tylko jej główka opromieniona jasnym włosiem i twarzyczka bielutka, przejrzysta, harmonizująca z boleścią jaką śmierć jej otaczano. Biedna matka odchodziła prawie od siebie ze zgryzoty i żalu. Ostatnim ciosem, równie niemal dotkliwym jak śmierć córki, była kategoryczna odmowa księdza, wzięcia udziału w pogrzebie. Otrucie Halki tak głośnym wrazeniem napełniło wieś całą, że choć mu to bardzo było przykrem, bo lubił i cenił tę poczciwą rodzinę, sędziwy proboszcz dla samego przykładu musiał odmówić święconej wody i chrześcijańskiego pogrzebu zwłokom samobójczyni. Matka nie mogła się pogodzić z myślą, by ksiądz na drogę nie pobłogosławił dziewczynie, by ją na wieki z domu

wychodzącą nie przeżegnał krzyżem, by dla niej na cmentarzu
ukradkiem tylko grób
wykopano!
— Mój gołąbku biały — wołała rozżalona, rwąc swe pobielone włosy.
— Cóżes ty
zrobiła na ziemi — co ludziom za krzywdę

wyrzuciłaś, że cię i Jegomość odtrącają? przecież ty tam poszłaś,
zkaąd
przyszłaś przed laty do matki... tam do Boga mój aniele śliczny!...
moje dziecko
kochane, rodzone!...
Wszyscy obecni zapłakali głośno, rzewnie, płaczem, który się w krzyk
niemal
zamienił, gdy wieko przyłożono do trumny. W głębokim milczeniu
ostatni gwóźdź
zabito, nieszczęśliwym rodzicom już łez zabrakło. Stary gajowy,
Maluga i dwóch
parobczaków ponieśli trumnę; na czele licznego orszaku wieśniaków
szła matka
pochylona pod brzemieniem swej na chwilę uciszonej rozpacz. Całe
to żałobne
grono szło cicho, bez śpiewów przez las na cmentarz. Dzień był
śliczny, pełen
słońca i woni. Prawdziwa wiosna towarzyszyła tej drugiej ludzkiej
wiośnie,
zamkniętej w ciasnym, drewnianym domku.
Na cmentarzu złożono trumnę nad wykopanym dołem, którego
wnętrze oświeślały i
wygrzewały promienie słoneczne. Obecni uklękli modląc się
półgłosem i
powtarzając bezustannie: Wieczny odpoczynek racz jej dać Panie! Jan
tymczasem
zsunął się do grobu i przyjął w swoje objęcia spuszczaną wolno
trumnę. Kiedy już
znikła z przed oczu matki, biedna kobieta jęknęła tylko boleśnie:

— Mój kwiateczku najmilszy, ty wchodzisz do ziemi wtedy gdy
wszystkie kwiatki

z niej wychodzą! — i osunęła się w ramiona otaczających ją kobiet,
głośno
szlochając.

Garść po garści rzucona na trumnę ziemia, zasłoniła ją w części. Jan
dokonał
reszty. Własną ręką spełnił czynność grabarza, własną ręką wkopał
krzyż, znacząc
nim to maleńkie miejsce, w którym spoczęła na wieki ta biedna, ofiara
życia...

* * *

Księżyc tej nocy zeszedł zamglony. Po niebie szybkim lotem biegały
chmurne
bałwany, przysłaniając co chwila nocną po chodnię, która smutno
przyświecała
ziemi, a koło północy zgasła zupełnie. O kilkanaście kroków od chaty
gajowego,
oparty o drzewo, stał Maluga czekający widocznie na kogoś, bo
nateżał wzrok,
nadśłuchiwał bacznie czy nie usłyszy innego szelestu, prócz szumu,
jakim
zrywający się wiatr odzywał się po lesie. Oczekiwanie jego nie długo
trwało.
Zaledwo kur swem pianiem północ zwiastował, gdy szybkim krokiem
zbliżył się
gajowy. Ujrawszy go Maluga postąpił ku niemu. — Chodźmy! —
rzekł gajowy
półgłosem.
— Macie zapalki? — równie cicho zapytał strażnik.
— Są! — odrzekł gajowy.

Szli spiesznie przez las i łąki, nie mówiąc do siebie ani słowa i w tem
głuchem
milczeniu zbliżyli się do drewnianych sztachet oddzielających ogród
dworski od
zabudowań Przydworskiego. Maluga przeskoczył parkan
odgradzający od drogi
zagumienka starego gospodarza, gajowy szedł za nim. Idąc z
największą
ostrożnością po zazielenionej już miedzy, doszli do zabudowań w
czworobok się
rozkładających. W chacie spali wszyscy spokojnie. Pomiedzy chatą a
stodołą
złożona była słoma na podściółkę. Gajowy o tym zapasie wiedzieć
musiał, bo
zbliżył się do niej i zwracając się do swego towarzysza:
— Tutaj — rzekł, a wyjmując z zanadru paczkę zapalek, potarł ich
kilka. Gdy
błysnęły żółto-niebieskim płomykiem, Maluga przyłożył do nich
wyjęty z kieszeni
zwitek papieru i ze strasznym na ustach uśmiechem: Jego własne
pieniądze
domostwo mu podpała! — powiedział. Byłato owa pięćdziesiątka
wyłudzona od ojca
przez Stefana, którą tenże wręczył Halce koło stawu, a którą strażnik
podjął już
z myślą zemsty, sam jeszcze nie wiedząc, w jaki sposób jej dokona. Z
wściekłością wsunął Maluga ten płonący zwitek pomiędzy słomę, a
gajowy wtykał
dalej zapalone zapalki. Słoma poczęła tleć — trze-

szceć — syczeć — nareszcie żywym buchnęła płomieniem.
Podpalacze z równą przezornością jak przyszli poczęli się oddalać, a
przeskoczywszy sztachety, schronili się do ogrodu dworskiego i tam,
ukryci za
drzewami, przypatrywali się swemu dziełu.

Ogniste języki wzlatywały w górę i opadały napowrót, pożerając słomę, która tylko paliła się dotąd; po chwili płomień ognistym uściskiem objął strzechę stodoły, z błyskawiczną szybkością dostał się na dach chaty, a pędzony gwałtownym wiatrem, roznosząc palące się snopki, rzucił jednym z nich na werandę zdobiącą tylną część dworu. Z elektryczną niemal szybkością pobiegł płomień do góry, rozlał się jak ognista woda po dachu, błyskając tutaj, gasnąc opodal, wytryskując dalej i w niespełna godzinę po podpaleniu cały dach, po którym silny wiatr gnał ogniem jak wodą, stał w płomieniach; obejście Przydworskiego przedstawiało olbrzymią gorejącą pochodnię, a sąsiednie chaty też zajmowały się zaczynały. Przebudzony niezwykłym trzaskiem i światłem Przydworski, wybiegł z chaty, lecz zaleclwo miał czas wyprowadzić z niej wylekłą żonę i rozespaną czeladź, dach chaty runął za nimi z łoskotem, rozrzucając do koła

iskry i kłęby gryzącego dymu. I ludzie z sąsiednich chat się pozrywali, a widząc własne obejścia zagrożone, z lamentem i krzykiem zabrali się do ratunku. We dworze ciągle jeszcze głęboka panowała cisza. Państwo U. dnia poprzedniego wyjechali do Lwowa, a nieliczna pozostała służba spała snem kamiennym. Robiło się jasno, coraz to jaśniej dokoła. Płomienie strzelały w górę rzucając

snopy iskier, które deszczem spadając, coraz dalej szerzyły
zniszczenie i oprócz
syku i trasku ognia, szumu wiatru i krzyków ratujących, nic słychać
nie było.

Nareszcie na dziedzińcu pies zaczął silnie ujadać, potem wyć tak
przeraźliwie,
żałośnie, że zbudził swem wyciem służbę, bo okno się rozwarło, ktoś
zaczął na

psa gwizdać i równocześnie prawie dał się słyszeć krzyk przerażenia:
Jezus!

Marya! ratujcie, ogień!...

Gajowy i Maluga już dawno opuścili swój punkt obserwacyjny i
wracając tą samą

drogą, którą przybyli, nie zamieniwszy ani słowa jednego, doszli do
chaty w

lesie. Tutaj, na samym progu dopiero obejrzelili się w stronę wsi.

Ogromna luna

czerwoną chmurą okrasiała niebo, jeno kłęby dymu ciemniały po niej
czasami a

iskry wzbijały się wysoko i tam wysoko gasły. Gajowy patrzył długo
przed siebie,

potem machnął ręką i wchodząc do domu:

czasie odebrał odpowiedź od swego pryncypała, w której mu tenże
donosił, że

prosto ze Lwowa wyjeżdża z żoną do wód; wydawał szczegółowe
polecenia, dotyczące

się restauracyi spalonego dworu i mającej się udzielić zapomogi
dotkniętym

pożarem chłopom, przeznaczał znaczną gratyfikację dla gajowego,
ale zarazem

nakazywał surowo, by zaniechano wszelkich poszukiwań względem
pożaru:

»Najczęściej — pisał — na niewinnego spada podejrzenie podpalenia.
Tej zbrodni

nie chcę na swoje brać sumienie, niech Bóg przebaczy temu, z którego
winy tak
znaczną poniosłem szkodę!«
— Filantrop — mruknął rządca — lata i doświadczenie poprawią go z
tej wady.
Tymczasem, wcale inne uczucie powodowało postępowaniem pana U.
Przypomniawszy sobie, że Stefan opowiadał mu o schadzkiach swoich z Halką, a po
zrobionej mu
uwadze, by uczciwej nie bałamucił dziewczyny, już więcej o tem nie
wspomniawszy.
Teraz przejrzał pan U. jasno w tej sprawie, a wiedząc że
rzeczywistego winowajcy
kara dosięgnąć nie może, nie chciał swem dochodzeniem ściągnąć jej
na uczciwych
zresztą, a tylko rozpaczą do zbrodniczej zemsty popchniętych ludzi.

Gajowy z żoną poszli gdzieś w świat za służbą; wyznaczoną mu przez
dziedzica
gratyfikację prosił Iwan rządca, by u siebie przechował, obiecując
zgłosić się
po nią niebawem. Kilka lat minęło, a nie zgłosił się po nią jeszcze i
słych o
nim zaginął. Chata w lesie stoi dotychczas pustką, z poczerniałą, z
każdym
rokiem więcej strzechą, coraz bardziej swem sieroctwem pochylając
się ku ziemi.
Następca Iwana, zabobonny jak wszyscy wieśniacy, za nic nie chciał
w niej
zamieszkać. Rządca w obec tego oporu, tej siły przesądu, widząc się
bezsilnym,
zamierza ją rozebrać, tymczasem stoi jeszcze cicha, zamknięta,
milcząca o
szczęściu, które w sobie niegdyś mieściła, a które, jak burza zrywa
liście,

zerwało życie i nie wskrzesi już nigdy. Żadna wieśniaczka nie przeszłaby tamtędy wieczorem, gdyż utrzymują, że umarła dziewczyna krąży nocami wkoło swej dawnej siedziby, że szuka w niej rodziców, o których, tak jak oni, nie wie gdzie się podzieli, a chociaż żadna młodyca nie pójdzie tam o zachodzie słońca, rozpowiadają wszystkie o światłach, które każdej nocy w oknie kuchenki błyszczą i o Halce, która w tem oknie stoi, smukła, w białe

przybrana kwiaty. W Małej Litynie, dziewczęta spiewają tęskną dumkę o Halce.

Złożyło ją bezwiednie jakieś muzykalne ucho, zanuciły usta i przejdzie niezmieniona do przyszłych, dalekich pokoleń, wspominając tą rzewną śpiewką, biedną »piękną Halkę«.

SIOSTRA TERESA.

W przededniu śgo Karola Boromeusza, panował niezwykły ruch w Macierzystym domu

SS. Miłosierdzia, których ten święty jest patronem, w dniu tym bowiem Siostra

Teresa miała składać wieczyste śluby i w kilka godzin potem opuścić dom

Macierzysty na długo na zawsze może i odpłynąć do Ameryki, gdzie,
do niedawno
założonej filii domagano się przysłania siostry wykształconej i pełnej
poświęcenia. Wybór przełożonej padł od razu na Siostrę Teresę, w
całym bowiem
Zgromadzeniu nie widziała osoby, któraby godniej potrzebom
rozwijającej się
filii odpowiedzieć zdołała.
Siedząc przy stole, z piórem w ręku, Matka Jozafata, piastująca od lat
kilkunastu obowiązki przełożonej, kreśliła równym i wyraźnym
pismem, rozmaite
zlecenia, które nazajutrz Siostra Teresa zabrać miała z sobą do
zakonnicy w Nowym
Świecie. Poleciała im gorąco przybywającą do nich młodą siostrę... i
nagle pióro
zatrzymało się w jej ręku, a myśl odbiegła do chwili, kiedy trzy lata
temu, po

raz pierwszy stanęła przed nią to-letnia aspirantka do życia
zakonnego.
Spojrzawszy na nią, zdawało się Przełożonej, że patrzy na obraz
wiosny, tyle
było w niej młodości, świeżości i uroku. Na pierwszy rzut oka zrobiła
na niej
wrażenie dziecka; przypatrując się jej bliżej, spostrzegła, że to
dziecko
miało dziwnie smętny wyraz w dużych czarnych oczach i niezwykle
poważny rys w
około drobnych i świeżych ust, których każde słowo zdradzało wiele
serca, hartu
i siły woli.
Matka Jozafata była osobą doświadczoną; przeszedłszy sama przez
życie, zanim
wstąpiła do zakonu, którym kierowała dzisiaj, wiedziała dobrze, jak
różnemi

drogami Bóg prowadzi serca ludzkie do służby swojej; przyjęła zatem do grona swych córek duchownych młodą hr. Izę Szczucin, która z chwilą przestąpienia progów klasztornych jako nowicyuszka, zapomnieć miała, kim była i stać się tylko pokorną Siostrą Teresą. — Czy zapomniała i kiedy? Tego nigdy dokładnie nie wiedziała Matka przełożona, ale co wiedziała na pewno, o czym na każdym kroku przekonać się mogła, to że Siostra Teresa była wzorem posłuszeństwa, uległości, zaparcia się siebie. Była jedną z najmłodszych sióstr w Zgromadzeniu, ale niezaprzeczenie jedną z najpoważniejszych, najsmutniejszych i naj-

bardziej milczących. Powołanie, jeżeli je w ogóle miała, w początkach nie okazywało się w niczem na zewnątrz; ani swobodą, ani zadowoleniem, ani wyższym zachwytem. Była raczej zamknięta w sobie, skupiona, jakby w ciągłej i ciężkiej walce wewnętrznej. Zapytana raz przez Przełożoną, co ją skłoniło w tak młodym wieku wstąpić do klasztoru, zarumieniła się gwałtownie i odpowiedziała krótko: — Cierpiałam wiele. Matka Przełożona domyślając się jakiejś bolesnej tajemnicy w jej życiu, nie dowierzając, by wytrwała w postanowieniu, nie badała jej więcej. Tymczasem miesiące mijały; Siostrę Teresę, która przez ten cały przeciąg czasu nie zasłużyła ani na jedno słowo nagany, lecz przeciwnie na ogólny szacunek i ogólną

miłość, kilka godzin zaledwo dzieliło od wyrzeczenia słowa,
wiążącego ją na
zawsze przysięgą nierozrwalną do służby Bożej.
Zegar, wiszący na białej ścianie celi Przełożonej, wybił czwartą
godzinę.
Powoli, jakby uroczyście, obito się echo o puste ściany i umilkło. M.
Jozafata
przebudzona tym głosem, nawołującym ją do rzeczywistości, wzięta
się napowrót do
niedokończonego listu.

Tymczasem ta, o której Przełożona myślała, którą dom cały był
zajęty, której
przybycia wyglądało kilka sióstr w Nowym Świecie, siedziała
zadumana w otwartym
oknie swej celki. Z szerokich rękawów czarnego habitu wyglądały,
podłużne,
arystokratyczne rączki i złożone na kolanach, machinalnym ruchem
przebierały
ziarnka długiego różańca, zawieszzonego u paska. Z pod białego
kornetu
zasłaniającego czoło gładkiem, białym płótnem, duże czarne oczy
patrzyły przed
siebie, zda się dalej niż na starannie uprawiony warzywny ogród,
rozciągający
się pod jej oknem, dalej po za mury, którymi był otoczony i dalej
jeszcze niż
tam, gdzie wzrok jej mógł dojrzeć schylające się ku ziemi niebios
sklepienie.
Pomimo późnej jesieni dzień był piękny, pogodny, niemal letni
jeszcze. Jakby dla
rozmaitości tylko, niektóre drzewa pożółkły i grały wśród
zachodzącego już
słońca rozmaitością, barw. Gdzie niegdzie przedwcześnie zwiędłe i
przedwcześnie

upadłe, leżały umarłe liście po jasnych trawnikach i wśród tego
spóźnionego lata
świadczyły wymownie o znikomości rzeczy tej ziemi.
Wejrzenie S. Teresy, powracające jakby z dalekiej podróży, wolno
przeszło dokoła
tego ogrodu. Znała ona dobrze każdą jego drogę, drożynę i ścieżkę i
zdawało jej
się, że od-

najduje tutaj ślady porozsiewanych po nich przez lat trzy, myśli,
uczuć,
cierpień, słowem cząstek życia swojego!
Życia... Lekkie westchnienie wydobyło się z piersi młodej siostry.
Zakończy je jutro, to długie życie cierpienia i walki, a rozpocznie
inne, nowe,
jaśniejsze !
Wierzyła święcie, że z chwilą, w której usta jej ostatnie śluby na
stopniach
ołtarza wymówią, stanie się inną osobą, że ta, która jest dzisiaj
jeszcze, umrze
na wieki.
— Jakże mi wiele czasu potrzeba do śmierci — półgłosem rzekła —
jakże wiele... i
zamyśliła się głęboko, słuchając głosu wspomnień, który jej po raz
ostatni może
opowiadał własne jej życie...
Do lat szesnastu płynęło ono biegiem niczem nie zamaconego
strumyka. Te lata
dziecięce porównać chyba można było do wybuchu wesołego
śmiechu, do promyka
słońca, do piosnki ptaka. Były one jej wieczną wiosną, lat szesnaście
trwającym
majem jej życia, pełnym nadziei, marzeń, pełnym szczęścia. — Ale i
maj mija i
wiosna przechodzi i zda się prędzej od jednego dnia późniejszej
jesieni.

Miała lat szesnaście, kiedy straciła matkę która umierając, poleciła ją starszej siostrze.

Pani Olga bawiła się, stroiła, kokietowała, zachwycała jednych, rozmarzała drugich, pozwalała sobie mówić o wzbudzonym zachwycie, o marzeniach, o miłości nawet; pozwalała się pożądać, pragnąć, pieścić do pewnego punktu nadzieją posiadania swej osoby i święcie była przekonaną, że jest najuczciwszą kobietą, bo nie miała kochanka en titre. Świat nieraz poczytuje to za zasługę kobiecie, chociaż nigdy nie zrozumiemy, dlaczego w takim razie nie przepisuje równej zasługi każdemu, który nie fałszuje podpisu? Przecież różnica faktów jest mała, lub nawet żadna. Ale mniejsza o to. Pani Olga w każdym razie zasługi żadnej nie miała, bo nietylko że nie kochała nigdy, ale nie pojmowała nawet miłości, ani sercem, ani choćby tylko zmysłami. Dla niej wystarczającą zupełnie miłością były gorące słowa, niepokój, jaki zapalała w sercach, wejrzenia, które ją ścigały, namiętne ręki jej uściśnienie. — Miłość — mówiła, wygłaszając tem samem zdanie niejednej światowej kobiety — kończy się dla mnie z pierwszym pocałunkiem. Urodzenie syna nie zmieniło w niczem usposobienia ani trybu życia Olgi. Nie umiała być ani kochanką, ani żoną, ani matką, będąc doskonałym typem tej odrębnej kategorii

kobiet, jaką stanowi kobieta czysto i tylko światowa. Należy ona do świata całego, jest jego ozdobą, jego urokiem; zachwyca, czaruje, olśniewa jak gwiazda, promienie zaś jej gasną przy domowym ognisku. Między kobietą światową a kochanką, żoną i matką jest taka sama różnica, jaka istnieje pomiędzy farsą a sztuką poważną, apoteuzującą nieraz występki, ale głęboko pomyślaną. Do każdej z tych wyżej wymienionych ról, serca potrzeba. Kobieta nawskróś światowa ma go zazwyczaj mało, w każdym razie nie więcej nad tę odrobinę, która jest jej potrzebną do odgrywania tej istnej komedii, jaką z czasem staje się jej życie. Pod opieką tego rodzaju osoby żyć miała nadal Iza Szczucin. Była młodą i kochała bardzo siostrę, więc jej nie sądziła, wyobrażała sobie jednak, że tak żałoba, jak szczęście i pożycie małżeńskie inaczej muszą wyglądać, aniżeli wyglądały w domu pp. Rutowskich. Olga, o ile można, rozweselała sobie czas żałoby po matce, skróciła go nawet, nie zważając bynajmniej na niemą wymówkę, jaką powinna była być dla niej czarna suknia siostry. W ogóle ta siostra była jej dosyć obojętną; lubiła ją może trochę więcej od licznych swych światowych przyjaciółek, ale niezaprzeczenie mniej miała do niej przywiązania, niż

do swoich klejnotów, te bowiem błyskotki zajmowały ją i interesowały

nadewszystko.

Miłość do siostry, jeżeli doznawane przez Olgę uczucie, w ogóle na to miano

zasługiwało, wzmogła się nieco z czasem, to jest z chwilą, w której się spostrzegła, że ta poważna dziewczynka stawała się jej użyteczną, potrzebną,

niezbędną niemal. Zastępowała ją w zarządzie domowym, zajmowała się jej

dzieckiem, dotrzymywała towarzystwa szwagrowi często osamotnionemu przez liczne

wyjazdy żony. Odkąd Iza u nich bawiła, przestał narzekać p.

Rutowski na częstą

nieobecność Olgi, gdyż Iza mu stwarzała swoją obecnością domowe ognisko, którego

poniekąd nie miał dotychczas.

Już półtora roku minęło od czasu, jak Iza mieszkała w domu siostry, kiedy

jednego wieczora, chcąc wejść do Olgi kończącej się ubierać do obiadu,

zatrzymaną została na progu żywą rozmową małżonków, prowadzoną w pokoju pani

Rutowskiej.

Iza opuściła zastępującą drzwi kotarę, niezdycydowana, czy się cofnąć, czy też

wejść do pokoju, gdy następujące słowa uszu jej doleciały:

— Nie rozumiem, dlaczego ten człowiek ciągle teraz u nas przesiaduje? — mówił p.

Rutowski chodząc po pokoju — codziennie nie-

mai jest na twoich popołudniowych herbatach, prosisz go na każdy obiad, na każde

śniadanie. To nie ma sensu...

— To zależy — chłodno odpowiedziała Olga, wpinając dyamentowego motyla we włosy

— hr. Edward jest dobrą partją, a Iza panna na wydaniu...

Te słowa podziałały magnetycznie; p. Rutowski zbliżył się do żony i zupełnie już
innym głosem zapytał:
— Więc to dla Izy ?...
— Dla Izy — brzmiała krótka odpowiedź.
— Czyż ona mu się podoba ? — pytał dalej.
— Ależ naturalnie. —
— A on jej ?
— Nie wiem jeszcze, ale proszę cię — dodała żywiej — nie
wspominaj jej o tem.
— Przepraszam cię Olgo — rzekł pan Rutowski, biorąc rękę żony,
która nietylko że
mu ją łaskawie wziąć pozwoliła, ale nachyliła się nawet, dając mu swą
białą,
łabędzią szyję do pocałowania.
Wysłuchawszy mimowolnie tej całej rozmowy, Iza schroniła się z tą
tajemnicą,
która żywym rumieńcem twarz jej oblała, do pokoju dziecka i tam
starła się
uspokoić, machinalnie zabawiając śmiejącego się chłopczykę jego
ulubionym
pajacem. Pytała siebie,

dłaczego nie zauważyła nigdy, że się podobała hr. Edwardowi, a tak
prędko się
spozstrzegła, że w licznym gronie bywającej w Rejowce młodzieży,
ona jednego
tylko widziała, a tym jednym był on właśnie.
Przy obiedzie niejedne oczy zwróciły się na nią, była bowiem
niezwykle piękną
tego wieczora, z niewidzianym dotąd blaskiem w czarnych oczach,
rumieńcem na
twarzy i uśmiechem na ustach.
To miłość rozpoczęła swoje dzieło...
Nawet p. Olgę, która zazwyczaj mało miała czasu uważać na siostrę,
uderzyło

dzisiejsze wyglądanie Izy. Patrzyła na nią długo-i badawczo, potem jakby zaniepokojonem we j rzeniem powiodła w koło stołu i twarz jej rozjaśniła się wtedy dopiero, gdy oczy jej spotkały się z oczyma Edwarda, patrzącego na nią tem odrębnem wejrzeniem, jakim patrzy mężczyzna w pierwszym a krótkim stadyum miłości.

Trochę doświadczeńsze i bardziej spostrzegawcze oko byłoby łatwo uchwyciło między niemi to nieokreślone »coś«, takie subtelne, że się nie daje słowami wyrazić, a które się instynktownie czuje, w powietrzu chwyta; ale tak p. Rutowskiemu jak Izie brakło go widocznie. Pierwszy zapomniał, już o swoich podejrzeniach czy obawach, słowa

żony uspokoiły go najzupełniej, a Iza widząc wszędzie i zawsze tylko hr.

Edwarda, bała się nawet spojrzeć w tamtą stronę.

Po obiedzie Edward zamieniwszy słów parę z p. Olgą, zbliżył się do Izy siedzącej

z robotą przy stole i po krótkim milczeniu, zdradzajacem, że się namyśla nad

tem, co ma powiedzieć:

— Czy pani się cieszy nadzieją tegorocznych balów? — zapytał.

— Nie myślałam jeszcze o tem — odrzekła nieśmiało podnosząc oczy ku hrabiemu.

Młody człowiek siedział koło niej ze spuszczoną głową, bawiąc się szyldkretowym

nożem, i dalszego może tematu do rozmowy szukając. Było

mężczyzna lat

trzydziestu mniej więcej, smukły blondyn o regularnych rysach, jasnym zaroście,

z wyrazem bardzo stanowczym, niemal surowym w ustach, a
niesłychanie łagodnym i
niby rozmarzonym w ciemno-szafirowych oczach. Ten uderzający
kontrast ust i oczu
stanowił niezwykły urok jego twarzy, a został wybornie
scharakteryzowany przez
jedną z jego znajomych:
— Hr. Edward — rzekła — ma usta tyrana a oczy kochanka. Będzie
równie złym mężem
jak kochankiem, bo w roli pierwszego będzie kochankiem, co jest a la
longue
nudne, a w roli

drugiego tyranem, co nawet i u męża nie zawsze jest znośne.
Dowiedziawszy się o tem powiedzeniu, p. Edward poszedł do osoby,
która takie o
nim wygłosiła zdanie i prosił o pozwolenie zaliczenia się do jej
najszczerzych
przyjaciół.
Iza tymczasem, wcale sobie z tego sprawy nie zdając, co wyrażały
oczy, a co usta
hrabiego, podziwiała go bezwzględnie i to od pierwszego spotkania;
tylko od
chwili wysłuchanej przypadkowo rozmowy inaczej na niego patrzyła,
inaczej każde
jego wejrzenie rozumiała, a patrzył na nią często, krótko i badawczo,
starając
się odnaleźć w jej twarzy podobieństwo do osoby, która obecnie
wszystkie jego
myśli zajmowała. Nie znalazł go zapewne, bo zamieniwszy jeszcze
kilka banalnych
frazesów z młodą osobą, wstał i odszedł. Iza śledząc jego ruchy
widziała jak się
przyprzyłbliżył do Olgi, i jak potem oboje przeszli do przyległego
saloniku.

Zima mijała. Był to pierwszy karnawał Izy, lecz go nie użyła z tą swobodą, z jaką zazwyczaj panny zaczynają bywać w świecie, przyniosła już bowiem z sobą ową great attraction, jakiej inne szukają dopiero, lecz przynosiła zarazem wraz z tem szczęściem, jakim niezaprzeczenie jest zawsze miłość dla kobiety, wszystkie jej czarne strony: niepewność

wzajemności, obawa nieuzasadniona często a ciągła przecież, zazdrość nieświadoma jeszcze istnienia swego a już dręcząca serce. Słowem, przechodziła krok za krokiem krzyżową drogę miłości, której cierń każdy jest jeszcze — rozkoszą. Jeżeli hr. Edward miał rzeczywiście zamiar starania się o rękę Izy, jak o tem p. Olga coraz częściej zapewniała męża, jeżeli się w niej naprawdę kochał, o czem w obec innych przynajmniej nie zdawała się starsza siostra wątpić, działo się to wszystko w dziwny, fantastyczny, a w każdym razie oryginalny sposób. Nieraz dni całe mijały, a on nie przybliżył się nawet do młodej osoby, chodził smutny, zamyślony, obojętny, lub nie pokazywał się wcale. To znowu były chwile, że nie odstępował Izy, z nią tylko tańczył, z nią rozmawiał, a przemawiał do niej jakimś dziwnym, głębokim, rzewnym głosem, rzekłbyś głosem zakochanych i szczęśliwych. Były to dobre, słoneczne, drogie chwile Izy, żyła ich wspomnieniem, nadzieją, że podobne powrócą jeszcze.

Ale czas mijał, a hrabia się nie oświadczał. Iza mu tego nie brała za złe; nie doświadczeniem, ale instynktem kobiecym wiedziona, czuła dobrze, że cokolwiekby jej życie jeszcze dać i zgotować mogło, już nigdy nie

odnajdzie w swem sercu tego czaru, tej rozkoszy, tego zachwytu, jakimi je jutrzienka pierwszej miłości zapełnia. Lecz p. Rutowski głośno przed żoną utyskiwał na ten sposób postępowania Edwarda, nie zważając, że ile razy o tem była między nimi mowa, Olga dziwnie się mieszała i wszelkimi sposobami starała się rozmowę na inne zwrócić tory. Prawdą bowiem, której nie domyślał się ani Rutowski, ani Iza, było to, że hrabia o oświadczeniach nie myślał wcale. Jeżeli czasami odgrywał rolę starającego się o rękę Izy, czynił to na wyraźny rozkaz Olgi, która tego najnieuczciwszego użyła sposobu, aby odwrócić od siebie uwagę i jakiegokolwiekbądź podejrzenia. Dotychczas komedia ta udawała jej się znakomicie; tak w domu, jak i w świecie, uważano hrabiego za konkurenta Izy, gdy on tymczasem był od kilku tygodni kochankiem jej siostry! Jak się to stało, nie trudno zrozumieć, chociaż mniej łatwo pojąć, ze względu, że w dniu, w którym piękna Olga upadła zwalczona w objęcia hrabiego, nie kochała się w nim ani trochę więcej, niż w tych wszystkich wielbicielach, którzy się o jej względy ubiegali. Jak z innymi, tak i z nim kokietowała tylko, ale o uczuciu

z jej strony mowy nie było. Nie miłość ją zwalczyła, ale zbieg

okoliczności, które ją usidliły. Z wrodzoną w tym kierunku lekkomyślnym charakterem odwagą, zaszła tak daleko, że już zatrzymać się nie umiała, a może i nie mogła, bo w dodatku natrafiła tym razem na człowieka, który kochał namiętnie, umiał chcieć i nie pojmował żartów tam, gdzie się całą duszą oddawał.

Młoda kobieta broniła się długo, wypowiadała przed nim cały ten zwykły różaniec fałszywych argumentów, którym się zazwyczaj bronią tego rodzaju kobiety.

Przypominała mu, że ma męża, dziecko, zasady, sumienie, obowiązki ; zapewniała, że nie potrafiłaby nigdy nakłonić się do tego życia, pełnego większych czy

mniejszych kłamstw; oszukiwać nie chciała... Dla człowieka zakochanego, są to

tylko powody podniecające miłość, bo każdy mężczyzna, błagający na klęczkach

kobietę, by się dla niego stała wiarołomną, szczęśliwym się czuje, odkrywając w

niej kobietę uczciwą i walczącą z swem hors regle uczuciem.

Korzystając z prawa powieściopisarza, niech nam wolno będzie postawić pytanie,

dłaczego kobieta zwykle, dopiero oddawszy się zakazanemu uczuciu, zastanawia się

nad swemi podeptanemi obowiązkami?...

Dzień w którym się Olga oddała Edwardowi, był dla niej dniem pełnym zdziwienia.

Nie przypuszczała bowiem nigdy, by kiedykolwiek do tego przyjść mogło. Szczyciła się dotąd aureolą cnoty, w którą ją świat przystroił; był to jeden z najgłówniejszych uroków jej kokieterii, a nagłą jego utratą czuła się upokorzona i zmniejszoną we własnych oczach. Po raz pierwszy, w obec faktu, którego z życia swego żadną miarą wykreślić nie mogła, jak to zwykle czyniła ze wszystkim, co jej zawadzało, zastanowiła się trochę. Na wspomnienie krótkiej, ubiegłej chwili, którą miłość tłómaczy, brak uczucia we wstrętne światło przedstawić tylko może, czuła głębokie obrzydzenie do siebie i głęboką pogardę dla tego, który w jej miłość wierzył. Pierwszą jej myślą było otworzyć mu oczy, zemścić się za przykre uczucia, jakich doznawała, wyjaśnieniem mu całej prawdy, spowiadając się poniekąd, odkrywając mu tę żalną historię ich miłości, w której z jej strony miłości nie było. Dostatecznie jednak uczciwą nie była, aby w ten cyniczny może, ale bądź co bądź prawy sposób zakończyć rozpoczęty stosunek. Ta zawikłana natura potrzebowała zawikłanych sposobów, które nietylko, że ją uwolnić miały od więzów, jakie nałożyła na siebie, ale nie miały nigdy rzucić na nią choćby najłżejszego niekorzystnego światła.

W jednej chwili wybudowała cały gmach przyszłych kombinacji. Postanowiła w krótkim bardzo czasie zagrozić Edwardowi koniecznym zerwaniem, jeżeli się o rękę jej siostry nie oświadczy. Mąż jej miał tutaj wystąpić w roli

podejrzliwego, a nawet domyślającego się człowieka, jakim niestety nigdy nie był; ona zaś odegrać miała całą komedię trwogi, przeczucia bliskiego nieszczęścia, od którego Edward tylko mógł ją uratować. Nie wątpiła ani chwili, że się Edward przed niczem nie zawaha, wiedziała dokąd dojsć może zaślepienie i podłość mężczyzny, kiedy w grze są zmysły jego. W ostatnim akcie tej smutnej komedyi, miały znowu wystąpić jej obowiązki i skrupuły w obec siostry, zrywała ostatecznie, przyspieszała małżeństwo, wyjeżdżała, — rozłączała się i — zapominała. Zapomnienie, to widmo miłości, stawało się dla niej pochodnią, nadzieją — ratunkiem. Niebawem zaczęła swój plan wykonywać w całej treści programu. Odegrało się między kochankami kilka scen, w których Olga zalewała się łzami i na klęczkach błagała Edwarda, żeby ją ratował. Opowiadała mu straszne zajścia z mężem, które nigdy miejsca nie miały i dzięki potędze łez, widzianych

w kochanych oczach, dzięki czarom jej piękności, któremi upajać umiała, hrabia zgodził się na wszystko, byle jej nie widzieć płaczącej, byle jej nie tracić jeszcze. Prosił o rękę Izy, otrzymał ją, i jako narzeczony siostry życie swoje spędzał u Rutowskich. Bawili oni obecnie na wsi, w śliczne, posiadłości Rutowskiego, którą on stworzył, upiększył i niemal na równi z żoną ukochał. Uspokojony co do Edwarda, jeżeli w ogóle miał kiedykolwiek jakie poważne względem niego niepokoje, więcej

jeszcze, jeżeli to możliwe, przywiązany do żony, w obec której,
zdawało mu się,
że brakiem zaufania zawinił, szczęśliwy szczęściem Izy, którą
szczerze kochał,
za co ona silnem i prawdziwie braterskiem uczuciem mu się
odwdzięczała, p.
Rutowski więcej i swobodniej niż zazwyczaj używał tego roku pobytu
na wsi w swej
drogiej i pięknej Rejowce. Czerwiec ustroił ją cudnie, tonęła cała w
rozkwicie i
zapachu róż, których niezliczona ilość zapępiała ogród. Pięły się one
po murach
pałacyku, kaskadą kwiatów spadały wzdłuż filarów, ganków i
ganeczków, w jakie
zgrabna i artystycznie kapryśna budowa obfitowała.
Zaręczyny Izy miały się odbyć dopiero z końcem września, z powodu,
że hrabia

pragnął, by im był obecny jedyny jego krewny, który obecnie
podróżował po
Rosyi.
Szczęście niemałe, że ten krewny rzeczywiście egzystował, co więcej,
że
rzeczywiście podróżował, inaczej bowiem trudno byłoby hrabiemu
wynaleźć
prawdopodobną przyczynę, dla której dobrowolnie opóźniał dzień
zazwyczaj z
utęsknieniem i niecierpliwością przez narzeczonego wyglądany.
Rzeczywistem w
całej tej sprawie było to tylko, że hrabia pragnął wszelkiemi
sposobami opóźnić
wszystko, coby mu przypominało istotne jego położenie. Żył niby we
śnie, ale sen
był przykry, i co chwila budził się zeń do przykrzejszej jeszcze
rzeczywistości.

Wierna swoim postanowieniom, Olga kategorycznie oświadczyła hrabiemu, że między nimi wszystko skończone, i mimo próśb, nalegań, rozpacz, wściekłości nawet Edwarda, który groził że zerwie, ucieknie, nie dawała się przebłagać, przedstawiając mu tylko, jaką dzisiaj podłością byłoby jego zerwanie z Izą. Unieszczęśliwiałyby ono prawdopodobnie jej siostrę, a ją bezwarunkowo gubiło. Przy tym brutalnym, że tak powiemy, potarganiu własnego stosunku z narzeczonym siostry, zaniedbała p. Olga, jeżeli już nie koniecznej, to w każdym razie naturalnej przynajmniej względności i nie pomyślała nad tem,

że raz zerwawszy z hrabią, okaże się mu taką, jaką jest rzeczywiście bez maski, w którą się dotąd zawsze dla niego stroiła, i wtedy dopiero poznał w niej Edward inną zupełnie osobę, wręcz przeciwną tej, którą ukochał w chwili szaleń. Jeżeli p. Olga robiła wszystko, co mogła, by go odtrącić od siebie, nie przypuszczała nawet, jak całkowicie i prędko jej się to uda. Miłość Edwarda, wybuchnąwszy jednej chwili, jak wyrzucona w powietrze rakietą, zgasła równie szybko, jak się zapaliła, wystarczyły niespełna dwa miesiące aby wypróżnić to serce, tak nią przepelnione przed niedawnym jeszcze czasem, że przypuścić mu nawet było niepodobna, by bez niej kiedykolwiek żyć mogło. A żyło przecież... trochę zasmucone i zdziwione swą nagłą zmianą... bardzo rozżalone, rozczarowane, ale... poddające się.

Hrabia myśląc ciągle, że odgrywa tylko dalszy ciąg rozpoczętej komedyi, począł bezwiednie interesować się głębiej Izą i rzecz dziwna, niby na gorącym uczynku złapał się kilka razy na wcale miłych marzeniach o młodej dziewczynie. Z początku odtrącał je, ale niebawem powracały uparcie, snuły się wciąż w koło ciemnej główki Izy, w koło jej czarnych oczu, takich łagodnych, kochających i głębokich, którym niedawno jeszcze to gło-

wnie miał do zarzucenia, że nie mają żadnego podobieństwa z oczami siostry, a których największym dla niego urokiem był ten brak właśnie. Przychodziły nań czasami chwile: możnaby je nazwać paroksyzmami, w których postanowił zerwać z Izą, wyjechać, uciec w świat daleki; tymczasem siedział ciągle, i szukał coraz to chętniej bliskości i towarzystwa Izy. Lubił jej głos, lubił słowa nim wyrzeczone, upajał się miłością, z którą bezwiednie zdradzała się co chwila, słowem lub spojrzeniem... upajał się jej młodością, urokiem na wskroś uczciwej duszy i czystego serca. Po ostatnich przejściach o których niestety zwykłym biegiem rzeczy i niestałości uczuć ludzkich, z każdą chwilą bardziej zapominał, chociaż mu się zdawało, że przez nie cierpi jeszcze — odpoczywał rozkosznie. Z chwilą, w której doszedł do przekonania, że przyszłe jego małżeństwo było wynikiem cynicznej i głębokiej nieuczciwości, pokochał Izę całą potęgą prawdziwej, a więc czystej miłości, i

napadały go chwile bolesnej zadumy, szczerego smutku,
niekłamanego żalu, że
nietylko krzywdził swoją przeszłością niewinną, ufną i kochającą go
istotę, ale
nawet ani się wyspowiadać, ani usprawiedliwić przed nią z tej
przeszłości nie
mógł. Mówił jej cza-

sami o sobie, o swoich wadach i błędach chciałby być chłostanym
przez tę małą
rączkę, która tylko, niedowierzając że go potrzebuje, przebaczenie w
uścisku
przynosiła, a w smętnym uśmiechu całe serce swoje oddawała.
Wtenczas przysięgał
sobie, całując jej długie, spadające do kolan warkocze z czcią. jakiej
nigdy
dotąd nie zaznał dla żadnej kobiety, że ją uszczęśliwi i zawsze kochać
będzie.
Już uszczęśliwiał, bo już ukochał, i obojgu dni słodko płynęły.
Rejówka pełną była gości, ruchu i gwaru, im dwojgu tylko było
samotnie i cicho i
dobrze, jak nigdy dotąd. Była to krótka, ale prawdziwa idylla miłości,
w której
co chwila oddawały się serca, łączyły oczy i ręce. Dnie im schodziły
na długich
rozmowach, długich, niemal od słów wymowniejszych milczeniach,
na tej uroczej
samotności we dwoje, w której/i miłość jest trzecią.
Gdyby kuzyn hrabiego był o jeden dzień tylko opóźnił swój powrót,
nie byłby już
obecny zaręczynom, bo o ile Edward dotychczas z niemi zwlekał, o
tyle było mu
teraz do nich spieszo. Wyglądał chwili ślubu, po której zabierze
żonę, ucieknie
z tego domu. Odkąd bowiem był rzeczywiście szczęśliwym, zdawało
mu się, że coś

jego szczęściu grozi.

Jestto prawo wszechsprawiedliwości, która szczęściu daje niepokój,
niedoli
bezmierne zaufanie.

* * *

Po zaręczynach, odbytych w licznej gronie gości, hr. Edward
odprowadzając swego
kuzyna do przeznaczonego dlań pokoju, słuchał z widocznym
zadowoleniem wyrazów
zachwytu tegoż nad pięknnością obu sióstr.
— A która ci się więcej podoba? — zapytał Edward.
— Która? — powtórzył pan Henryk, wielki realista i znawca ludzi w
ogóle, a
kobiet w szczególności.
— To zależy. Mężatka na kochankę, panna na żonę... Czy może...? —
dodał,
zwracając się nagle do Edwarda, spojrzawszy nań bystro i zaśmiały się
ironicznie.
— I potępiacie Zolę... — rzekł — wszak on swoim cynizmem jeszcze
nie dorównał
światu.
I wyjechał nazajutrz, rozmyślając nad obiadem zaręczynowym,
podczas którego
spozregł dziwne, niespokojne i niepokojące wejrzenia, padające z
oczu pani
domu na niezważającego na nie Edwarda, ale które jemu
objektywnemu badaczowi
serc i sła-

bostek ludzkich odkryły tajemnicę, kryjącą się pod płaszczkiem
rodzinnego

święta.

P. Henryk odjechał, zachowawszy swoje spostrzeżenia dla siebie, z wrodzoną poniekąd światowcom dyskrecją; i tak, jak prócz niego nikt tych wejrzeń nie uważał, tak nikt nie był świadomym tego, co się po za niemi kryło, w tym niezgłębionym przestworze, jakim jest serce kobiece. Przebudzało się ono nagle u pani Olgi, i w miarę, jak myśli, serce, uczucia Edwarda oddalały się od niej i odrywały się niby pierścienie rozluźnionego łańcucha, tak jej myśli ścigały go, odszukiwały i dorastały powoli do siły rzeczywistego uczucia. Nieznane jej dotychczas, a z taką gwałtownością nurtujące ją uczucie, ciągnęła obecność i konsekwencja tej myśli, wzmogła się w ostatnich czasach jakąś tęsknotą bez nazwy. Podczas obiadu zaręczynowego, pani Olga, patrząc na Edwarda, siedzącego koło Izy i zatopionego w rozmowie z nią, pytała siebie czy tego człowieka, którego nie kochała, oddając mu rękę, którego z okrutną obojętnością niekochających odtrąciła od siebie, nie kochała dzisiaj z jakąś nieznaną dotąd potrzebą jego miłości i żądzą jej objawów? Kiedy się już wszyscy obecni w Rejówce goście rozeszli, pozostała sama w oświe-

conych salonach i usiadłszy w fotelu, koło otwartego okna, odetchnęła głęboko, rozglądając się machinalnie dokoła. Duszno jej było w tych wielkich salonach, w

tem oknie otwartem, duszno i ciężko na sercu i myśli; to też jakimś zrozpaczonym gestem poruszała swą piękną główką, jakby ją od tłoczącego ciężaru uwolnić chciała. Ale to, co jej dolegało, tkwiło głębiej niż w głowie. Dręczyła ją miłość, zazdrość, nienawiść dla rywalki, o której zapominała, że jest jej siostrą; żal głuchy do siebie, bo przecież sama była sprawczynią swej doli; żal do Edwarda, który przystał na jej żądanie, zgodził się z niem, oswoił i pokochał tuż zaraz obok niej, inną kobietę. Zerwała się ze swego miejsca i cała jej postać odbiła się w wiszącym naprzeciw lustrze. Zatrzymała się, jakby olśniona tym widokiem. Nigdy chyba nie widziała się tak piękną. — I onby mógł jej nie kochać? Mógłby?... Zadając sobie to pytanie, śledziła każdy ruch pięknej twarzy, opromienionej parą zielonych oczu, błyszczących szmaragdowym blaskiem z pod czarnej rzęsy i ustami czerwonymi, jak krew. Oczy jej spoczęły dalej, na istnie marmurowych ramionach, nieco odsłoniętych wycięciem lekkiej różowej sukni, której fałdy spadały wzdłuż idealnej co do kształtów postaci.

— I on mógłby już mnie nie kochać? W tem się drzwi za nią otwarły i ktoś stanął na progu. Odwróciła się żywym ruchem i oczy jej spotkały się z wejrzeniem Edwarda. Odprowadziwszy swego kuzyna, wracał hrabia do siebie, i niczego się mniej nie

spodziewał, jak spotkania z p. Olgą. Przez sekundę stali naprzeciw siebie, oboje nie wiedząc jeszcze co robią ; nareszcie hrabia próg przestąpił i niemal automatycznie szedł na spotkanie Olgi, która wolnym krokiem, nie spuszczać go z oka, także ku niemu postępowała. Kiedy ich zaledwie kilka kroków dzieliło, zatrzymali się, patrząc sobie w oczy. Od chwili ostatecznego zerwania, spotykali się po raz pierwszy sam na sam; unikali tego bowiem oboje dotąd, a dom zawsze pełen gości, ułatwiał im sytuację, do której zdawało się, że oboje najzupełniej przywykli, zapominając o przeszłości. Po krótkim milczeniu p. Olga przybliżyła się jeszcze i kładąc rękę na jego ramieniu:
— Edwardzie zapytała czy jesteś szczęśliwy?
Nie zrozumiał intonacji jej głosu, nie zdał sobie sprawy, o co właściwie pytało to pytanie, spojrzął na nią i skłoniwszy się lekko:
— Stało się podług życzenia pani — rzekł chłodnym głosem.

— Mojem życzeniem było szczęście twoje zapewnić.
O tem wątpił stanowczo, będąc przeciwnie pewnym, że jej życzeniem było pozbyć się go tylko. Wspomnienie to ubodło go, więc z pewnym tryumfem odpowiedział:
— I w tem się stało zadosyć życzeniu pani, bo jestem zupełnie szczęśliwy... ale nie zatrzymuję pani dłużej...
— Ja cię zatrzymuję — zagradzając mu drogę, zawołała porywczo Olga — zatrzymuję, by ci powiedzieć, że to, czego od ciebie wymagałam, to co spełnić zamyślasz, jest niemożliwym. .. niepodobnym... bo. .. bo... Tu usta jej zadrżały w obec

pierwszego szczerego wyznania miłości — bo ja cię Kocham!
— Zapóźno mi to pani odkrywasz — domiwiając tych słów Edward
długo i badawczo
spojrzał na młodą kobietę, pytając siebie, czy to możliwe, by on,
przed kilku
miesiącami za ledwie, o to samo słowo na klęczkach ją zebrał?
— Zapóźno nie jest — zawołała — zerwiesz wszystko, tak jak ja
gotową jestem
zerwać z całym życiem dla ciebie... Uciekniemy, gdzie zechcesz...
kiedy
zechcesz... Edwardzie...
Chciała mu obie ręce położyć na ramionach i dawnym zwyczajem
upoić go widokiem

ust swych, stworzonych do pocałunku, ale on się uchylił i odsuwając
ją od siebie
niemal szorstko :
O nie — zawołał — między nami naprawdę wszystko skończone, jak
to pani sama
rozkazałaś kiedyś, a tak zupełnie skończone, że wstrętnem mi jest
wszelkie
przypomnienie przeszłości, że nie wiem już nawet dzisiaj, czy ja panią
kiedyś
naprawdę kochałem, czy byłaś tylko kaprysem mojego życia, jak ja
byłem tylko
twoją zabawką! Spotkaliśmy się i rozstali niebawem i nigdy, nigdy
więcej już się
tak nie spotkamy. Ale, — dodał, głos zniżając — jakąż kobietą pani
jesteś, żeby
mi o tem mówić w dzień moich zaręczyn, mnie, narzeczonemu twej
siostry?
— Nie mów o tem! Nie nazywaj się tak! Zakazuję ci!... Zakazuję !...
krzyknęła,
konwulsyjnie zaciskając swe ręce.
— Mówię o tem i nazywać się tak będę, bo jestem narzeczoną
twojej siostry,

najprzód z woli pani, dzisiaj z własnej, z woli serca — dodał
podkreślając ten

wyraz — teraz żegnam panią.

Wyszedł.

Pani Olga stała chwilę, patrząc za odchodzącym, brwi jej się ściągnęły
i wyraz

zawiści, jak ciemna chmura na niebie, zawisł nad jej jasnym obliczem.

Nienawidziła go w tej chwili,

doznawała uczucia, jak żeby ją wyznaniem swych uczuć dla Izy
podeptał nogami i

co tylko w niej było złych namiętności, zawrzało w sercu żądzą
zemsty.

Kilka dni upłynęło. Zdawało się, że p. Olga zapomniała zupełnie o
zajściu z

hrabią, była raczej więcej uprzejmą dla niego, niż kiedykolwiek dotąd,
a jakiś

odcień smutku w wejrzeniu i w głosie, dawał się spostrzegać, ilekroć
zwracała

się do niego.

Gdyby kobiety były mniej przewrotne, mężczyźni mniej zarozumiali a
więcej

domyślni, świat by uniknął wielkich kataklizmów.

Z obecnego zachowania się pani Olgi, Edward to jedno

wywnioskował, że się w nim

teraz naprawdę kochała, i że przez niego cierpiała ; niesłychaną jest
bowiem

łatwość, z jaką mężczyźni wierzą w uczucia, przez siebie wzbudzane.

Ale Edward

był teraz szczęśliwy i serce jego skłonne było do współczucia; więc
wymawiał

sobie niektóre, zbyt żywe słowa ich krótkiej rozmowy i razu pewnego,
korzystając

ze sposobnej ku temu chwili, prosił, by mu je przebaczyła.

— Miałeś pan zupełną słuszność, — rzekła — nie mam panu tego za
złe; — przytem

spojrzała na niego wejrzeniem, którego nie zauważył, a które zaciężyło przecież

na nim nienawiścią, jaka się w jej sercu nagromadziła ku niemu. Kochała go tą zupełnie odrębną miłością kobiet jej rodzaju, w której więcej próżności niż uczucia, więcej dumy obrażonej, niż tkliwości ; ale nienawidziła go zarazem. On był jedynym na świecie człowiekiem, który ją upokorzył: najprzód doprowadzeniem jej do upadku, następnie zapomnieniem, nową miłością , a nareszcie, i bodaj czy nie najsrożej : obojętnością, z jaką przyjął jej wyznanie. Wiedziała dobrze, że już nic i nigdy nie nawróci go do niej, że między nimi nieodwołalnie wszystko się skończyło ; szczęście jego i miłość, z jakimi się nie ukrywał, policzkowały ją co chwila ; co chwila wyraźniej czuła, że się zemścić musi, zapominając, że zemsta jej, jakakolwiek ona będzie, dotknie zawsze tak niewinnej istoty, jak Iza. Obojętnem jej to było zapewne, należała do rzędu tych bezwzględnych , którzy dla osiągnięcia własnego celu poświęcają szczęście i życie najbliższych. Iza nie domyślała się niczego, nie przeczuwała burzy, zawieszanej nad jej głową ; na wszystko, co nie było jej szczęściem i jej miłością, miała oczy zamknięte. Olga przyzwyczaiła ją już do obojętności, rozczarowała i ostudziła gorące uczucia serca; ale ona jej dzisiaj wszystko przebaczała...

Czas mijał, i dzień ślubu się zbliżał. Edward po dłuższej nieobecności powrócił właśnie do Rejówki, i patrząc z miłością na swą narzeczoną, opowiadał jej, co porabiał podczas swej nieobecności; każda jego czynność pełną była myśli o niej.

Siedzieli oboje przed kominkiem, na którym dopalał się ogień, rozweselający dżdżysty i ciemny dzień jesienny; nieco dalej, u okna, z książką w ręku, siedziała Olga, a chociaż młoda para mówiła półgłosem, chociaż ona wydawała się zatopioną w czytaniu, każde ich słowo, śmiech każdy dolatywał jej uszu, niosąc jakąś świeżą woń miłości, którą oddychała, jak trucizną. Oczy jej z ponad książki prześliznęły się ku młodej parze i spoczęły na nachylonej postaci Edwarda. Zwyczajem, znanym jej aż nadto dobrze, siedział on z ręką, wspartą o poręcz fotelu Izy, z twarzą spoczywającą na tej ręce i z wejrzeniem wzniesionem na nią. To wejrzenie, którego nie zrozumiała niegdyś, które pojmowała i pragnęła go dzisiaj, ukłóło ją w serce, jakby ostrzem noża. Pod wrażeniem tego bólu, którego zdawało jej się, że znieść dłużej nie potrafi, wstała, rzucając książkę. — Izo — rzekła — pójdź proszę i przynieś mi zarzutkę, zimno jest tutaj. Panie Edwardzie — dodała, bojąc się widocznie, by

w tej drobnej usłudze nie chciał wyręczyć narzeczonej — mam z panem parę słów do

pomówienia ; — a znalazłszy się z nim sam na sam, szybkim krokiem przybliżyła się do niego, i przytłumionym wyszeptała głosem:
— Zerwiesz pan to małżeństwo... zerwiesz je bezwarunkowo!...
Zdziwiony temi słowy, których się wcale nie spodziewał, Edward spojrział na nią, i głosem stanowczym :
— Nigdy! — odpowiedział.
— Zerwiesz! — powtórzyła, zapalając się coraz bardziej — inaczej...
— Co inaczej? — zawołał Edward, chwytając ją za rękę.
— Inaczej, — powtórzyła powoli, patrząc mu bystro w oczy — ja je zerwę...
Oczy jego błysnęły wyrazem, jakiego dotąd w nich nigdy nie widziała — a biorąc ją za drugą rękę i trzymając obie w silnym uścisku:
— Tego pani nie zrobisz — zawołał — bo by to była zbrodnia... okropność... Nie zrobisz tego, nie... powiedz, że nie zrobisz ! Słyszysz pani... powiedz... przysięgnij zaraz...
Zdawało mu się w tej chwili, że szczęście i miłość jego jak drzewo podcięte, już się chwieje, już wali, już upada.

Ścisnął ręce Olgi tak silnie, że z bólu, a może tylko z szatańskiego wyrachowania, słysząc w przyległym pokoju lekkie stapanie, nagle padła przed nim na kolana, wołając:
— Edwardzie...
W tej samej chwili portyera, żywym widocznie ruchem pociągnięta, rozsunała się nagle, i we drzwiach stanęła Iza.
Na widok siostry, Olga zerwała się z miejsca, postąpiła parę kroków, i stając pomiędzy nią a Edwardem, z twarzą, zdradzającą, że już nie panuje nad sobą, ręką

wskazującą na hrabiego, którego wejrzenie ją do miejsca przykuło:

— On był moim kochankiem! — zawołała.

Na ten widok, który się jej oczom przedstawił, na odgłos słów siostry,

Iza się

zachwiała podnosząc obie ręce do głowy, i tylko długi, przeciągły jęk,

wydobywający się niby przemocą z jej piersi zdradził, że zrozumiała i

pojęła

wszystko. Twarz jej bledszą się stała od jej białej sukni, a po przed

zamknięte

jej oczy przesunęło się, z elektryczną szybkością mnóstwo rzeczy, na

które nie

zważała dotąd, nie rozumiała nigdy, a które pojęła teraz.

Usta jej zadrgały, i coś na kształt łkania odezwało się w piersi.

Podbiegłszy ku

niej Edward, uchwycił jej rękę, ale wyrwała ją z gwałtownością,

rzuciwszy mu tak

pełne

strasznej rozpacz i wstrętu wejrzenie, że stanął jak wryty, a ona

cofając się w

tył, ze złożonymi rękoma, jakby do modlitwy, powtarzała tylko

stłumionym głosem:

— Podli!... podli!... podli!...

Cała jej rozpacz, oburzenie, wstręt, boleść bez miary, cierpienie bez

granic

mieściły się w tem jednym słowie, a potem ten sam jęk przejmujący

wydobył się

przez zaciśnięte usta.

— Izo! — zawołał hrabia.

— Ani słowa... ani jednego słowa — wyszeptała z trudnością, patrząc

przerażonemi

oczyma to na Edwarda, to na Olgę, która, jakby nieprzytomna,

przypatrywała się

tej scenie, i powtarzając bezwiednie to jedno słowo — podli... podli...

z wolna

ku drzwiom się zbliżała.

Zanim rękę położyła na klamce, drzwi się rozwarły i na progu stanął p. Rutowski;
za nim wbiegł z krzykiem i śmiechem sześćoletni synek jego.
— Co tobie? — zawołał p. Rutowski, patrząc na zmienioną twarz Izy.
— Co to jest?
Co tu się stało? — dodał, widząc pomieszanie i bladość żony i Edwarda.
Pierwszą myślą Izy było rzucić się szwagrowi na szyję i wśród łez cisnących się do oczu, wśród dławiącego ją łkania,

opowiedzieć mu całą prawdę. Wszak on był jedynym, który jej nie skrzywdził, nie oszukał, nie zabijał, jak tych dwoje, którzy teraz w niemem przerażeniu, zdawało się, że zawisli na jej ustach.
Ale myśl ta trwała krócej, niż nam czasu potrzeba, aby ją wypowiedzieć. Inna, szlachetniejsza odrazu ją bowiem zastąpiła. W mgnieniu oka pojęła Iza, że od jej powiedzenia zależy może wszystko w życiu tych ludzi, którzy ją otaczali. A jeżeli między nimi były dwie osoby, których oszczędzać nie czuła się na siłach, były także dwie inne, jedyne w tym domu i jedyne na świecie całym, które były dla niej dobre, kochały ją szczerze, z których przyczyny nigdy nie cierpiała.
Tymi dwoma byli mąż i syn jej siostry, którą teraz mogła jednym słowem zgubić, albo ocalić. A więc ocali ją ! Zostawi żonę mężowi, matkę dziecku!
— Co to jest? — co to jest? — powtórzył p. Rutowski — czyż nikt z was mnie nie objaśni?
Iza podniosła oczy na Olgę; zdawało jej się, że twarz siostry zanosi do niej

niemą prośbę. Zrozumiała ją i lekki uśmiech przemknął po jej twarzy,
ale słów na
usta nie była jeszcze w stanie przywołać. Wtem Edward wysunął się
naprzód, i
stając przed Rutowskim:

— Panie — zaczął... ale Iza przerażona niepewnością tego, co by mógł
powiedzieć,

przerwała mu gwałtownie:

— Mnie — rzekła głosem, który cudem jakimś, brzmiał spokojnie i
naturalnie —

wypada powiedzieć, o co chodzi. Szłam cię właśnie odszukać, chcąc
cię zawiadomić

o tem, o czem w tej chwili zawiadomiłam hrabiego i... twoją żonę.

Zerwałam z

panem Edwardem...

— Zerwałaś? — zawołał Rutowski. — Dlaczego? — przerwał jej w
sam czas, bo dalej
mówić nie mogła.

W obec konieczności odpowiedzi, która złowrogą ciszą zaległa w
pokoju, Iza

odetchnawszy głęboko, z spokojem ciągnęła dalej:

— Nie mówiłam wam o tem nigdy, bo matka moja przeciwną była
memu życzeniu,

chciałam być jej posłuszną. Widziałeś sam... bywałam w świecie...
zaręczyłam

się... zdawało mi się, że jestem szczęśliwą... ale zdawało mi się tylko.

Dzisiaj

widzę, że małżeństwo moje nie może przyjść do skutku, bo między
niem a mną stoi

zawsze pierwsze pragnienie mojego życia, silniejsze od wszystkiego...
więc je

zerwałam i... wstępuję do klasztoru.

W tem miejscu swoich wspomnień Siostra Teresa pochyliła nieco głowę i przymknęła oczy. Dawno minione cierpienie zakolało do jej serca. Przypomniało jej się równie jasno kilka dni następnych, poprzedzających wyjazd jej do klasztoru. Spędziła je samotnie, zamknięta w swoim pokoju, z sercem skamieniałem, z oczyma bez łez, z palącą tylko raną w całym jestestwie. Widoku odjazdu Edwarda, od którego zażądała, by bezzwłocznie Rejówkę opuścił, oszczędziła sobie, i uszy przysłoniła rękoma, by nie słyszeć turkotu odjeżdżającego powozu, a przecież słyszała go... słyszy jeszcze dzisiaj niemiłosierny zgrzyt kół tego karawanu, unoszącego jej umarłą miłość, jej złudzenia, marzenia i nadzieje... Słyszała błagalny głos siostry, żebrzący jej przebaczenia, słyszała jej zaklęcia — by zmieniła postanowienie... Nie poruszały jej one obecnie, jak nie poruszyły wówczas. Tylko na jedno wspomnienie tych dni ubiegłych, serce jej jeszcze żywiej zabiło; zdawało jej się, że wśród głuchoj ciszy celi, rozbrzmiewa płacz głośny, dziecięcy, że ją oplatają drobne rączka i tuli się do niej drżące serduszko żegnającego się z nią siostrzeńca. Ze stołka, na którym siedziała, osunęła się Siostra Teresa na kolana i kryjąc twarz w dłonie, rozplakała się rzewnie. Tu skończyło

się życie na świecie. Zaczęła drugie z dniem wstąpienia do klasztoru ! Kiedy zamknęły się za nią ciężkie drzwi bramy klasztornej, a zawiasy zgrzytnęły żałośnie, odwróciła się nagle i spojrzała na nie z jakąś dziką rozpaczą. Zdawało

jej się, że się na nie rzuci, że je wyrwie i ucieknie z tego grobu, do którego dobrowolnie zstępowała. Ale po cóż? Tu, czy tam, świat był dla niej grobem tylko! Przez trzy pierwsze miesiące ostrego nowicyatu, w którym uległość, cierpliwość i pokora próbantki wystawione co chwila na ciężkie próby, spełniała skrupulatnie, ale automatycznie swoje obowiązki; myśl jej była tak daleką jeszcze od tych czynności, że nie zważała na nie, bo myśl ta powracała bezustannie od wiarołomnego, niewiernego, a jednak kochanego jeszcze jakąś krwawą miłością, pełną żalu, wstrętu, pełną boleści, a przecież miłością. Po trzech miesiącach poddała się, obojętna na pozór, pierwszej ceremonii klasztornej, w której obcięto jej włosy, a suknię zamieniono na habit. Zimna stal nożyczek dotknęła jej białej szyi, i dwa grube warkocze spadły żałośnie na ziemię. Spojrzała na nie... przypomniała sobie pierwszy pocałunek, który on złożył na tych splotach i ukradkiem, pewna, że jej nikt

nie widzi, podniosła je z ziemi i usta do nich przycisnęła. Było to jej ostatnie pożegnanie, słabość ostatnia. Zdawało się jej, że z utratą tych pysznych włosów, tak przez niego ukochanych, zerwaną została ostatnia nić wiążąca ją do świata, do życia, do ludzi. Siłą woli przytłumiła wspomnienia. Siłą czasu, ciszy, monotonności życia, jednostajności zajęć, zamierały one stopniowo. Zakonne życie zabijało nieznacznie, powoli, ale stanowczo, z każdą

chwilą, z sekundą każdą, dawną Izę, budząc w niej inną już kobietę,
ale jeszcze
nie Siostrę Miłosierdzia.
Półtrzecia roku upłynęło, zanim Siostra Teresa, która była przecież
wzorem
zakonnicy, pojęła słodycz obranego życia.
Było to przy łóżku konającego, przy którym czuwała. Odmawiając
pacierze,
patrzyła na tę straszną walkę życia ze śmiercią. Znała tego człowieka
dawniej,
wiedziała, że był szczęśliwym, bogatym, kochanym, życie nie
poskapiło mu
żadnej ze swych rozkoszy, a w tej chwili niepodobna było odnaleźć w
jego rysach
śladów tej szczęśliwej przeszłości; widziała w nich cierpienie i
trwogę, jaką
pałyły co chwila ku niej zwracające się oczy. Życie wydało jej się w
tej chwili
tak małym, szczęście jego tak błahym, w obec

ogromu i powagi śmierci. Uklękła i biorąc w swoje dłonie drżącą rękę
umierającego, poczęła mu mówić łagodnie, powoli, nie o szczęściu,
które zaznał,
ale o ciężkich drogach tego życia; nie o majątku, z jakim się
rozstawał, ale o
tej odrobinie, którą na dobre obrócił cele; nie o życiu, ale o końcu
wszelkiego
cierpienia, wszelkiej boleści, o tej słonecznej krainie, obiecanej
umierającym z
wiarą w miłosierdzie Boże. Widziała, jak słowa jej uspokajały
chorego, jak usta
poczęły powtarzać słowa szeptanej przez nią modlitwy, jak
wyciągając rękę do
gromnicy, którą ona przyświecała mu w tej ciemnej godzinie... usnął
na wieki.

Przy świetle świecy śmierci ugasiła Siostra Teresa świecę swego
dawnego życia a
zapaliła to małe światełko o cichym skromnym płomieniu, które
nieszczęśliwym tak
jasno przyświeca, gorejąc w sercu Siostry Miłosierdzia.

* * *

Dzwony klasztorne odezwały się nagle, wołając na Anioł Pański.
Siostra Teresa obudzona tym odgłosem, któremu od lat trzech była
posłuszną,
podniosła głowę i spojrzała przed siebie.
Wieczór zapadał; na jasno szafirowym niebie zapaliła się pierwsza
gwiazdka i
błysnęła

nad ziemią. Siostra Teresa wzniosła ku niej oczy ; od lat trzech była
ona niemal
codziennym świadkiem jej życia! Może jutro już jej nie zobaczy?
Może jej na
innym niebie inna przyświecać będzie, ale zawieszona tą samą zawsze
ręką, do
której udawała się teraz o spokój dla umarłych i dla żyjących, a już
pomarłych
dla niej, którym myśląc o nich zaszła Iza ostatnie słowa pożegnania;
a w
modlitwie, w której się teraz pogrążyła, wszystko, wszystko czem
odtąd zbliżyć
się do nich jeszcze może... Siostra Teresa.

OD SYMPATYI DO MIŁOŚCI.

Chińskim abat-jour'em przysłonięta lampa, pozostawiając w półcieniu salon,
obejmowała jasnym kręgiem światła, stół przykryty różowym pluszem, porozrzucane
na nim kłębki różnokolorowych włóczek i siedzącą przy stole młodą kobietę,
zajętą krzyżową robotą, do której te włóczki służyły zapewne. Biała jej rączka,
uzbrojona w igłę, wznosiła się, to opuszczała naprzemian, a duże, szafirowe,
ciemną rzęsą okolone oczy, uporczywie w haft były utkwione. Za najlżejszym
poruszeniem się młodej kobiety, migotała czarna sieczka, zdobiąca jej suknię,
okalając delikatną szyję, na której osadzoną była śliczna główka o jasnych
włosach, kameowych rysach i cudownie narysowanych, a w tej chwili nieco
ironicznie uśmiechających się, pełnych, różowych ustach. Przed dopalającym się na kominku ogniem, siedział
trzydziestokilkuletni
mężczyzna, którego piękną i dumnie wznoszącą się głowę,
przedwczesna
przyprószyła siwizna. Rozniecając machinalnym ruchem mieszka,

dopalające się głównie, rozpoczął na nowo przerwana na chwilę rozmowę.

— To niesłychane! niepojęte! Cały świat wprowadza to w podziwienie — mówił z zapalem pan Stefan.

— Świat cały? — bardzo obojętnym głosem powtórzyła młoda kobieta — zaręczam, że ciebie tylko.

— Przypuśćmy więc, że mnie tylko. Przyznaję się, że zrozumieć i pojąć tego nie mogę.

— Tak rzadko zatrzymujesz się i zastanawiasz nad tem co się mnie tyczy, że zadziwienie twoje w tym względzie] pochlebia mi prawdziwie. Domawiając tych słów, pani Helena nachyliła się nieco, wyszukując pomiędzy włóczkami potrzebnego jej koloru.

— Bardzo to uprzejme słowa z twojej strony, ale czy z równą uprzejmością zechcesz także mi powiedzieć, dlaczego uwagę twoją zwrócił właśnie hr. Karol, kiedy widzę tylu niezwykle miłych ludzi, krążących koło ciebie i ubiegających się jakby o największą łaskę, o jedno choćby spojrzenie twych pięknych oczu?

— Czy na prawdę mówisz? Nie wiedziałam o tem, jak równie nieznaną mi jest egzystencja niezwykle miłych ludzi. Ja niestety, zwykłych tylko spotygam.

— Jesteś bardzo wymagającą, wiem o tem i tem więcej mnie twój wybór zadziwia.

Mojem bowiem zdaniem, hrabia jest tak brzydki... tak głupi...

— Brzydkim być nie można — żywo przerwała Helena — gdy się ma takie oczy i

uśmiech taki jak on, a głupim także nie wypada nazwać człowieka, który cudzy

rozum odkryć i ocenić potrafi. Tobie naprzykład, oddaje on zupełną sprawiedliwość, na co twoi najlepsi przyjaciele, zazdroszcząc zapewne twego

miłego i tak subtelnego rozumu, nigdy zdobyć się nie potrafią.

— Dziękuję za komplement — z trochę ironicznem skinieniem głowy, odparł Stefan.

— O ! wiesz że komplementów nikomu, nigdy nie mówię. Sprytem twym, inteligencyą

świat czarujesz, zdanie moje tylko oklepane wydać ci się może.
— Wcale nie, ale jeżeli jesteśmy w toku wypowiedzania sobie tak miłych prawd,
pozwól bym ci nawzajem powiedział, jak bardzo cenię i podziwiam
twa niesłychaną
łatwość w prowadzeniu i podtrzymywaniu każdej rozmowy. W
dzisiejszych czasach,
kobiety już nie umieją rozmawiać, jesteś pomiędzy nimi świetnym
wyjątkiem.
Rozmowa, tak jak ją pojmuję, była jednym z miłszych i cenniej-

szych uroków życia, niestety i ten wypadnie nam wkrótce zupełnie
stracić!

Po sekundzie wahania i jakby namysłu:

— Czy pozwolisz mi dzisiejszy wieczór z sobą spędzić? — spytał
Stefan.

— Bardzo chętnie i wszelkich starań dołożę, aby ci nie najgorzej
przeszły

chwile, które mi raczysz poświęcić — odpowiedziała Helena.

— Czy na prawdę nie przeszkadzam ci w niczem?

— W najmniejszej rzeczy.

— Może spodziewasz się kogo? — pytał jeszcze Stefan.

— Nikogo się nie spodziewam, a w każdym razie wątpię, aby
obecność twoja tutaj,

kogokolwiek odstraszyć mogła. Zresztą, nie myślę, aby na ten
okropny czas

komukolwiek wyjeżdżać się chciało.

Jakby na stwierdzenie tych słów, wiatr z nową furją uderzył w okna, a
deszcz

strumieniem spłynął po szybach i znów zrobiło się cicho, tylko z ulicy
dochodził

turkot przejeżdżających powozów, a w pokoju słychać było syczenie
dogasającego

na kominku żaru.

— Czybyś to uważała za wielką z mej strony niedyskrecję —
zagadnął po chwili

milczenia Stefan — gdybym sobie pozwolił zadać ci kilka pytań?

— I owszem, bo inaczej nie' wiem prawdziwie, czym zapełnilibyśmy ten wieczór?

— Czem? Ty mogłabyś mi dawać zapytania, a ja w moich odpowiedziach starałbym się stwierdzić co tylko wypowiedziane, a tak pochlebne o moim rozumie, zdanie.

— Stanowczo nie — po raz pierwszy spoglądając na niego, odrzekła młoda kobieta.

— Nie miałabym się o co pytać. Dawno temu — dodała poważniej — odpowiedziałeś mi już kategorycznie na wszystkie zapytania, którebym ci kiedykolwiek zadać mogła lub pragnęła.

— Niezbyt to dla mnie pochlebne. — Trzeba mi się więc ograniczyć na zadawaniu pytań, kiedy mi się tylko pytać wolno.

Pan Stefan uśmiechnął się lekko, odłożył trzymany dotąd w rękę mieszek i zbliżył się o parę kroków do żony. — Powiedz mi — rzekł — co to jest miłość?

Pytanie to zadziwiło ją trochę, ale nie przerywając roboty i bez dłuższego namysłu: Mojem zdaniem — odpowiedziała — miłość jest naprzód niewyczerpanym tematem powieściopisarzy, następnie dziewczęcym marzeniem, a ostatecznie — rozczarowaniem kobiety.

— Bardzo ładne ale zarazem smutne określenie. A czybyś mogła, a raczej chciała mi powiedzieć jak się miłość budzi?

— Zdaje mi się że już o tem zapomnieć musiałam, ale to pamiętam doskonale, jak usypia... i umiera.

— A! a zechcesz mi to opisać?

— Najchętniej. Czy mam moj opis w kilku zamknąć słowach, czy też mogę wyobraźni mojej pozwolić bujać swobodnie?

— O proszę cię, udziel jej jak największej swobody.

Pan Stefan zapalił papierosa i plecami obrócony do kominka, patrząc w niebieskie

obłoczki unoszącego się dymu, z uwagą zamierzał słuchać opowiadania. Helena

złożyła robotę na kolanach i z uśmiechem, którego, z wzrastającym wyrazem powagi

na twarzy, długo zachować nie miała:

— Dzieje się to tak — rzekła. — Pewnego poranku wstaje się dziwnie znużoną,

smutną, z załzawionemu oczyma i sercem; dzień cały spędza się jakby na szukaniu

czegoś, co się uważa za stracone, a czego się przecież odnaleźć spodziewa, bo

się odnaleźć pragnie! Czuje się samotną, bardzo samotną... i bardzo nieszczęśliwą! Najmniejszy ruch w domu, szelest najlżejszy dziwnie nas przeraża

i drzeniem przejawia, a kiedy mrok zapada i szara nadejdzie godzina, siada

się... przypuścimy, że przed tym kominkiem — dodała, wskazując ręką przed siebie

— i patrząc

w przygasły ogień, dziwne się w nim rzeczy widzi. Całą przeszłość, tysiące

wspomnień, obietnic tyle, tyle marzeń! A gdy przypadkiem oczy się podniesie, to

przed niemi przelatują tylko cienie tego wszystkiego, co miało być

rzeczywistością... w wyobraźni naszej. Uciekając przed temi cieniami,
patrzy się
na zegar i ufa się jeszcze i niemą prośbą błaga się wskazówek, by szły
wolniej
... coraz wolniej ... Ale one posuwają się ciągle. Jedenasta bije... bije
wpół
do dwunastej... nareszcie północ wybiła! Dźwięk brzmi przeciągle i
cichnie
zwolna, a razem z nim milknie i kona coś w sercu. Mówią, że to
nadzieja, a
wiesz, że miłość bez niej żyć nie umie... Opisuję ci dzień jeden tylko,
ale ten
stan duszy przeciąga się, trwa tygodniami całymi, miesiącami nawet
nieraz.
Jestto rodzaj kryzysu, po którym jest się tak zmienioną, że samą siebie
poznać
trudno. Zdaje się, jak gdyby wszystko, co było dobrego i szlachetnego
w sercu,
uleciało wraz z iskierkami kominkowego ognia. Nagle uczuwa się w
sobie budzące
się pragnienia, nieznaną dotąd potrzebę zabaw, świata, hałasu i tłumu;
rzuca się
w ten wir szalony, wraz z nim się śmieje i zdaje się, że się czuje
zadowoloną,
nazywa się siebie szczęśliwą i powtarza to sobie nieustannie, by w to
samej
ostatecznie uwierzyć. Kiedy po

dłuższym takim gorączkowym rozbawieniu, powraca się do
zwykłego trybu życia,
powiada się sobie, że się było chorą i że się napowrót zdrowie
odzyskało, a
znajdując się zawsze przy tym samym kominku, czuje się spokojną
niby, tylko
starszą, rozsądniejszą i płakać się już nie umie nad gruzami
zawalonego gmachu.

Tak zdaje mi się, miłość umiera. Krótkie to podobno i dosyć zwykłe konanie, ale

mimo tego, boli ono — nieraz bardzo boli.

— W opowiadaniu twojem — rzekł Stefan — łez się czuje wiele, a o tych najmniej

wzmiankujesz.

— Ach łyzy! Wylewa się je czasem, ale się o nich nie mówi. Zresztą, gdy obeschną,

cóż po nich zostaje?...

— Raz jeszcze cię proszę, powiedz mi jak się rodzi ta miłość, która w ten sposób

umiera?...

Helena zaśmiała się urywanym, nieszczerym śmiechem:

— Jakieżto śmieszne — rzekła — że ty mnie pytasz o wytłómaczenie ci rzeczy, z

którą tak dobrze obznajomiony być musisz, bo któż lepiej od ciebie znać może te

brzaski uczucia?

— Złóż na karb dziwaczego, niczem nieusprawiedliwionego kaprysu tę moją

ciekawość,

ale jako uprzejma pani domu, skłoń się do tak usilnej prośby gościa.

— Ależ mój Boże! czyż ja wiem — z lekkim zmieszaniem odparła młoda kobieta — to

takie zwykłe!

I nagle odzyskując całą pewność siebie, mówiła jakby pod wpływem wspomnienia:

— W dzień ciemny i dżdżysty pokój wydaje nam się pełen światła i blasku

słonecznego. Czujemy w koło siebie jakby woń miłą i upajającą! Ręce niezdolne

zająć się żadną robotą, w każdej sukni nam do twarzy, a serce, zdaje się, że

odzyskało skrzydła swych lat piętnastu, tak silnie jak niegdyś w piersi uderza... niby tańczy... niby tańczy... niby śpiewa... bo kocha!

— Tak zapewne obudziła się twoja miłość dla hrabiego —
sarkastycznym tonem
zapytał Stefan — bo pierwszej miłości tym opisem nie mogłaś chcieć
przedstawić....
— Ach! mój drogi — przerwała Helena — pierwsza miłość jest
zazwyczaj świętą,
śmieszna lub ... wstrętną! O tych rzeczach nie mówi się nigdy!
— Ale powiedz mi, czy tak rzeczywiście obudziła się twoja miłość dla
hrabiego?..
— Hrabia nie obudził we mnie miłości.
— Więc cóż obudził?

— Pytania twoje stają się badawczymi, ale nie mam nic przeciw temu
i chętnie im
się poddam. Hrabia obudził... wiesz — dodała, spokojnie nawlekając
igłę — sama
nie wiem co..
— Więc jakieś uczucie nieokreślone?
— O nie ! Już wiem... wiele sympatyj...
— Dlaczegoż nie powiesz od razu wiele przyjaźni? to uczucie bardzo
modne i
jaśniejsze zarazem. Przyjaźń jest dla was tem, czem są, te długie
okrycia, które
nosicie obecnie. Zasłaniają was zupełnie i przed wszystkim chronią,
toalety i
uczucia dążą widocznie do wygody.
— Zupełnie odróżniam sympatyę od przyjaźni...
— Co do mnie, nigdy nie rozumiałem, co właściwie oznacza wyraz
sympatya? Jaki to
jest rodzaj uczucia? Są słowa, których używamy, nie zdając sobie z
nich sprawy,
jedynie może dlatego, że są w użyciu.
— Sympatya — odpowiedziała Helena — jest uczuciem mniej
spokojnym niż przyjaźń a
spokojniejszym od miłości, której jest pokrewną.

— Chcesz po prostu powiedzieć — przysuwając sobie fotel, rzekł Stefan — że się zaczyna od sympatii, aby dojść do miłości ...

— Jest to w każdym razie najprostsza droga...

— A czy się ją prędko przebiega?...

— O! to od tysiąca rzeczy zależy. Najprzód od jakości przyborów podróżnych...

— A te powinny być?...

— Pełne iluzyj...

— O te nie trudno... tych najmniej w życiu braknie. Jeżeli się jedną iluzję straci na rogu ulicy, można być pewnym, że na rogu drugiej znajdzie się inną...

— Że się znajdzie inną, to możliwe, ale nigdy tej, którą się straciło. Jedynej

może rzeczy, której w życiu odzyskać nie można, to właśnie straconych iluzyj.

Gdybyśmy je wszystkie zachować mogli, moglibyśmy także wiecznie młodymi pozostać.

— Ładna myśl i ładnie wypowiedziana. Na seryo, nie znam kobiety, z którąby milej

gawędzić można. Ale znajduję cię dziś tak niezwykle dobrze do szczerości

usposobioną, że zrozumiesz zapewne, iż pragnę z tego wyjątkowego usposobienia

skorzystać, aby się dowiedzieć, czy na tej prostej i krótkiej drodze, wiodącej

od sympatii do miłości, daleko już zaszłaś?...

— Na wpół drogi — bez namysłu odpowiedziała p. Helena.

— A! — wstając gwałtownie z miejsca, rzekł Stefan — i myślisz?!...

— Nie myślę wcale...

— Bo jak się już jest w połowie drogi, idzie się zazwyczaj dalej...

— Najczęściej.

— A czasem?...

— Wraca się.

Nastała chwila milczenia, po której Stefan, zbliżając się do żony, zniżonym

zapytał głosem:

— Cóżbyś zrobiła Heleno, gdybym cię dzisiaj prosił, byś zawróciła z tej drogi?

— Zdziwiłabym się niesłuchanie — spokojnie odpowiedziała młoda kobieta.

— Ale cóżbyś zrobiła, gdybym cię o to... błagał?

Helena spojrzała na męża, jednym z tych przelotnych a wymownych spojrzeń, które

wiele rzeczy przypominają temu, na którym spoczna. Trochę nerwowym ruchem

rzuciła robotę na stół, wstała i zbliżyła się do kominka. Tutaj, wsparta o

wystającą, marmurową płytę:

— Przypomniałabym ci — wolnym rzekła głosem — że naruszasz tą prośbą układ,

przez ciebie samego podany, do przyjęcia którego zniewoliłeś mnie poniekąd.

Kiedyś, dawno temu, układ ten wydał mi się barbarzyńskim...

wstrętnym... Nie bierz mi tego za złe, byłam wtedy tak młodą ... Dziś inaczej

się nań zapatruję i pragnę zachować tę obopólną wolność, której żądałeś wówczas

w własnym tylko interesie.

— Rozumna kobieta podobnych układów nie może brać na seryo ...

— A?... — z niewesołym uśmiechem odparła Helena — jeżeli rozumny człowiek

podobne układy tak seryo w czyny zamienia...

— Wiem, że zanadto jesteś rozumną... wtrącił Stefan.

— Bym choć na chwilę myśleć mogła — przerwała mu Helena — że na progu tego pokoju nie odnajdziesz illuzji lepszej nad tę, którą co tylko przy tym kominku straciłeś. Do widzenia... — dodała, zegnając go zimnem skinieniem głowy i znikła po za jedwabną kotarą, zwieszającą się u drzwi. Pozostawszy sam, Stefan, szybkim krokiem chodząc po pokoju, zamyślił się głęboko. Zdawało mu się, że się zachował jak student, że dyplomacya, w którą się uzbroił, wchodząc do salonu żony, pełnym lotem go odleciała. Czuł, że Helena od razu pojęła, i to jaśniej i lepiej od niego, o co mu właściwie chodziło. Był zazdrosnym o hrabiego i to uczucie wydało mu się śmiesznem, ale pomimo tego, istnieć nie przestawało.

Myślą powracał do przeszłości i terażniejszość wydała mu się dziwną i niezrozumiałą. Za ledwo sześć lat temu, ożenił się z Heleną z prawdziwej miłości. Po roku pożycia, byli względem siebie tem, czem byli dzisiaj, to jest, jednym z tych małżeństw przyzwoitych ale obojętnych, prawie sobie obcych. W przeciągu jednego roku, znudziła go, zmęczyła i zobojętniała mu zupełnie ta sama kobieta, która dzisiaj, jak przed sześcioma laty, przyozdobiona była w oczach jego wszelkimi powabami. Historia jego małżeństwa, jeżeliby kiedykolwiek na myśl komu przyszło ułożyć ją w powieść, powinnyby nosić tytuł »Pomyłka«, bo też

dziwnie się omylił. Młoda dziewczyna w której się zakochał,
wydawała mu się
kobietą skończoną, chłodną i obojętną; w żonie znalazł istotę gorącą i
dziecinnie w nim zakochaną. Oddała mu się całym sercem od razu.
Kochała go
zanadto i serce tego zepsutego powodzeniami światowca, obojętniało
w miarę, jak
jej przepełniało się miłością.
Są mężczyźni którym wystarcza niczem niezamącony spokój
małżeńskiego pożycia,
następujący po najgwałtowniejszej, więdnącej już miłości. Stefan nie
należał do
rzędu tych ludzi szczęśliwych i lepszych. Młodą żonę zaniedbywał z
początku,
niebawem opuścił

zupełnie i przez lat pięć prowadził szalone życie tegoczesnej
młodzieży.
Szalone, gdy się je widzi z daleka, gdy nas tylko echa jego dochodzą,
bo w
gruncie nie jest ono niczem więcej, jeno lichą komedią, graną przez
złych
aktorów, którym nawet prawdziwej, szczerzej wesołości brakuje.
Znudzony temi
sztucznymi rozrywkami Stefan, uległ z czasem jakiejś
niewytłómaczonej sile,
prowadzącej go napowrót do opuszczonego domowego ogniska, a
odzyskawszy dawne
przyzwyczajenia, wracały mu do serca dawne uczucia. Spostrzegł się
wówczas, jak
całkowicie zmienioną była ta kobieta, której jedyną było winą, że go
prawdziwie
kochała. Po pięciu latach, odnajdywał w własnej żonie kobietę, którą
kochał
niegdyś i mówiąc prawdę, nie wątpił o możliwości wznowienia tego
uczucia. W tem

przypuszczeniu zanadto był może zarozumiały i niebawem przekonał się o tem, spostrzegłszy, że między nim a żoną stanął hrabia. Pewnego wieczora zastał go na tem samym miejscu, które sam dzisiaj zajmował i łatwo mu przyszło odgadnąć, jakim to miejsce i ten pokój były uroczym przystankiem dla Karola. Hrabia kochał się w jego żonie, o tem Stefan ani chwili nie wątpił, a co gorsza, kochał się już od dawna, szczerze i prawdziwie. Po rozmowie z żoną przychodziło mu zadać

sobie pytanie niemiłe zaiste, jakimi też były uczucia Heleny względem hrabiego? Choć niechętnie, ale przyznać musiał, że wydała mu się bliską zakochania się, jeżeli nawet już zakochaną nie była! Z doświadczenia wiedział, że czasami nad kłamstwo kobiet, kłamiwszą bywa ich szczerłość. W sympatyj, do której się przyznawała, odkrywał miłosne tchnienie i obojętne przez lat tyle małżonka dziwnie zasmuciło to spostrzeżenie. Zatrzymał się na chwilę i patrząc w przygasły ogień układał sobie taktykę, której miał zamiar trzymać się nadal. Te myśli rozweseliły go trochę, bo rola współzawodnika, którą zamierzał przyjąć na siebie, jak na męża, dosyć była zabawną. Przekonany, że hrabia kochając się w Helenie, rozmaitemi sposobami przypodobać się jej stara, postanowił ubiegać się z nim o jej względy. Szansę hrabiego były niezaprzeczenie większe, obecną pozycję zajmował co najmniej od roku, a Stefan

miał ją zdobywać dopiero, w dodatku ciążyły na nim winy przeszłości, od których tamten był wolny. Po raz pierwszy na seryo się nad niemi zastanowił i uznał, że nie były one tak nic nieznaczące, za jakie dotychczas zwykł był je uważać. Pomimo tego postanowił zaraz od jutra rozpocząć kampanię rywalizacji.

We dwa tygodnie po owej rozmowie małżonków, zastajemy p. Helenę samą w salonie. Młoda kobieta, na wpół leżąc, trzyma w ręku książkę, której czytanie co chwila przerywa. Spogląda na zegarek, którego wskazówki do trzeciej dochodzą godziny; wzrok jej nabiera wtenczas jakiegoś niespokojnego wyrazu, który zmienia się niebawem w dziwnie łagodne, rzewne niemal spojrzenie, z jakim jej oczy zatrzymują się długo na ogromnym koszu z białego bzu, który koło niej na stole stoi. Hrabia Karol powróciwszy do W. po kilkudniowej nieobecności, zapowiedział dnia tego swą wizytę i po raz pierwszy odkąd u niej bywał, a zdarzało się to od lat kilku codziennie niemal, młoda kobieta czuła się niesłychanie wzruszoną, na myśl spotkania się z nim, to też im więcej zbliżała się godzina, o której zwykł przychodzić, tem częściej rumieniec twarz jej oblewał, tem łagodniejszym spojrzeniem obdarzała kosz kwiatów, a równocześnie układała sobie w myśli, nie po raz pierwszy zapewne, to wszystko, co dzisiaj powiedzieć mu miała. Naprzód,

chciała mu dać do zrozumienia, że ciągle dowody jego pamięci więcej ją bolały niż cieszyły. Parę dni temu, w chwili gdy rozmowa pomiędzy nią, Karolem i mężem szła oporem, powiedziała, ot tak, żeby coś powiedzieć, że

lubi białe bzy. Odtąd co rano, zastawała w swym pokoju kosz tych kwiatów. Mogły one tylko od hrabiego pochodzić, a to ustać było powinno... ustać wraz ze wszystkim innym. Helena spojrzała raz jeszcze na wonne gałązki, zwieszające się w całym przepychu swej białości na stół i patrząc na nie, zadumała się głęboko.

Wszak prawdę mówiła tego wieczora, w którym przyznała się Stefanowi, że tylko wiele sympatii czuje dla hrabiego. Mówiła prawdę wówczas, dzisiaj przekonywała się, jak dziwnym zmianom uczucie sympatii w krótkim czasie uleże może. Tak pewną była przecie, że jej serce już jest obumarłe, że wiecznie jednemu tylko uczuciu wiernem pozostanie, że wspomieniami przeszłości wypełnić potrafi resztę życia.

Gdy się znalazła opuszczoną, samotną prawie, tem wzgardzonym uczuciem otoczyła się jakoby pancerzem i w obec świata postawiła się nie tylko jako uczciwa kobieta, bo takim świat zwykle niedowierza, ale jako zakochana w mężu, który ją opuszcza. Kobieta zakochana nie istnieje dla tej odrębnej rasy ludzi, których rzemiosłem, do którego zresztą chętnie się przyznają, jest, jeżeli tak wyrazić się można, dobijanie konającego szczęścia obojętnych lub też zubożniałych dla

siebie małżeństw. Udawała się jej ta komedia przez lat cztery, lecz

potem ... Czyżby jej pancierz stracił na hartowności?... nie wiedziała,
ale

miłość innego człowieka jakimś nieznanym dotąd urokiem

bezwiednie otoczyła jej

życie. Urok ten wzrastał, potężniał... i póki czas było jeszcze po temu
przerwać

go było potrzeba. Jej dzisiejsza rozmowa z hrabią, musiała być
stanowczą, a choć

serce jej drżało na myśl powziętego postanowienia, zmienić go nie
chciała. Tak

dla niego jak dla niej, czas już było przebudzić się z tego upajającego
snu

złudzeń... Wyjęła jedną gałązkę bzu i patrzyła na nią oczyma, w
których łzy

zabłyły.

— Moje biedne, drogie kwiateczki — szepnęła. — Kochałam was
bardzo ... ale on o

tem wiedzieć nie będzie!

Wtem służący zaanonsował hrabiego. Twarz młodej kobiety

zarumieniła się i

zbladła, ale żywo podniosła się z kanapy i podając rękę wchodzącemu
gościowi,

zwykłym powitała go uśmiechem.

— Muszę naprzód podziękować panu — rzekła, wskazując na bzy —
za te śliczne

kwiaty, którymi mnie co rana obdarzasz, ale proszę zarazem...

— Zawstydzasz mnie pani — przerwał hrabia — ale przyznać się
muszę, że nie

ośmieliłem się przysyłać pani żadnych kwiatów.

— Czy na prawdę? Jakżesz mnie to cieszy! — zawołała Helena, z
bardzo szczerem

wyrazem zadowolenia w głosie — bo właśnie — dodała, wskazując hrabiemu fotel —
miałam zamiar zrobić panu pełno ostrych wymówek.
— Ostrych wymówek? — z uśmiechem powtórzył hrabia, siadając na wskazanem sobie
miejscu. — Tych dla mnie nigdy nie braknie, natomiast przekonany jestem, że ten
który na nie zasłużył, pewno ich nie otrzyma. Jesteś pani tak surową dla mnie a
dla reszty ludzkości zachowujesz istne skarby pobłażliwości. Czy to sprawiedliwe?
— Jak byłam dzieckiem — wesoło zaczęła Helena — mówiono mi, że zupełnie obojętną
jestem tym osobom, które mnie nigdy nie napominają, a przeciwnie te, które mnie
bezustannie karzą, kochają mnie bardzo. To rozumowanie wydało mi się wówczas
strasznie niedorzeczne, ale miałam zaledwo lat sześć. Czyżbyś pan miał lat sześć
dzisiaj? — dodała z uśmiechem.
— Być może — odparł hrabia, którego żartobliwość Heleny nie rozweselała wcale. —
W ogóle — dodał, pocierając ręką czoło, z gestem człowieka przykremi dręczonego
myślami, — od dłuższego już czasu o jednej tylko wiem rzeczy.

— Jak się wie o jednej tylko rzeczy — chcąc koniecznie rozmowę w żartobliwym
tonie utrzymać, zawołała Helena — zna się ja. zazwyczaj bardzo dobrze.

— Niestety — odpowiedział Karol — znam ją aż nadto dobrze.

Mówmy szczerze —

dodał — dowcipne żarty zostawmy dla obojętnych i szczęśliwych. Ja do ich rzędu
nie należę.

— Co się panu stało ? — poważniejąc nagle, zapytała Helena.

Hrabia objął ją wymownym spojrzeniem. Oczy młodego człowieka zdradzały głębokie przywiązanie i ciągle na nią patrząc: — Zrozpaczony jestem, pani — rzekł zwolna i cichszym niż zwykle głosem — za wiele liczyłem na moje siły i zwalczony jestem...

Helena wstała, zbliżyła się do hrabiego i opierając się o poręcz jego fotelu :

— Co panu jest? — zapytała łagodnie — nie poznaję pana dzisiaj.

Hrabia zakrył twarz, wspartą na kolanach ręką i bardzo cichym, bardzo łagodnym głosem, rzekł:

— Kocham panią!

— Wiem o tem — odrzekła spokojnie Helena.

— I pani mnie nie wypędzasz? — zawołał hrabia. Głos jego drżał lekko, ale głowy

nie podniósł, nie spojrzał na nią, tylko w tej samej zawsze siedząc pozycyi, na odpowiedź czekał.

— Powinnabym była może wcześniej to uczynić — wolno odpowiedziała Helena —

jeżeli źle postąpiłam, nie rób mi pan wymówek, bo sama tego żałuję. Sądziłam, że

to niepotrzebne ... Wiedziałeś pan, jaką kobietą byłam... i być nią nigdy nie

przestanę... W czasach, w których nie odczuwałeś dla mnie nic więcej prócz

odrobiny tej banalnej litości, którą życzliwi zwykli obdarzać nieszczęśliwe

kobiety, mimowolnie zdradzić się musiałam z mojami uczuciami.

Widując mnie

częściej i poznając lepiej, przekonać się pan mogłeś o prawdzie słów moich.

Myślałam, że nie można już pokochać kobiety, jeżeli się wie, iż jej serce

zajęte, myślałam, że ta pewność ochroni cię od wszelkiego innego uczucia, krom

od uczucia przyjaźni, które jedynie za możliwe pomiędzy nami uważałam...

— W jakim celu mówisz to pani? nie wątpisz, iż wiem o tem i wiesz także, że

nawet myślą nie obraziłem cię nigdy i w niczem. Nigdy żadna nadzieja, żądza

żadna nie przyprowadzała mnie tutaj. Marzyłem, szalenie może, ale uczciwie,

marzyłem o możliwości stworzenia sobie szczęścia odrębnego od szczęścia ogółu.

Wydało mi się, że będzie

ono zupełnie, jeżeli mi tylko wolno będzie widywać panią i kochać ją tajemnie.

Tymczasem ... tracę cię tylko!...

— Trzeba o mnie zapomnieć — mniej już pewnym głosem mówiła Helena — a

odnajdziesz mnie pan kiedyś taką, jaką zawsze w oczach pana i dla niego być

chciałam. Wierzaj mi pan — dodała z ożywieniem — kochanki ma się zawsze na

zawołanie, o przyjaciółkę trudniej. Jest chwila w każdym życiu ludzkim, w

której się potrzebuje wiedzieć, że jest, choć daleko może, ale jest przecie

serce, które nam jest szczerze i prawdziwie oddane... Jeżeli taka chwila i na

ciebie przyjdzie, pamiętaj pan, że tutaj będziesz zawsze mógł uścisnąć rękę

prawdziwej przyjaciółki, a może miło ci także o tem będzie pomyśleć, że jest to

zarazem ręka uczciwej kobiety.

Helena umilkła, hrabia wstał i biorąc w swe dłonie obie jej ręce,
patrzył na nią
długo, jak gdyby chciał jej rysy wyryć na wieki w swojej pamięci.
— Nie wiele miałem pragnień — rzekł wzruszonym głosem — nie
wiele też marzeń w
życiu, a przecie i te wypada mi stracić, przekonać się, że były
dziecinne, do
ureczywistnienia niemożliwe, szalone, skoro nadeszła chwila, w
której mam
powiedzieć ubóstwianej kobiecie: »Żegnam cię«, a: »Do widzenia«

przyjaciółce, której sercu kiedyś..., gdy się jej godnym stanę, może
przypomnieć
się przyjdę...
— Do widzenia — powtórzył, przyciskając usta do jej ręki.
— Do widzenia — drżącym głosem odrzekła Helena. — Kiedy mi już
i pana zabraknie,
ciemno zrobi się w moim życiu. Jeżeli w niem jaśniejszy promyk
odkryję,
zawdzięczać go będę jedynie spełnieniu obowiązku i pańskiej
szlachetności... Do
widzenia, mój przyjacielu.
U drzwi zaszeleściła portyera. Przez chwilę dochodził ją odgłos
kroków Karola,
potem tylko szmer lekki. .. potem nic... głucha cisza zaległa dokoła.
Młoda
kobieta stała czas jakiś nieruchoma, patrząc w kierunku zamkniętych
drzwi,
nareszcie przecierając oczy białymi paluszkami:
— Skończyło się — szepnęła półgłosem. — Wszystko co było jeszcze
świeże, jasne,
promienne w moim życiu, uleciało na zawsze... Żegnam cię
szczęście, do którego
nie miałam prawa! Zostały mi tylko wspomnienia po tobie, czyżby
naprawdę miały
być trwalszemi od uczucia, które je zrodziło?...

Zbliżyła się do stołu a nachylając się nad kwiatami, zamyśliła się smutnie. Nie były one od niego... ale mimo to miały jej zawsze

przypominać jego tylko i ważną epokę jej życia. Co roku mogła z tem samem błogiem, choć smutnem uczuciem, jakim jej serce dziś było przepelnione, patrzeć na rozkwitający kwiat, ulubionego odtąd białego bzu... I znowu z nieubłaganą jednostajnością czasu minął tydzień jeden i drugi. Pewnego popołudnia, chcąc skorzystać z niezwykle pięknej pogody, Helena zamierzała przejechać się trochę. Służąca podawała jej właśnie kapelusz, kiedy lokaj przyszedł ją zapytać w imieniu Stefana, czy mógłby zaraz się z nią widzieć. Kazała prosić, odesłała służącą i zdejmując rękawiczki zastanawiała się nad możliwym powodem tych, o tej porze niezwykle odwiedzin męża. — Przepraszam cię — rzekł Stefan wchodząc — widzę że miałaś zamiar wyjść. — Wybierałam się tylko na spacer, który mogę opóźnić — odpowiedziała Helena. — Może usiądziesz — dodała, siadając sama. — Mam do ciebie polecenie, z którego obiecałem się wywiązać i dziś jeszcze zanieść twoją odpowiedź, dlatego chciałem cię zaraz widzieć. — Polecenie do mnie?... Cóż to takiego?...

— Wiesz — zaczął Stefan — że marzeniem księżnej Lizy, jest urządzić u siebie na przyszły tydzień bal kostiumowy. Wiele osób przyrzekło jej już swój współudział;

prosiła mnie o nakłonienie ciebie, byś się do ich grona przyłączyła.

— Bardzo mi dobrze dać księżnie odmowną odpowiedź, ale nie będę na tym balu.

— Dlaczegoż tak stanowczo odmawiasz?...

— Bo nigdy nie lubiłam kostiumowych zabaw, ale nie widzę przyczyny, dla którejbym teraz gust ten zmienić miała.

— Okropnie się poważną robisz — zawołał Stefan. — Biedna księżna Liza będzie w

rozpaczy, bo liczyła na ciebie do hiszpańskiego kadryla. Zewsząd ją zawody tylko spotykają, bo...

— A ! — przerwała mu nagle Helena — mam ci podziękować za bzy, którymi mnie już

od tak dawna obdarzasz. Dopiero wczoraj, dzięki niedyskrecyi twego strzelca,

dowiedziałam się, z kąd pochodzą.

— Mówiłaś kiedyś że je lubisz i prawdziwą miałem przyjemność w ofiarowaniu ci

ich. Więc nieodwołalnie odmawiasz księżnie ?

— Nieodwołalnie. Ale proszę cię, oświadczyć jej moją odmowę w najgrzeczniejszy sposób, gdyż nie chciałabym jej urazić.

— Zmartwi się, bo jak ci mówiłem na pewno liczyła na ciebie. Ale a propos, czy

to prawda, że hr. Karol nie wraca już tej zimy do W.? "Wyobraź sobie że

obiecował olśnić nas na tym balu, strojem granda hiszpańskiego.

»Carre« już było

prawie uformowane, wtem księżna dostaje list od niego z uwiadomieniem, że na

balu jej być nie może, bo w dłuższą wybiera się podróż. Nikt o tym projekcie nic

nie wiedział. Co w tem jest prawdy? Bo przecież musiał się z tobą pożegnać?

Nim Stefan skończył mówić, Helena wstała z fotelu i przekładając coś na stole w głębi pokoju :
— Pożegnał się — rzekła — bo rzeczywiście w dłuższą wybiera się podróż. Czy nie myślisz — dodała, chcąc widocznie rozmowę na inne zwrócić tory — że powinnabym sama powiedzieć księżnie, jak mi przykro że jej robię zawód?
Tymczasem Stefan wstał także i zbliżył się do żony, która bezwiednie rozkładała i składała trzymany w ręku wachlarz.
— Nie chciałabym jej urazić — ciągnęła dalej młoda kobieta, trochę urywanym i prędkim tonem — ona zawsze tak uprzejma, tak dobra dla mnie. Powiedz jej... albo nie, pojedę sama, tylko muszę się spieszyć, bo

później jej nie zastanę. Zwykle o trzeciej wyjeżdża.
— Masz jeszcze dosyć czasu — zatrzymując ją ruchem ręki, rzekł Stefan — nie wychodzi dzisiaj zupełnie.
— Więc to prawda? — dodał, po krótkim milczeniu — hrabia wyjeżdża?
— Wyjeżdża — krótko odpowiedziała Helena.
— A ty? zapytał Stefan.
— Ja?... Spojrzała na niego i uśmiechnęła się smutnie. — Ja — powracam.
— A cóż ci przeszkodziło pójść dalej drogą sympatyj — do miłości? Pani Helena zamyśliła się trochę.
— Coś — rzekła nareszcie — czego usunąć bezkarnie nie można, z czym spotykasz się może częściej w życiu, niż to nawet przypuszczasz. Jest to poprostu —
uczciwość kobieca i poczucie obowiązku.
Domawiając tych słów, spuściła głowę.

Stefan patrzył na nią długo tem samym wejrzeniem, na jakie dawniej serce jej było.

— Czy mi pozwalasz — zapytał, biorąc ją za rękę — zastąpić hrabiego na balu księżnej i — dodał ciszej — troszkę w sercu twojem?

— Staraj się — szepnęła Helena.

Rękę młodej kobiety, Stefan do ust przycisnął.

— Może zawieźlibyśmy razem księżnie naszą odpowiedź, jeżelibyś mi nie odmówiła miejsca w twoim powozie?

— Wiesz dobrze — z łagodnym odpowiedziała uśmiechem Helena, że to miejsce, opróżnione od lat pięciu, zawsze czeka na ciebie.

— Chodźmy — dodała i nie mówmy już o tem nigdy, może to najlepszy sposób zapomnienia ...

PROBOSZCZ Z SZETYNY.

Śliczna noc czerwcową zapalała w gęstych zaroślach ogródka, otaczającego plebanię Szetyńską, tysiące świętojańskich światełek, które, niby gwiazdki z nieba spadłe, migotały wolnym ruchem nisko po nad ziemią, po nad strumykiem wijącym się po ogrodzie i uciekającym ku wsi, położonej nieco niżej, jakby u

stóp swojego plebana.

Proboszcz Szetyński, sędziwy staruszek, siedział na wązkim ganku swego domu, i z rękami opartymi na poręczach słomianego fotela, rozglądał się dokoła. Jasność letniej, chociaż nie księżycowej nocy, padała na białą głowę staruszka, twarz poraną licznymi zmarszczkami, tchnącą wielką dobrocią i słodyczą bez granic, tym wdziękiem podeszłego wieku, jakim tak rzadko jednak lata piętnują bieg swój na twarzy ludzkiej. Oczy staruszka zatrzymały się dłużej na kościółku o niewielkich rozmiarach, który tuż za ogrodem strzelał ku niebu wysmukłą kopułą; na gwieździstym szafirze nieba rysował się czarny, żelazny krzyż tejże a to wyobrażenie

Męki Pańskiej, jakimś błogosławiącym wyrazem patrzyło na świat i ludzi. I

proboszcz uśmiechnął się do niego półuśmiechem starców, zawierającym tysiące myśli i wspomnień tysiące.

Chwila obecna i dzień dzisiejszy, usprawiedliwiały zadumę proboszcza. Dziś

bowiem upłynęło lat pięćdziesiąt, odkąd przybył do Szetyny, obejmując parafię swoją.

Lat pięćdziesiąt! pół wieku!

Lat tyle, ileż stanowi w dziejach ludzkości, a ileż więcej w życiu pojedynczego

człowieka? Tych lat pięćdziesiąt odnajdywał jakby zapisanych dokoła siebie;

każde drzewo rozkładające się dzisiaj rozłożystemi konarami, własną sadił ręką,

każdą cegielkę białego kościoła, własnym przemysłem i skrętnością wy dostał.

Była to mozolna praca, zużył na nią swe siły, dzisiaj wszystko było
skończone,
urządzone, gotowe, dla następcy. A rychło go mieć będzie, bo zużyte
siły
opuszczały go z dniem każdym, z każdą dobą czuł, że go mniej na
ziemi, że go
wyżej, tam, dokąd oczy jego, dusza i serce, tak często się wznosiły,
wola
Najwyższa powołuje. Następcą jego nie zostanie tej pustki, jaką on
zastał w
Szetynie, którą dźwigał lat pięćdziesiąt, dźwignął nareszcie i pokochał
całą
siłą pracy, trudu, mozolów,

rozczarowań, całą siłą uczucia, jakie Bóg w każde ludzkie serce
wlewa. Myśla
sięgał dalej, dalej jeszcze do czasów, w których młodzieniaszkiem
spoglądał w
życie, które przejrzał już dzisiaj, w których rwał się do kresu
dalekiego,
nieznanego, u którego stanął nareszcie.
Ręka staruszka podniosła się do czoła i przysłoniła oczy.
Jakże to dalekie te czasy, a jakże blisko niego stanęły tego wieczora!
Ujrzał napowrót po latach tylu modrzewiowy dworek, w którym się
wychował,
grabowym otoczony szpalerem, lipami wysadzaną drogę i pola, od
których zapach
kwiecia i brzęczenie owadów doleciały go nagle siłą wspomnienia,
przeniosły tam,
daleko w głąb kraju, o setki mil od miejsca, gdzie się obecnie
znajdował i
kazały odżyć życiem dawnym, dawnym cierpieniem, szczęściem
ubiegłym.
Będąc sierotą, wychowywał się u wujostwa. Wiedział, jak boli brak
ojca i matki i

dlatego serce jego przepełnione było litością bez granic dla dzieci,
którym Bóg
dał to miano, a rodziców im zabrał.
Obchodzono się z nim surowo zawsze, bezwzględnie nieraz, a w sercu
chłopaka, w
miarę łez wylewanych, rosła słodycz wielka tylko.

W tym całym modrzewiowym dworku była jedna istota, która mu
była szczerze
przychylną, stała mu się więc wszystkim na świecie. Tą była
jasnowłosa -
letnia Andzia, siostra jego cioteczna, trzpiot dziewczyna, ale serce
złote.
Chłopak całą duszą przylgnął do niej, a kiedy oboje dochodzili do
wieku marzeń,
jak nitka złota w smutne myśli chłopczyny wplotła się myśl jedna,
uczucie jedno
i jedna nadzieja.
Zaledwie się ten delikatny kwiatek, wyrosły w młodem sercu i młodej
głowie,
rozwijać zaczął, z warzyła go nielitościwie burza zwykłych zdarzeń
życia. Andzia
wyszła za mąż niespodziewanie bogato i świetnie ; płakała
dziewczynka nad tą
świetnością może, może i w jej sercu młody krewniak zajmował
pierwsze miejsce,
ale za mąż wyszła i osierociła modrzewiowy dworek. Z ludzi, nie miał
już nikogo
dla siebie na całym szerokim świecie, już teraz Bóg jeden mu
zostawał; zwracał
się też coraz częściej do niego, aż zwrócił zupełnie i w trzydziestym
roku
życia] zjeżdżał jako proboszcz do Szetyny. Wszystko, i za czym dusza
jego
tęskniła bezwiednie, danem mu było w jednej chwili.
Miał niedolę i nędzę do wspierania. Wziął się do pracy gorliwie z całą

wytrwałością gorącej duszy a uczuciem dziecka, którego nie

doznał, nie pamiętając matki, miłością dla siostry, dla narzeczonej, dla żony i

syna, temi wszystkimi uczuciami, których znać mu nie było danem, ukochał

parafię swoją, kościół i służbę Bożą. Znaną była dokoła pobożność proboszcza z

Szetyny, miłosierdzie jego i wpływ zbawienny, jaki wywierał na lud swojej

wioski.

Wkrótce po przybyciu jego do parafii, która dotąd odznaczała się tylko straszmem

zaniedbaniem kościoła, będącym raczej ruiną niż świątynią, począł myśleć o

restauracyi tegoż; funduszków nie było żadnych, na składki miejscowe liczyć nie

było można, proboszcz wyrobił sobie pozwolenie zbierania ich po kraju, szły one

lepiej niż się mógł spodziewać, ale o wzięciu się formalnem do roboty myśleć

jeszcze nie można było. Wtem dnia pewnego poczta przyniosła mu list obciążony

tak znaczną sumą, że ksiądz zaledwo oczom mógł uwierzyć.

Otworzywszy kopertę znalazł w niej oprócz pieniędzy, kartkę zawierającą tych

słów kilka:

»Na restauracyę kościoła, prosząc o modlitwę. Andzia.«

Przez przeciąg minuty proboszcz był człowiekiem tylko, coś na kształt wspomnienia czy żalu wdarło się do duszy, zadrzało w sercu, błysnęło w oczach.

Trwało to chwilę tylko,

ale tą chwilą nietylko lata ale pasmo składających się na nie uczuć
przeżył.
Oderwał się od owładającego go uczucia jak od pokusy, pobiegł do
kościółka i
ukłękłszy przed ołtarzem w gorącej zatopił się modlitwie.
Czy czynił zadość prośbie listu, czy u stóp ołtarza składał po raz
wtóry ofiarę
życia swojego?...
Nazajutrz rozpoczęto restaurację kościoła. W tej pracy mijają dni,
miesiące i
lata.
Dzisiaj była pięćdziesiąta rocznica tej pamiętnej chwili, a staruszka
dolatywał
jeszcze hałas walonych młotem murów, a w sercu jego odezwało się
to dawne,
pierwsze, rozkoszne drzenie, jakim przed laty hałas ten powitał.
— Jegomość tak siedzi a noc chłodna — przestroga ta wypowiedziana
stanowczym
choć łagodnym głosem, zbudziła proboszcza z zadumy. Podniósł
głowę, spojrzął na
starą gospodynię stojącą koło niego, uśmiechnął się.
— To nic Walentowa, to nic, przejdę się jeszcze trochę, bo noc ciepła.
Wstał z trudnością z krzesła, zawrócił do ogrodu, a obszedłszy go
dokoła jedyną
drogą, która się wiła pośrodku warzywa i drzew owocowych, stanął
pod rozłożystą
lipą i spojrzął przed siebie.
Jak na dłoni widać było wieś całą. Spała ona pośrodku łąk mgłą
pokrytych i
woniających.

Na wzgórzu kościół czuwał nad tętniącym w niej życiem, a dokoła
było oicho,
jasno, dobrze, tylko robaczki świętojańskie, nieznużone nocną swą
wycieczką,

świeciły jeszcze. Całe życie proboszcza spoczywało na tym małym
kawałeczku
ziemi. Całe życie — dzisiaj widział tylko jego świetlane strony.
Zapomniał o
czarnych godzinach — one były przebaczone, tak, jak winy ludzkie, w
obec niego,
dalekie i umarłe. Usta jego miały słowa pokoju tylko, serce
błogosławieństwo.
Nigdy jeszcze nie czuł w duszy tyle bezmiernej wdzięczności dla
Boga, którego
ręka przez ciernie i łzy zaprowadziła go tutaj, dając mu możliwość
smutki
pocieszać, cierpienia koić.
Oczy staruszka błyszczące łzami, wzniosły się ku niebu, a ręka robiąc
znak
krzyża w powietrzu, wraz z tym drugim krzyżem na kościele,
błogosławiła światu.
Tej samej nocy, zaledwie kogut na północ zapiał, ze strasznym
krzykiem: Pali
się! pali się! — przebudziła się wieś cała.
Paliło się gumno na probostwie, i zanim krzyk ten przeszedł z ust na
usta,
zapaliła się plebania, kościół, chata jedna po drugiej, i niebawem
część wsi,
przylegającej do kościoła, stanęła w płomieniach a gorący wiatr nagle
powstały,
rozdmuchiwiał ogień, szerzący się już z niesłychaną szybkością

w obec długo trwającej posuchy i wyjątkowo skwarne lata.
Wieśniacy, zajęci ratowaniem własnego mienia, przywołani krzykami
i szlochaniem
Walentowej, przybiegli w chwili, kiedy cała plebania stała już w
ogniu, niby
pochodnia gorejąca.
Z niebezpieczeństwem własnego życia, wynieśli ukochanego
proboszcza, niemogącego

się ruszyć z przestrachu i wrażenia, z grożącego zawaleniem się budynku.
Owiany świeżem powietrzem, oprzytomniał staruszek i kazał się posadzić pod drzewem, w pobliżu probostwa.
Bezsilny, czujący w tej chwili całe brzemie niemocy swojej, patrzył na straszne zniszczenie pożogi. Nie mówił, nie myślał, patrzył tylko. Są takie chwile w życiu ludzkim, które nam zrozumienie odejmują, nazwaćby je można błogosławieństwem cierpienia.
Nad ranem dopiero, kiedy już na wschodzie w rozkosznym brzasku ukazywało się słońce, zdołano ogień przytłumić; dał on się nareszcie ugasić, jakby zawstydzony zapalającym się na niebie majestatycznym płomieniem.
Pierwsze promienie słońca nieśmiało spojrzały na dzieło nocy. A straszne to było dzieło!

Długą, czarną, żałobną wstążką, zarysowało się probostwo i część wsi. Wszystkie budynki gospodarskie zamieniły się w kupę popiołów, murowana plebania stała bez dachu, z poczerniałą obwódką od ognia i dymu. Toż samo kościół, którego dach runął do środka w ten sposób, że po nad wiązanie krzyż się tylko wznosił, zgięty, połamany, ale wymownie jeszcze wznoszący ramiona, wołające o pomoc do Boga.
Ludzie stali z załamanymi rękami i posepną twarzą patrząc na dymiące, od czasu do czasu jeszcze iskrami strzelające zgliszcza.
Proboszcz, który przez cały czas pożaru siedział nieruchomy, gdy dzień nastał na

niebie i rozlał się słońcem i pogodą dokoła, zerwał się nagle i
chwiejnym
krokiem zbliżył się do stojącej opodal gromadki ludzi. Rozstąpili się z
uszanowaniem wieśniacy na widok starca. On stanął pomiędzy nimi,
obejrzał się
dokoła, a nareszcie wlepiając oczy w zniszczony kościół, w to dzieło
swoje, w
tyloletnią swoją pracę, cel całego życia, zachwiał się i głosem
niepewnym po
raz pierwszy wymawiając te słowa poddania: — Wola Boża ! —
rozplakał się
rzewnie.
Mimo nalegań swoich parafian, stanowczo odmówił proboszcz
przeniesienia się
gdzieindziej. Pozostał w swoim domu, w którym

powąła w jednym uttrzymała się pokoju, i obiecując, że zaraz nazajutrz
weźmie się
do pracy, zaczął od tego, że się położył do łóżka.
Na inne zajęcie sił mu dnia tego nie stało.
Po południu wysłał domowników na nieszpory do wsi sąsiedniej, —
był to bowiem
czwartek, w oktawę Bożego Ciała. Pozostała tylko i to wbrew jego
woli gospodyni,
która od czasu do czasu przez drzwi uchylone zaglądała , powtarzając
za każdym
uchyleniem drzwi pytanie:
— Co też Jegomość robią?
Jegomość spoczywał. Nie czuł się chorym, ale bardzo, bardzo
zmęczonym. Dziwne to
było zmęczenie. Członki czuł w sobie zdrowe, tylko coś silniejszego
od członków
ciała, coś co nimi kieruje osłabło i gasło jak dogasająca lampa.
Smutno mu było, smutno i tęskno w tym odymionym pokoju,
świadczącym wymownie
o klęsce nocy, którą czuł, że już nie naprawi nigdy.

Spalony kościół zaglądał mu w oczy i łzy zeń wyciskał. Przypominał
sobie trudy z
jakimi go z ruiny w jaką znowu dzisiaj popadał , dźwigał przez
długie lata.
Każda ofiara, każda trudność, każda kropla potu,

powstawały dzisiaj z zapomnienia i otaczały jego łóżko żywym
wspomnieniem.

Czemże jest to życie ludzkie, czem jego czyny ? Godzina jedna w
nicość zamienia

owoc lat szeregu!

Westchnął głęboko.

— Wola Boża! — szepnął powtarzając słowa wyrzeczone z rana.

— Wszak to wszystko było na Jego chwałę, niechże i z tego Jemu
będzie ofiara —

dodał i przymknął oczy a po tych słowach poddania lżej mu się
zrobiło.

Wielki ciężar smutku, jakby mu spadł nagle z serca i zdawało mu się,
że usypia,

czy też błogo śni na jawie. A śnił najdroższym, jedynym snem życia.

Śnił, że

nieszczęście, które wieś nawiedziło, było snem tylko.

Więc jak zwykle i dnia tego odprawiwszy nieszpory, odwrócił się do
ludu z

Przenajświętszym Sakramentem w rękę i tem samym ojcowskim
spojrzeniem obejmował

swoją białą, kwieciami przystrojoną świątynię, pełną mężczyzn,
niewiast, dzieci,

niby całą rodzinę swoją zebraną w koło siebie i chylącą się kornie
przed tym

Bogiem, którego on im dał poznać i nauczył kochać.

Wtenczas wznosząc wysoko Przenajświętszy Sakrament, zaintonował
pierwsze słowa

pieśni:

»Boże w dobroci nigdy nie przebrany«.
Gospodyni zaniepokojona ciszą panującą w pokoju, otworzyła drzwi i
na palcach
przybliżyła się do łóżka.
Książd spał uśmiechnięty. Ale spał tak cicho, że nachyliła się nad nim
i żywo
cofnęła przerażona.
Bóg dał mu po raz ostatni na ziemi dowód swojej łaski.
Cierpienie musnęło go tylko niby snem a Anioł Stróż poniósł po
nagrodę życia do
stóp Boga nieprzebranego w dobroci!...

ŚLEPY KAZIK.

Kazik urodził się w parę tygodni po śmierci ojca w jednej z
najlichszych chałup,
w jakie obfituje przeważnie żydowska miejscina Czytań, położona w
biednym,
nieurodzajnym, piaszczystym zakątku, któremu przyroda, w zamian
za wszystko co
mu odmówiła, dała niezrównany urok spokoju. Nigdzie go tyle co
tutaj, i rzecz
dziwni, że pomimo wyzierającej na każdym niemal kroku nędzy,
jakaś błogość
skupiona wieje z tej części kraju.
Miejscina, o której mowa, ztąd chyba na to miano zasługuje, że jest
schronieniem
i ojczyzną kilkuset biedaków, którzy cicho, bez głośnej skargi
odgrywają bolesny

dramat życia. Jednym z najgodniejszych pożałowania aktorów tej sztuki bez widzów miał być tak zwany w Czytani »ślepy Kazik«, którego przyjście na świat tyle łez kosztowało matkę, pozostałą wdowę po ubogim zagrodniku, który jej oprócz siedmiorga drobnych dzieci i walącej się chałupiny, żadnego majątku, żadnego sposobu do życia nie zostawił. Kazik urodził się wątły, mizerny, ale żyjący, a tem samem mający

prawo do życia, które już u wstępu, nieubłaganem się dlań okazało. Mimo głodu, od jakiego zabezpieczyć go nie mogła wyschła pierś matki, mimo zimna, jakim nieraz kostniał w chałupie stojącej na samym końcu tonącej w błocie ulicy, której jedyną ochroną przeciw wichrom był płot drewniany, słowem mimo braku tego wszystkiego, co wybrańcom losu zdaje się do życia niezbędnie potrzebnem, biedactwo żyło i wychowało się przecież. Żyło smutnie, rozwijało się powolnie, chorowało często, ale było łagodne, potulne, ciche, więc choć przyjście jego na świat tyle łez nieszczęsną kosztowało kobietę, z czasem stało się jej ulubieńcem. W dodatku, co się nie często wśród naszego, na wskrós próżniaczego ludu zdarza, był to chłopczyzna pracowity. Gdy podrósł, o ile na to biedne pozwalało zdrowie, pasł bydło gromadzkie, chodził na zarobek, odrabiał szarwark swego numeru, słowem, ten niepotrzebny na świecie, nie był na nim nieużytecznym.

Ale pomimo pracy matki i dzieci, nędza i głód zaglądały coraz to częściej do zapadającej się chaty. Konieczne wydatki pochłaniały szczupły zarobek, a nieraz brakowało drzewa na opał, na światło, na sól; było więc zimno, ciemno i głodno w nędznej chacie, a najzimniej i najgłodniej Kazikowi, który coraz to

częściej zapadając na zdrowiu, coraz to mniej mógł zarabiać, a uwolniony od chodzenia do szkoły, nie miał prawa ani do butów, ani do cieplejszego odzienia i na równi z matką musiał sobie odmawiać wszystkiego, by siedmiorgu, od świtu do nocy pracującego rodzeństwa wystarczyło na zaspokojenie najgłówniejszych przynajmniej potrzeb. Chłopczyzna nie narzekał i nie skarżył się nigdy, wierzył, że inaczej być nie może, że tak być musi i cierpiał cichutko, tylko czasami, kiedy zimą zostawiano go w domu, aby wieczorem, zanim rodzina z zarobku powróci, ogień rozpalić i lichą nastawić wieszak, układając drzewo w kominie, w koło zakopconego garnka, biedactwo marzyło sobie a rozpalający się ogień, buchając światłem, przyświecał tym marzeniom. W pośrodku ciemnej, niskiej izdebki, której całą ozdobą było kilka pobożnych, jaskrawych obrazów na ścianie, marzenia jego przybierały kształty rzeczywistości. Marzyło mu się, że jest zdrow, silny, rosły, rumiany, jak brat jego Stefan, że może z nim razem jechać do lasu, sagi rąbać, drzewo z

sąsiadami do spławu odstawiać, a w sobotę wieczór, wróciwszy do
chałupy, siedząc
na skrzyni, przelicza zarobione pieniądze i część ich oddawszy matce,
resztę dla
siebie zachowuje. Tak w wyobraźni jego schodził tydzień

za tygodniem, a wtenczas... Tu blado - żółta twarz chłopca okraszała
się żywym
rumieńcem, oddychał trudno, bo mu głośno bijące serce zapierało
powietrze w
piersiach — wtenczas kupował sobie na jarmarku parę nowych butów
!...

W obec tego marzenia, w obec tych butów, które mu przed oczyma
stawały, których
upragniony ciężar czuł na swych bosych nogach, chłopiec zapomniał
o zajęciu i z
płonącą, trzaską w rękę, z wejrzeniem utkwionem w niebiesko -
czerwony płomień,
z otwartymi ustami, snuł dalej złotą nić tych tak skromnych, a jednak dla
niego
niedościgłych marzeń!

* * *

Coraz to częściej zapadający na zdrowiu, a tem samym coraz mniej
zdolny do pracy
Kazik, kończył lat ośmnaście, kiedy dwóch jego braci wzięto do
wojska. Ubytek
dwóch zarobników był istnem nieszczęściem dla rodziny, żyjącej
jedynie z
dziennego zarobku. A że nieszczęście prawie nigdy samotnie
przybywać nie lubi,
niebawem spadło i drugie na biedaków. Chłopiec, który już od
dłuższego czasu
skarżył się na oczy, nagle musiał zaprzestać wszelkiego zajęcia, na
cokolwiek

bowiem dłużej patrzył, zaraz mu one zachodziły łzami, a kłuło go w nich jakby szpilkami, to jakby

ogniem paliło. Chodził odtąd z głową, spuszczoną, z na wpół przymkniętemu drgającymi od bólu oczyma, z twarzą żałośniejszą i smutniejszą jeszcze, istny obraz nędzy ludzkiej na tym pięknym świecie. A rzeczywiście pięknym był on w tej porze. Po wilgotnym i ciepłym maju, czerwiec zakwitł dokoła mnogością ziela i kwiatów. Wypalone zazwyczaj łąki pokryły się istnym kobiercem zieleni, piaszczyste grunta obiecywały plon niezwykły, a z za każdej najbiedniejszej, najbardziej opuszczonej chaty, wyglądały rozkosznie okryte kwiatem bzy i sady. Świat pachniał, śpiewał, błyszczał od słońca, jakim śmiało się niebo nad ziemią i każdy niedostatek był znośniejszy, każda bieda lżejszą w pośród tego hymnu szczęścia, który ziemia śpiewała. W tem ogólnem weselu jednemu Kazikowi tylko było smutno i coraz smutniej. Litowali się nad nim ludzie i nakłonili matkę by go zawiozła do dalej nieco położonego miasteczka, gdzie był lekarz »ze świata« i pewno chorobie zaradzi. Wdowa, której na widok cierpień ukochanego dziecka serce się krajało, zastawiła kozuch po nieboszczyku mężu i pojechała do doktora. Ten, troskliwie wyegzaminowawszy chłopca, pokiwał głową, zapisał wody i lekarstwa, obiecując, że mu ulgę sprawią. Matka owinęła starannie receptę

w róg chustki, związała ją na węzeł i powróciła do Czytani.
Czas mijał a recepta zawsze równie starannie owinięta, spoczywała na
dnie
skrzyni, bo nigdy nie znajdowało się w chacie tyle grosza, by z nią
pójść do
apteki, a mądrzejsi i doświadczeńsi sąsiedzi obliczyli, że na »to
przepisanie«
potrzeba ze trzy papierki. Trzy papierki! W najśmielszych
przypuszczeniach nie
widziała się biedna kobieta w możliwości rozporządzenia podobną
sumą!
Miesiące mijały; Kazik coraz mniej widział. Idąc z chałupy do
chałupy, szedł już
tym typowym u ociemniałych chodem, z postacią nieco w tył wygiętą,
zwróconą
bokiem, dopomagając sobie rękami naprzód wyciągniętymi w
odnalezieniu drogi. Nie
ze złości, ale z wrodzonej u ludzi skłonności w nadawaniu sobie
wzajemnie
przezwisek, nazywano go już w Czytani »ślepy m Kazikiem«. Z
jesienią już zupełnie
nie mógł sam chodzić, a że nie było komu go prowadzić, chłopczyzna
dnie całe
spędzał samotnie w domu, siedząc to na progu chaty, to na piecu w
izbie.
Co przez te długie, wiecznie ciemne godziny snuło mu się po głowie,
któż
odgadnąć zdoła? Może w swej samotności, w swem opuszczeniu, w
swej niedoli i on
odkrył straszną niesprawiedliwość losu, który jednym

tak wiele daje, drugim wszystkiego odmawia. Może i on pytał wraz z
nami, czemu

do szczęścia tak mało wybranych na świecie, kiedy do niego każda
żyjąca istota
zdaje się mieć niezaprzeczone prawo? A może — i to możliwe,
choć łąz rzadko
bezmyślnie spadają, płakał chłopiec nie myśląc wcale, płakał
wspomnieniem,
które nieraz boleńszsze od cierpienia samego!...
Do chaty wdowy, przypadek zaprowadził dnia jednego, miejscowego
proboszcza.
Zastał w niej samotnego jak zwykle Kazika; widok chłopca, los jego,
o jakim mu z
dziwną rzewnością tenże opowiadał, wzruszył do głębi serca zacnego
kapłana.
Przyszło mu na myśl, że w stolicy istnieje zakład dobroczynny, w
którym podobni
Kazikowi biedacy, znajdują opiekę, zatrudnienie i nie raz jeden
zabezpieczenie
od głodu na całe życie. Począł mu też o tej iście filantropijnej
instytucji
opowiadać, obiecując, że postara się o umieszczenie go tamże, że mu
tam będzie
dobrze, że będzie miał staranie, że go tam nauczą jakiegoś
przystępnego dla
ciemnych rzemiosła, które mu później na utrzymanie nawet starczyć
będzie.
Słuchając słów proboszcza, oddawna już na twarzy chłopaka
niewidziany uśmiech
rozchylił mu usta, przywołany myślą, że on, kaleka do

niczego, nie będzie ciężarem matce i rodzinie, że sobie i drugim stanie
się
przydatnym. Począł w próżni przybierać palcami i odtąd żył tylko tą
nadzieją, że
te biednej, wychudzone ręce, kiedyś, inaczej niż bezmyślnie i
bezcelowo poruszać

się będą mogły. Świeciła mu ta nadzieja w zastępstwie słońca, którego nie widział, świeciła niedługo i zgasła nagle, jak gaśnie tyle ludzkich nadziei po świecie...

Po dłuższym przeciągu czasu zaszedł znowu proboszcz do ubogiej chałupy i siadając na przyzbie pod okienkiem, którego wybite szyby pozatykane były

brudnymi łachmanami:

— Mój chłopcze — rzekł — nic z tego, nie chcą. cię przyjąć do zakładu, boś już za stary, piszą, że wiek twój jest wiekiem dojrzałego mężczyzny, a tam zajmują się tylko ociemniałymi dziećmi...

Domawiając tych słów, proboszcz z bolesnym uśmiechem spojrzął na tego, do

którego się one stosować miały. Ten, w oczach Dyrekcyi i statutów Zakładu dla

ciemnych dojrzały mężczyzna, stał przed nim, niby posąg niemej rozpaczy. Bez

wieku, ni to dziecko, ni dorosły człowiek, ot, biedne, nędzne stworzenie, o

twarzy bladej, zapadłej, wykrzywionej boleścią, a łagodnej i poczciwej, o

wątlonych członkach, oczach przymkniętych, które

dawnym zwyczajem wiedzione, szeroko się rozwarły, zwrócone w stronę, z kąd głos

proboszcza dochodził.

Milczeli obaj...

Nadzieje chłopca runęły z łoskotem walącego się w jego głowinie gmachu i słuchał

może tego bolesnego hałasu, a myśl jedyna, która go całymi dniami podtrzymywała,

uleciała bezpowrotnie, zostawiając po sobie niczem i nigdy
niezapełnioną
próżnię. Proboszcz z wielką goryczą w sercu patrzył nań, pytając
siebie,
dlaczego ludzie kładą tyle granic swej dobroczynnej litości, kiedy
niedola tak
często zdaje się granic nie zna?...
I znów mijały tygodnie i miesiące. Po jesieni nastąpiła zima straszna,
śnieżna,
mroźna, istny wróg biedaków, dla których słońce, ten zbytek
szczęśliwych, jest
niezbędną niemal potrzebą egzystencji.
Aby zapobiedz coraz srożej zagładającej w oczy nędzy, matka Kazika,
zostawiając
opiekę nad rodzeństwem najstarszej córce, poszła do służby. Kiedyś,
za młodu,
służyła ona we dworze przy kuchni i dzisiaj te dawne zdolności miały
być
wynagrodzone dwureńską miesięczną płacą, przez żyda,
dzierżawcę sąsiedniej
wioski. Z domem i dziećmi rozstała się ze stoicznym spokojem,
charakteryzującym
naszych wieśniaków, który filantropi

poddaniem się, zacofaniem, bezmyślnością zowią. — Ale gdy matki
w domu zabrakło,
Kazik uczuł się dopiero prawdziwym kaleką. Siostra jego, dobra w
gruncie, ale z
natury kłótliwa dziewczyna, nie mogła mieć dla niego uczucia matki,
a zbyt była
młodą jeszcze, by mieć w duszy to źródło litości, które tryska w sercu
kobiecem
z nagromadzonych w nim żalów i cierpień. Wtedy dopiero stał się
biedny chłopak
prawdziwie nieszczęśliwym ; poniewierano nim, pomiatano, szydzono
zeń często, a

choć to ostatnie i dawniej się zdarzało, dzisiaj stało się
dotkliwszem w obec
tego, że nie było już obok obrony, pieszczoty i pomocy matczynej.
Tęsknił też za
nią Kazik całą siłą swej duszy, całym ciepłem serca, a malutki jego
świat
wewnętrzny równie zewnętrznemu był zaciemniony.
Jednego popołudnia, po jakiejś sprzeczce z siostrą, która
najniesłuszniej w
świecie napadła na biednego ślepego i jak zwykle, samego w chacie
odeszła,
rozzalony biedak postanowił dom opuścić i pójść do matki, której mu
z dniem
każdym więcej brakło.
Drogę do wsi, w której matka obecnie służyła, pamiętał doskonale; za
zdrowszych
swoich czasów nie raz jeden ją przebiegł, więc mu się zdawało, że i
dzisiaj
łatwo to będzie mógł uczynić. Droga ta była dość prosta;

szło się ulicą miasteczka aż pod las, a tam skręciwszy na lewo już
niedaleko
było do wsi, na samym początku której, znajdował się dom
służbodawcy matki
Kazika. Bosy, łachmanami niedostatecznie pomimo srogiemu zimna
okryty, niepewnym
krokiem, trzymając się kołów płotu, wy dostał się nieszczęśliwy kaleka
na ulicę.
Wiatr dał zimny prusząc śniegiem, po którym szedł chłopak
odważnie, pomny że
krok każdy zbliża go do upragnionego celu, do połączenia się z matką,
do której
serce jego się rwało. Po dobrej chwili, gdy mu się zdawało, że już jest
pod
lasem, począł szukać drzew skostniałymi od zimna rękami; ale
napotykał tylko

zimną próżnię, a coraz gęściej padający śnieg lepił mu do twarzy, wiatr
zaś do
szpiku kości przejmował. Wtenczas opanował go niewypowiedziany
strach przed
samotnością i zbliżającą się nocą; uczuł się tak bezsilnym,
opuszczonym i
nieszczęśliwym, że po raz pierwszy, dawno już może w sercu
zrodzona skarga,
straszny jękiem wybiegła mu na usta...
Co się potem z nim stało? nie wiedział, ale gdy przyszedł do siebie,
znalazł się
we własnej chałupie, na ławie słomą wysłanej, a dochodzące go z
sieni rąbanie
drzewa kazało mu się domyślić, że był to już ranek. — Mówiono mu
potem, że
wracający do miasteczka

sąsiad znalazł go pod lasem leżącego w śniegu na drodze, a zabrawszy
go prawie
nieżywego na swój wóz, odwiózł do domu. Wtedy przypomniał sobie
wszystko, i
wczorajsze zamiary, i zawiedzioną nadzieję, kiedy zamiast u matki,
znalazł się
znowu w Czytani i westchnął głęboko.
— Kazik, czy cię co boli? — zapytała siostra.
— Nie, — odpowiedział na to pytanie, które mu się dziwnem i
niezrozumiałem
wydało. Wszak jego zawsze i ciągle coś bolało, a nigdy na to nie
zwracano uwagi.
On sam nie mógłby powiedzieć co, bo czyż w prostocie swojej mógł
sobie zdać
sprawę, że to życie tak boli?...
Na trzeci dzień wezwano proboszcza do Kazika. Chłopiec leżał w
gorączce a
zebrane w chacie rodzeństwo rozmawiało o jego bliskiej śmierci.
Słyszał te

rozmowy i nie trwożył się nimi bynajmniej. To co zaznał z życia,
było tak
ciężkiem i gorzkim, tak smutnem i straszem, że śmierć chyba ani
cięższą, ani
straszniejszą być nie mogła. Tylko gdy ksiądz, udzieliwszy mu
Ostatniego
Pomazania, począł go łagodnie przygotowywać i krzepić na bliską a
ostatnią
drogę, umierający podniósł ręce do oczu i przecierając je zmęczonym
ruchem:

— Chciałbym — rzekł słabym głosem — choć raz jeszcze widzieć
słońce i matkę...

— Ujrysz je wkrótce moje dziecko, słońce takie jasne, o jakim
nawet się nie
śni ludziom na świecie, a na matkę nie długo ci tam czekać przyjdzie.
Uśmiechnął się kaleka i zanim blade, zimowe słońce przedarło się
dnia tego przez
gęste obłoki, on już oglądał tamto, o którym się nie śni ludziom na
świecie...

Matka, za późno uprzedzona o chorobie syna, zastała go już na
marach. Słońce, to
ostatnie jego marzenie, oświecało woskowej bladości twarz
nieboszczyka, na
której igrał taki uśmiech spokojnej błogości, jakim za życia nigdy nie
była
rozjaśnioną.

— Już ci dobrze, moje kochanie ! — zawołała, oblewając łzami twarz
syna.

W dniu pogrzebu, proboszcz, wbrew zwyczajowi, odprowadził aż na
cmentarz trumnę
biednego kaleki. Chciał wtórować śpiewom żałobnego orszaku, ale
głos mu wiał w
gardle a pamięć zawodziła, tak dziwnie był rozstrojonym, on, pleban
wiejski,

który codziennie z nędzą i niedolą ludzką był w styczności. Zamiast
słów pieśni,
ciągle miał na myśli pytanie: Na co się przydało na świecie
dwadzieścia lat
katuszy tego, który teraz w tych czterech deskach spoczywa?...
Odpędzał

te myśli siłą woli, przywoływał słowa pieśni na pamięć, śpiewał je jak
mógł
najgłośniej, wszystko nadaremnie. Powracały one, nabyto różne, a
zawsze te same.
Na co? Dla czego?...
Uznając to pytanie za bezbożne, począł sobie proboszcz przypominać
niektóre
ustępy z życia św. Teresy, która wierzyła, że nie tylko można modlić
się za
niemodlących, ale i cierpieć za niecierpiących i wołała: »Boże, przyjm
tę małą
liczbę niezasłużonych cierpień, za tylu grzeszących, tylu występnych,
których
kara Twoja jeszcze niedosięła, Przyjm je za dusze jęczące w czyściu a
zapomniane
na ziemi. Może to biedne stworzenie było posłannikiem nieba na
ziemi, a
spełniwszy ofiarę, poszło po nagrodę« ...
Wieczne odpoczywanie racz im dać Panie — zaintonował proboszcz,
przekonany, że
wraz z czystą duszą Kazika, jakaś inna dusza oczyszczona przez
niego, stanęła
dzisiaj przed Panem ... Wróciwszy do domu zamyślił się pleban
głęboko nad nędzą
jednych, obojętnością drugich, nad tą masą złota, które ludzie
rozzrucają, nie
zastanawiając się nad tem, że tylu bliźnich, braci, ludzi mających te
same co

oni prawa, ginie z głodu, z nędzy, z kalectwa, z braku nie złota, nie
szczęścia,
tych pragnień świata, ale z braku chleba, tylko chleba i litości!

Proboszcz nie był świętym, bo był człowiekiem, ale posiadał jedną
cnotę,
najmilszą podobno Bogu, kochał gorąco bliźniego, a im biedniejszym
był ten
bliźni, tem większe miał prawa do jego serca. Robił co mógł, aby
swym owieczkom
ulżyć ich ciężkiego brzemienia, ale sam był ubogi i mógł nie wiele, a
przecież
tego wieczora wyrzucał sobie gorzko, że nie zrobił tyle, ile zrobić był
powinien
dla ślepego Kazika. Zdawało mu się w tej chwili, że obowiązkiem
jego było
chodzić po świecie, kołatać do serc ludzi opływających w dostatki i
wołać do
nich: »Wam przypadł obowiązek być okiem ślepego, nogą kulawego,
podporą wdowy,
ojcem sieroty! Błogosławieństwo umierającego nędzarza spadnie za to
na was!«
Na kim spoczęło błogosławieństwo Kazika? Niewiadome Może na tej
biednej
mieścinie, w której żył, cierpiał i umarł, bo choć nędzna i uboga, nie
braknie
jej tego głosu, który co niedziela z ambony, a codziennie przykładem,
wskazuje
parafianom drogę obowiązku i cnoty, uczy ich nie gardzić niedolą, nie
odtrącać
jej od siebie, ale, jeśli już niepodobna jej ulżyć, przynajmniej ją
uszanować,
bo ona może nasze własne w tej chwili winy odkupuje.

GŁUPIA JAGA.

We wsi, w miasteczku, we dworze, wszędzie i wszyscy znali ją tylko pod nazwiskiem Głupiej Jagi. Była to dziewczyna drobna, szczupła, fizycznie i duchowo nierozwinięta; wyglądała na lat szesnaście, ile zaś ich miała rzeczywiście, tego nikt dokładnie nie wiedział, a chyba najmniej ona sama.

Historia jej była krótka i smutna. Ojciec i matka Jagi ubodzy zarobnicy, zdziczeni od biedy i od tak często towarzyszącego jej pijaństwa, przekleństwem powitali przyjsie na świat szóstego z kolei dziecka, na które trzeba było pracować ; a gdy kłótniami rodziców kołysana, a nędzą karmiona, wątła i szczupła dziewczynina, doszedłszy do lat kilku, ani do pracy, ani do oddania w służbę zdolną się nie okazywała, powzięli do niej okrutną nienawiść. Pragnąc przynajmniej z niedołęstwa jakąś korzyść osiągnąć, wysyłali ją żebrac po wsi.

Często biedactwo pójsć nie chcieli; nie dlatego, żeby jej wstrętnem było rzemiosło, do którego ją zaprawiano — nie rozumiała bowiem do jakiego poniżenia ją wdrazają —

jeno, że tam za wsią, koło lasu, dzieci pasat bydło bawiły się dzień cały, więc

wolała bawić się z niemi, niż chodzić cały dzień po chatach. Ale wypędzano ją z domu głodem i kijem, szło zatem biedne stworzenie i powoli przywykło do włóczęgi od komina do komina. Nie zarabiała wiele, bo była smutna i milcząca; obdarzano ją zaledwie tu kilku ziemniakami, tam chleba kawałkiem, więc posilała się w ciągu dnia skąpą jałmużną i z próżnymi rękami wracała do domu, gdzie ją witano łajaniem i biciem. Razu pewnego, w dzień odpustu kazano jej pójść żebrnąć pod kościół w sąsiednim miasteczku, pomiędzy dziadów. Dziecko było dnia tego niezdrowe, tęskniło za ciepłem schronieniem na piecu i ociągało się z wyjściem. Złością i wódką pijani rodzice, jak wściekłe zwierzęta rzucili się na Jagę, podarli starą koszulinę, stanowiącą wraz z lichą spódniczką całe jej ubranie, pokrwawili ciężkimi razami i na wpół żywą, na wpół nagą wyrzucili z domu. — Zanosząc się od płaczu, bólu i zimna dziecko jak szalone pędziło ku miastu, a ostre listopadowe powietrze i mroźny wiatr zachodni przejmowały skostniałe członki niebożątka. Jaga dobiegła pod kościół, wsunęła się między żebraków i wyciągając jak oni swe

zziębłe, zsiniałe rączęta, wznosiła na przechodniów piękne, jasne, pełne trwogi oczy, wołające łzami o miłosierdzie. Nie wołały daremnie; jej wychudła twarzyczka, wynędzniała postać, płacz rzewny, zakrwawione i poszarpane odzienie

powszechną zwracały uwagę, ogólną budziły litość. — Każdy wsunął drobny datek w rękę dziecka, a jakaś poczciwa gospodyni, w dostatni ubrana kozuch, ulitowała się nad nędzą dziewczynki i kupiła jej chustkę, którą nagie prawie piersi dziecka okryła. Niedowierzająca swemu szczęściu Jaga, rozwarła jaśniejące oczy, w których zatrzymały się i błyszczały dwie łzy ostatnie. Kiedy ludzie zaczęli rozjeżdżać się z pod kościoła, a z nieba zmrok gęsty padał na ziemię — i ona żwawo pomknęła drogą ku domowi. Była głodna i zziębnięta, ale nie czuła ani zimna, ani głodu. Zatrzymywała się czasem, by spojrzeć na nową, jaskrawą chusteczkę, którą zdjęła z siebie i złożoną we czworo, z całej siły obiema rączkami do piersi tuliła. W jednej dłoni trzymała uzbierane pieniądze. Otworzyć jej nie mogła, tak palce mimowiednie kurczowo ścisnęła. Pędziła coraz prędzej, szczęśliwa, że za łzy i ból tyle dobra w dom wniesie. Dobiegła nareszcie do chaty, gwałtownym ruchem drzwi otworzyła i wpadła do izby oświeconej płomieniem ogniska.

Obie rączyny wyciągnęła do rodziny siedzącej przy kominie i zawołała:
— O! o! — wskazując na przyniesione skarby.
Wzruszeń, zimna, łez i głodu za wiele było dnia tego na jej wątłe siły. Zaledwie ją owiało duszne powietrze izby, pełne dymu, główka się jej zakręciła, oczy mgłą zasły, ręce rozwarły bezwiednie. Posypały się przez dzień cały trzymane w nich

centy — i upadła zemdlona na ziemię. — Noc całą prześniła o
zdarzeniach dnia
ubiegłego. Jaskrawe kraty chustki wciąż przed wzrokiem uspiionej
migwały
różnokolorową tęczę.
Z nadejściem ranka miłe wspomnienia pierzchły... nic z nich nie
pozostało.
Odebrano jej wszystko. Czerwonej chustki nie ujrzała już nigdy; tylko
odtąd
wypędzano ją jeszcze wcześniej z chaty, kazano chodzić dalej, do
miasteczek lub
wsi sąsiednich, przyodziewano w coraz lichsze łachmany, które litość
wzbudzać
miały, a na drogę znęcano się nad nią
i bito by powtórzyć korzyści, jakie łyzy dziecięcia w dzień odpustu
przyniosły.
Tak upłynęło lat kilkanaście. Jakże się dziwić można, że ich nie
liczyła, że nie
wiedziała ile razy zima wracała na ziemię i wiosna w zieleń ją
stroiła... kiedy
życie dla niej było ciągłą, srogą zimą !... W ciągu tych lat

kilkunastu rodzice pomarli, młodsze rodzeństwo rozeszło się za
chlebem,
najstarszy brat się ożenił, a bratowa wygnała ją z domu, w dowód
wielkiej łaski
pozwalając zimą nocować w sieni a latem na podwórku okalającym
chatę. Do tej
zimnej sieni, do tego kawałka ziemi pod płotem — jak kot
przyzwyczajeniem
wiedzione — co wieczór powracało biedne stworzenie.
Długie i gęste włosy Jagi, wypłowiałe od słoty i słonecznych
promieni, zbiły się
w wełnisty kołtun. Twarz miała bladą, wychudłą, spaloną latem,
opierzchłą w

zimie, usta zsiniałe, ciało popekane na rękach i nogach. Czasami tylko jej oczy piękne, płonące jakimś tęsknym nie ziemskim blaskiem rozjaśniały nędzne, wstrętne prawie oblicze. Ale i oczy rzadko, coraz rzadziej błyszcząły szlachetniej ; brakło w nich myśli, bożej iskry rozumu. Ludzie na wsi przezwali ją: głupią Jagą i obojętnością — jaką ci najwięksi filozofowie życia, dla życia posiadają — darzyli biedną dziewczynę. Pobudzała ich często do śmiechu. Gdy szła przez wieś szybkim krokiem, z gołą głową, w fantastycznie na plecy zarzuconym łąchmanie, w strojnej nieraz lecz wyszarzanej spódnicy, z wyrazem trwogi zwierzęcej na twarzy, — dzieci wybiegały z chat, wołając: głupia Jaga! głupia Jaga! Nieraz

wtórowali im i starsi. Jaga przyspieszała kroku opędzając się od ludzi jak od psów i przeskakując płoty, uciekała łąką ku zabudowaniu jednego z majątniejszych gospodarzy wioski. Był nim Oleksa Szawura, parobczak młody, pracowity i dobry, jak świeże powietrze. Takim się urodził, takim pozostawał. Odkąd Jaga żyła o zebranych chlebie, odkąd los gnał ją po cudzych domach, tutaj tylko prawdziwą dawano jej jałmużnę, tutaj tylko wstępowała bez trwogi. W całej wsi, jeden tylko Oleksanie naśmiewał się z biedactwa lecz zawsze litował się nad sierotą. On jeden nie nazywaj ją głupią, ale biedną Jagą. Gdy przyszła do jego chaty, kazał jej usiąść

przy ogniu, ogrzać się, wypocząć; wynosił jej sam z komory hojną
jałmużnę a
często dodał coś jeszcze, aby do domu zanieść mogła, by obdarzoną
chętniej na
noc przyjęto. Jaga patrzyła na Oleksę, słów jego słuchała w milczeniu
wprawdzie
ale oczy jej zapalały się wtedy wyrazem, jakim nigdy dla nikogo
innego nie
błyszczały.
Nie ma stworzenia tak nędznego na ziemi, któreby nie posiadało
nawet w
najstraszniejszej niedoli, jednego — zastępującego dom, kraj, rodzinę
—
światlanego kącika na świecie czy to w sercu, czy w myśli, czy w
marzeniu, czy
wreszcie w najbogatszej,

najwspaniałomyślniejszej szafarce szczęścia... nadziei. Najczęściej
bywa on
błędny ognikiem, ale pomimo to, całemu nieraz ciemnemu życiu
człowieka
przyświeca ... Świeci mu do grobu, a poza nim dopiero światłem
pochodni
zapłonie. Każdy z nas nosi w duszy lub spotyka na drodze życia takie
światelko,
którego płomieni żadne wichry zdmuchnąć nie mogą. Migoce ono
ciągle, pozornie
przygasa czasem, ale gaśnie dopiero zupełnie przy zgonie.
Takim światelkiem biednej Jagi był Oleksa. Nie zdawała sobie
sprawy czym on
właściwie jest dla niej, bo myśli jej nie wiązały się z sobą w pojęcia
rozumne.
Nie umiała nic jaśniej określić, nic prawie nie rozumiała. Wiedziała
tylko, że
jej przy nim dobrze, ciepło i jasno, że choć go nie ma przed oczyma,
to go

przecie widzi; a gdy idzie i o nim myśli, to droga wydaje się krótszą a
czas

schodzi prędko i nie zważa wtenczas na wyśmiewanie ludzi, nie
słyszy nawoływań

dzieci: głupia Jaga! — słyszy tylko głos jego mówiący łagodnie:
biedna Jaga!

— Biedna Jaga! Ludzie jej wszystkiego odmówili, nie dali jej zaznać
ani dobra,

ani szczęścia! Przyroda nawet nad nią się nie litowała. Słońce
przyświecało

nędry, a zima dla źle przyodzianej, miała najostrzejsze mrozy,

najprzenikliwsze wichry. A jednak niby w nagrodę za tyle biedy i
upokorzeń, w

karłowatem, nieodżywionem, katowanym przez ludzi, zapomnianem
od Boga ciele,

ognik świetlany — który ją oświecał swą jasnością — ogrzewał swem
ciepłem. Jeden

był człowiek, który jej nigdy nie uderzył, nigdy się z niej nie
wyśmiewał ; on

też stał się dla niej uosobieniem wszystkiego dobrego na ziemi.

Ponieważ miło

było nań patrzeć, więc zakradała się często poza gumno Oleksy i
spoglądała

zamtąd na chatę w której mieszkał. Ta dziewczyna, która nie
wiedziała nawet co

znaczy słowo szczęście, była przecież szczęśliwą.

Pewnej zimy rozeszła się po wsi wieść, że się Oleksa żeni.

Wiadomość obiała się i o uszy Jagi. Pomimo, że małe na niej zrobiła
wrażenie,

jednakże ponieważ dotyczyła Oleksy, więc dziewczyna mruczała po
cichu zasłyszane

słowa:

— Oleksa się żeni, bierze ładną i bogatą dziewczynę... Uczciwy
chłopiec, będzie

im dobrze.

Jak się powtarza modlitwę na koronce, tak ona powtarzała powyższe wyrazy.

Zapusty zbliżały się ku końcowi. Nazajutrz miało się odbyć wesele zacnego parobczaka.

Jaga w niedzielę chodziła do cerkwi. Czyniła to z porady Oleksy. Nie modliła się,

bo się modlić nie umiała, ale przez cały przeciąg nabożeństwa siedziała cichutko w kącie i patrzyła przed siebie. Melodyjne ruskie pieśni mile pieściły jej ucho.

Tak dobrze jej tu było, jak w chacie dobroczyńcy.

W dzień ślubu — chociaż miał się odbyć nie po sumie, ale po nieszporach —

znalazła się Jaga w cerkwi. Nie stała jednak w kącie jak zwykle, lecz wysunęła

się naprzód i oparta o ścianę spoglądała po swojemu, niby bezmyślnie. Ceremonia

się rozpoczęła, ksiądz zbliżył się do drzwi cerkiewnych i podawszy koniec stuły

młodej parze, przyprzyprowadził ją do prystoła, przy którym Rusini ślub biorą.

Oleksa spostrzegłszy Jagę uśmiechnął się do niej. Nie odpowiedziała mu śmiechem

bo posepniejszą była niż zwykle. Oczy jej wlepione w pana młodego nie poruszały

się prawie.

Tymczasem ksiądz dopełnił obrządku, wygłosił zwyczajne modlitwy i przemowę do

nowożeńców temi zakończył słowy:

— A teraz idźcie z Bogiem; ona jest twoją, ty jej jesteś, kochajcie się, bądźcie

sobie wiernymi, spełniając wasze wzajemne względem siebie i bliźnich obowiązki.

Przed chwilą już, jakieś dziwne uczucie zawładnęło duszą. Jagi.
Doznawała bólu,
niby szarpania w całym ciele, w głowie jej nieznane

dotychczas kotłowały myśli, a serce biło gwałtownie w zapadniętej
piersi.
Oddychała chrapliwie, z wysileniem; oczy jej szeroko się rozwarły i
niezwykłym
jaśniały wyrazem a na serce spadł ciężar okropny... strasznie ciężki.
Biedna dziewczyna, co od dzieciństwa niezdolną była uprzytomnić w
pamięci swej
żadnego wspomnienia, przypominała sobie obecnie dzień w którym
zbitą, pół naga
wyrzucali rodzice z domu... To samo uczucie rozpacz i ta sama
potrzeba ucieczki
ogarnęła ją teraz i wypychała z cerkwi.
Ręce jej kurczowo trzymały się poręczy ławki. Stała drżąca, blada, z
oczyma
zwróconymi na Oleksę. Nędzą i upokorzeniami uspiomy dotąd umysł
ocknął się
nagle. Jaga zrozumiała co się wkoło niej działo w oświetlonej cerkwi.
Cała jej
przeszłość, życie całe przedstawiło się rozbudzonej wyobraźni w
jaskrawych
obrazach. Zrozumiała czym jest, zrozumiała nadaną jej przez ludzi
nazwę: głupia
Jaga — i pojęła biedaczka jak głupiem a raczej wzniosłem było jej
serce... Z
okrzykiem boleści, a raczej z jakimś rozdzierającym lamentem
chwyciła się
oburącz za głowę i torowała sobie drogę przebojem pomiędzy
tłoczącymi się
ludźmi. Jęcząc ciągle, wybiegła z cerkwi...
— Oj ! głupia, głupia Jaga! — szeptali ludzie.

Biedna dziewczyna popędziła do chaty Oleksy. Chciała wejść, ale zastała drzwi zamknięte ; dom był pusty, w oknach ciemno, dokoła cicho. Stała długo pod drzwiami, łkając jak dziecko. W tem doleciał ją odgłos jakichś gwarów i śpiewy dalekie. To wesele szło do karczmy. Jaga, jakby ją te głosy raziły, ręce przyłożyła do uszów, poczem oddaliła się spiesznie. Szła ciągle. Noc była jasna i gwiazdzista, powietrze mroźne. Każdy jej krok wywoływał skrzypienie zmarzniętego śniegu, a skrzypienie to powtarzało się cichem, drażniącym słuch echem. Coraz większa ciemność i cichość zalegała wioskę rysującą się w oddali. Jaga postępowała płacząc rzewnie. Od czasu do czasu powtarzała cichym, tęsknym głosem słowa, jakimi się do niej odzywał Oleksa:
— Biedna Jaga ! biedna Jaga!
Nagle zatrzymała ją w biegu furta cmentarna. Otworzyła wrota bez namysłu i zwolniejszy kroku weszła do ostatniego ziemskiego schronienia umarłych, rozglądając się w koło. Znużona, usiadła pod jednym z krzyżów. Oparła głowę o drzewo. Nogi jej ugrzęzły w śniegu. Wielki spokój ją ogarniał. Łzy płynąć przestały, skarga na ustach zamilkła... Już ją nic nie bolało, zimna nie czuła... było jej dobrze, błogo. Podniosła oczy w górę i wiodła niemi po niebie. Iskrzyło się ono od

gwiazd, miliardami światel gorzało. Patrzyła tak długo; nareszcie zdało się jej,

że wszystkie gwiazdy, jedna po drugiej odrywają się z firmamentu i
gęsto się w
koło niej układają, świecąc różnobarwnym dyamentowym blaskiem.
Pocynały i na
nią padać. Kładły się lekkie, świetlane — na jej żebraczych
łachmanach, na
głowie i rękach, a tak migotały, tak śmiały się do niej, że olśniona ich
widokiem, zmęczone blaskiem oczy przymknęła, śląc gwiazdom
pierwszy i ostatni
uśmiech szczęścia, jakim na ziemi jej usta się rozwarły.
I cicho — cicho było dokoła. Noc stawała się coraz jaśniejszą, taką
spokojną,
taką uroczystą, jak gdyby się cała skupiała przy cmentarnym krzyżu,
pod który
ta, której życie całe było ciężkim krzyżem, znużenie swoje złożyć
przyszła...
I już jej lekko, już dobrze teraz. Gwiazdy z nieba przyszły po tę cichą
gwiazdeczkę, po tę biedną iskierkę, uśpiły ją na zawsze i zabrały z
sobą tam
wysoko, daleko, gdzie zapisaną jest łza każda, zmarłej pod krzyżem
— biednej
Jagi!